

MKL

Gdańsk
l u t y
1 9 7 4

miesięcznik kulturalny „lity”

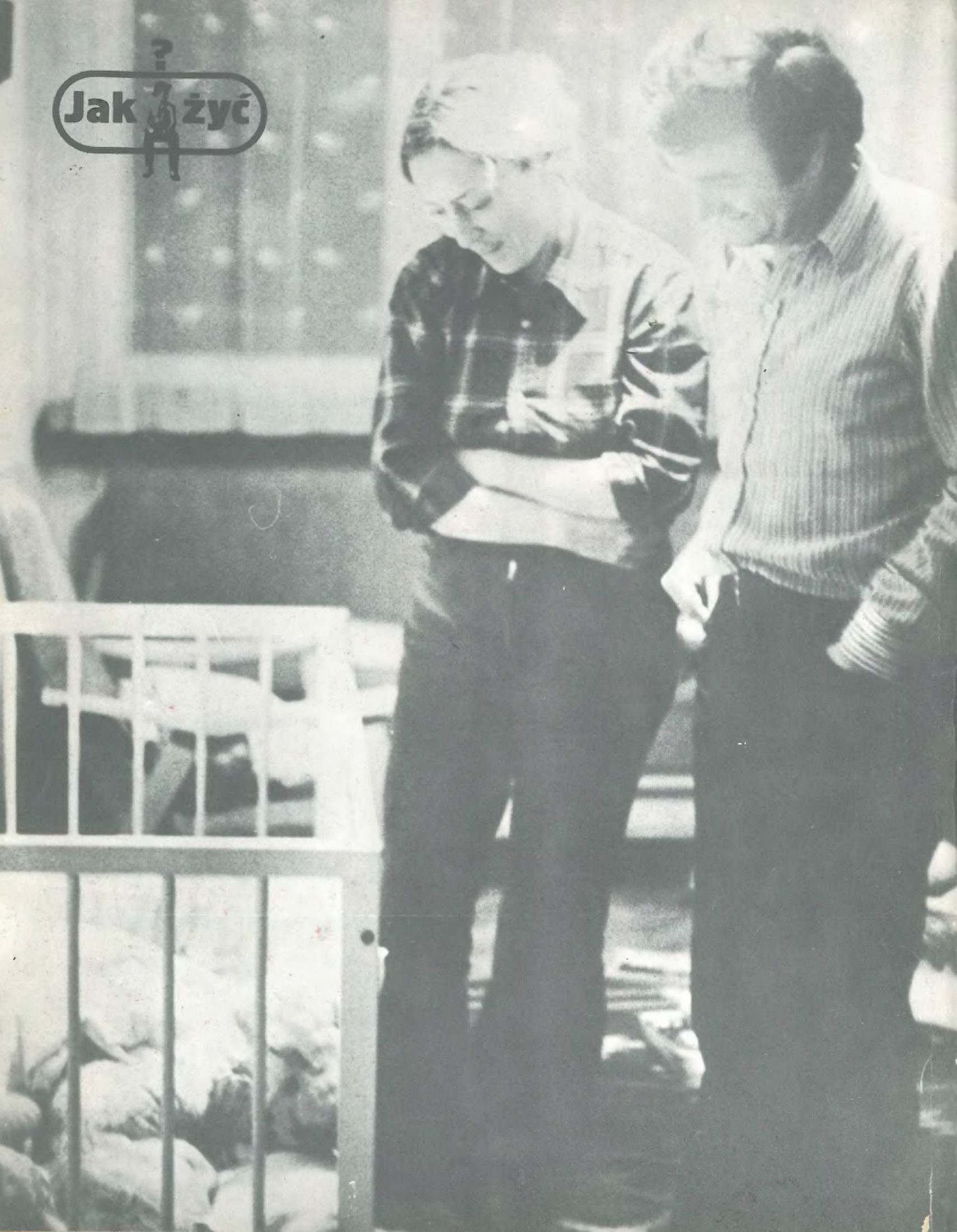
Andrzej Krzysztof Wróblewski
...mówimy o kobietach,
myślimy o samochodach

cena 5 zł



?

Jak žít



Sądząc z wyglądu — natura romantyczna. Ale czy handlowiec może być romantykiem? Sam o sobie powiada: jestem urzędnikiem średniego szczebla.

Tym razem mam do czynienia z człowiekiem, który świetnie potrafił zorganizować sobie życie. Nie wiem, w jakim stopniu jest z niego zadowolony, z pewnością jego aspiracje, potrzeby nie zostały zaspokojone w pełni, ale...

Zacznijmy jednak od personaliów: Andrzej Urbański, urodzony w 1938 r. w Stanisławowie, szkołę średnią ukończył w Bytomiu, w latach 1957—61 studiował na Wydziale Ekonomiki Transportu Morskiego Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie, tytuł magistra uzyskał w 1971 r. Pracę zawodową rozpoczął w 1964 r., w Wo-

czas działalność społeczną. Byłem działaczem Zrzeszenia Studentów Polskich. Początkowo w Radzie Uczelnianej WSE, w 1958 r. zostałem wybrany przewodniczącym Komisji Nauki. Następnego roku powołano mnie w skład Rady Okręgowej. W ciągu pięciu lat pełniłem szereg funkcji: kierownika agencji — Biuro Wczasów, Podróży i Turystyki, przewodniczącego Komisji Zagranicznej RO, wiceprzewodniczącego Komitetu Wykonawczego RO.

— Czyli nie spieszył się pan do pracy zawodowej — wykrzykuje w kierunku kuchni, gdzie mój rozmówca pichci kleik dla Krikri; podobno gotuje tę potrawę lepiej od żony, każde z zajęć związanych z opieką nad dzieckiem oboje potrafią wykonać fachowo, według zaleceń lektry „Małe dziecko”.

NIE WIEM CZY CHCĘ BYĆ DYREKTOREM



Tadeusz Woźniak

jewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Gdańsku. W latach 1966—71 pracował w „Centromorze”, zajmując kolejno stanowiska: starszego handlowca w dziale jachtów, z-cy kierownika tegoż działu, kierownika samodzielnego zespołu ekonomicznego. W styczniu 1971 r. zostaje kierownikiem działu ogólnohandlowego „Navimoru”. Pracuje tam do chwili obecnej. :

Zasiedliśmy do rozmowy w jego mieszkaniu; M-3, siódme piętro wieżowca przy ul. Tatrzańskiej w Sopocie. Właściwie, ich mieszkanie, państwa Urbańskich: Marii, Andrzeja i ich dwuletniego synka Krikri — tak Krzysztof wymawia swoje imię i tak przyjęło się go nazywać. Żona pana Andrzeja w pracy. Prowadzi lektorat języka francuskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Praca zlecona, bo w ogóle to pracuje w „Centromorze”, w dziale reklamy, ale z racji narodzin Krzysztofa ma urlop macierzyński.

— Dlaczego dopiero w dziesięć lat po uzyskaniu absolutorium bronił pan pracy magisterskiej?

— Mógłbym usprawiedliwiać się zmianą sytuacji życiowej. W 1960 r. zmarł ojciec. Matka nie żyła od dawna, zginęła w czasie wojny. Byłem zmuszony zarabiać na utrzymanie korepetycjami, pracą w porcie przy przeładunku. Gdybym jednak zmobilizował się, napisałbym pracę magisterską. Ale dla mnie ważniejsza była wów-

— Obawiałem się „zurzędniczenia”, siedzenia za biurkiem przy papierkach. Bezpośrednio po skończeniu studiów nie mogłem liczyć na odpowiedzialne stanowisko, gwarantujące ciekawą pracę. W tamtych latach Wybrzeże oferowało znacznie mniej stanowisk pracy dla ekonomistów. „Centromor” mieścił się wówczas w Warszawie, „Navimoru” w ogóle nie było.

Szczególnie młody człowiek chce mieć pracę, która daje możliwości sprawdzenia swoich sił. Takie szanse dawała nam praca w Zrzeszeniu. Na przełomie lat pięćdziesiątych — sześćdziesiątych ZSP z biednej organizacji typu „bratnia pomoc” przeobrażała się w organizację polityczną. Tworzyliśmy nowe formy działania tej organizacji, jej status społeczno-prawny. Nie tylko w kraju. Nawiązywaliśmy kontakty z zagranicznymi organizacjami studenckimi. Ta praca na rzecz środowiska studenckiego dawała ujście naszej energii, była wspaniałą areną dla wykazywania się własną inwencją.

Krikri jest bardzo towarzyski i szczery, poczęstował mnie cukierkami, przyniósł też piernik w czekoladzie. Stale czymś zaabsorbowany, najpierw przewracaniem krzesła, skakaniem z wersalki, nawet teraz, gdy przyszło mu siedzieć na nocniku, rozkłada na czyniki pierwsze plastikową lokomotywę.



Pan Andrzej wraca z kuchni z butelką kielku. Mimo sprzeciwów Krikri zmienia mu majtki. Zajęty synem, mówi o niepowtarzalnym klimacie społecznikowskich lat, o emocjach, których nie potrafią wyrazić słowa.

Romantyk?

— Jakież korzyści miał pan chyba z działalności w Zrzeszeniu?

— Skromny ryczałt jaki otrzymywałem, nie wystarczał na utrzymanie, dlatego — jak już wspomniałem — dorabiałem w różny sposób. Razem ze Stanisławem Cioskiem, ówczesnym przewodniczącym RO ZSP w Gdańsku, mieszkaliśmy w wynajętym pokoju, przy ulicy Kartuskiej. Pamiętam taki epizod, który przydarzył się „Ciochowi”. Może lepiej tego nie pisać? Ciosek jest teraz przewodniczącym Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, członkiem KC PZPR. Otóż „Ciocho”, jak zwykle palił ekstra mocne. Któregoś letniego ranka staliśmy na przystanku tramwajowym. Nagle „Ciocho” zaczyna podskakiwać na jednej nodze, drugą ściska rękami. Co się stało? — pytam. — Osa mnie użądliła w palec u nogi — jęczy „Ciocho”. Jak to możliwe? — zastanawiamy się. Okazało się, że „Ciocho” miał dziurę w zelówce, nadepnął nie osę, a niedopałek własnego ekstra mocnego. Tacy byliśmy bogacze, na porządny ubiór nie starczało. Ale to nie mąciło naszego entuzjazmu. Działaliśmy. Pochłaniała nas ta działalność. „Zawalaliśmy” studia, mimo że byliśmy dotąd dobrymi studentami — zwlekaliśmy z przystąpieniem do pracy zawodowej. Większość z nas pochodziła spoza Trójmiasta, nie mieliśmy tu rodzin. Całe dnie spędzaliśmy w „Żaku” — siedzibie Zrzeszenia i w tamtych latach agorze studentów twórców i indywidualności. „Żak” był naszym domem.

— W tym domu było dużo dziewczyn, słyszałem, że bardzo lubiły pana i pan je lubił...

— Kto ich nie lubi... Tych dziewczyn było sporo w poszczególnych komisjach. Kręciły się po „Żaku”... Ciekawe, co ten Cybulski naopowiadał panu o mnie, on wówczas był prezesem „Żaka”. Co do dziewczyn, były to bardzo fajne działaczki, kumpelki...

— Dalsze rozważanie tych kwestii przerywa nam szczerkie drzwi. Wróciła żona Andrzeja. — Mama Miki — anonsuje jej wejście Krikri.

Pani Maria odwiedza siostrę Bożenę, pracującą w Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Tam się poznali. Ślub odbył się w grudniu 1967 r. w Gdańsku, wesele w wynajętej leśniczówce w Borach Tucholskich. Z mieszkaniem nie mieli kłopotów. Andrzej był już samodzielnym lokatorem „kawalerki” w Gdańsku, Maria miała M-1 w Sopocie. Zamieszkali w pokoju Andrzeja, stąd mieli bliżej do pracy — pracowali już wtedy w „Centromorze”. Maria odstąpiła swój pokój matce „ściągniętej” z Bydgoszczy. Dzięki temu mieszkają teraz niedaleko siebie. Można wyręczyć się babcią, „podrzucając” jej Krzysztofa w tych dniach, kiedy Maria ma zajęcia przed południem. To mieszkanie otrzymali ze spółdzielni. Andrzej był jej członkiem od 1961 r., kiedy wiosną 1970 r. byli zainteresowani większym mieszkaniem, wystarczyło wpłacić odpowiednią sumę i wkrótce otrzymali ten lokal. Pieniądze mieli. Zarabiali razem ponad 6 tys. złotych miesięcznie. Co roku jedno z nich zaciągało pożyczkę w wysokości 10 000 złotych, które odkładali na książeczkę oszczędnościową. „Okrojone” zarobki wystarczały na powszednie wydatki, jeszcze trochę z nich można było odłożyć.

— Nigdy nie brakowało nam pieniędzy — stwierdza pani Maria, a jej twarz, jeszcze dziewczęca, ładna, uśmiecha się beztrudnie, jakby to było oczywiste, że młodym ludziom nie brakuje pieniędzy.

Zanim urodził się Krikri nie szczędzili na rozrywki. Kino, teatr, wizyty u przyjaciół, rewizyty przyjaciół, co roku zimą wyjazdy „na dechy” do Zakopanego, latem „na konie” do Kadyn, do Białego Boru.

— Kupilibyśmy trabanta albo skodę — odpowiada na moje pytanie o samochód pan Andrzej — ale finansowe rezerwy wyczerpaliśmy na Krikri.

— Tak chcieliśmy — przyznają zgodnie — dziecko jest ważniejsze. Samochód jeszcze zdążymy kupić najpierw — ze względu na Krikri — będziemy musieli kupić telewizor; nie mieliśmy dotąd, żeby nie skapcać.

Jemy kolację przygotowaną przez panią Marię. Na talerzu min. kanapki z kawiozem. Andrzej ostatnio był w ZSRR, służbowo, „Navimor” wystawiał w sierpniu ub.r. w Tallinnie 50 jachtów. Rezultatem tamtego wyjazdu jest także likier „Wana Tallinn”, który popijamy. Za kilka tygodni Andrzej wyjeżdża do Francji. Na międzynarodowej wystawie jachtów w Paryżu będzie pełnomocnikiem ekspozycji „Navimoru”. Średnio 4 razy w roku wyjeżdża za granicę.

— Na czym polega pana praca?

— Nasze przedsiębiorstwo, którego pełna nazwa brzmi: Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego Morskich Stoczní Remontowych „Navimor”, zostało utworzone na bazie jednego z działów „Centromoru” w 1971 r. Sprzedajemy zagranicznym armatorom usługi remontowe, śródlądowo-rzeczny tabor pływający, jak barki, holowniki, pchacze, sprzęt do wydobywania ropy z dna morskiego; kompletnie obiekty, porty rzeczne, doki pływające; statki rybackie do 40 m długości (większe sprzedaje „Centromor”) i jachty. Pięcioosobowy dział ogólnohandlowy, którym kieruje, zajmuje się organizacją handlu naszego przedsiębiorstwa; komu sprzedaje, za ile, poza tym zdobywaniem nowych klientów, ustanawianiem agentów (wyszukaniem, sprawdzeniem ich opinii bankowych i handlowych w Biurze Rady

W NASTĘPNYCH NUMERACH

Kazimierz Rosadziński
TERRA UBI LEONES

Czesław Grzelak
MOJE SPOTKANIA Z TUWIMEM

Maciej Zalewski
POLACY NA SPITSBERGENIE
DEFILADA TRZYDZIESTOLECIA
PALEC BOŻY (dyskusja)

Witold Nawrocki
LITERATURA KRAJÓW SKANDY-
NAWSKICH NA DRODZE
DO WSPÓLCZESNOŚCI

Krzysztof T. Toeplitz
KULTURA PLAYBOYA

Karol Szyndzielorz
JACY NAPRAWDĘ JESTEŚMY

Andrzej Piskozub
FILIZOFIA GRANIC WZROSTU

Edwin Rozenkranz
EMISJE MONETY KRAJOWEJ
PRUS KRÓLEWSKICH

Jan Mariański
GWALT ZADAWANY NATURZE

Andrzej Bednarek
UWAGI O FILMIE POLSKIM

Agnieszka Wróblewska
KOMU TEN KWIATEK?

Nikos Chadzinikolau
O POEZJI NOWOGRECKIEJ

Jan Tuczyński
EGZOTYKA POLARNA
CENTKIEWICZÓW

Lech Bądkowski
POWIETRZE STOI – CISZA

Tadeusz Woźniak
MIŁOŚĆ, MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ

Irena Wojnar
O ŻYWE WARTOŚCI SZTUKI

Leszek Kołodziejczyk
FRANCUSKI CUD DEMOGRAFICZNY

Stanisław Pestka
CZY JESTEŚMY SPOŁECZEŃSTWEM
ZACHODNIM

DLACZEGO PISZEMY HISTORIĘ
WCIAŻ OD NOWA (dyskusja)

MKL

ID 41269

ROK XIII
NR 2 (146)
GDAŃSK
LUTY
1974

MIESIĘCZNIK KULTURALNY „LITERY”

Tadeusz Woźniak – Nie wiem, czy chcę być dyrektorem	1
Tomasz Sypniewski – Wyznanie	6
Janusz Ptak – Upał w city	6
Mieczysław F. Rakowski – wyjść z epoki manufaktury	7
Andrzej K. Wróblewski – Mówimy o kobietach, myślimy o samochodach	10
Abf – Pocztynion literacki	12
Bogdan Maciejewski – Z Polski do Niemiec	12
Andrzej Cybulski – Dusze do wzięcia	13
Bogdan Maciejewski – Artyści, marszandzi, informatorzy	15
Ewa Moskalówna – Pisanie dla filmu	17
Wojciech Roszewski – Marzec, kwiecień, maj	19
Stanisław Dygat – Fantazja i rzeczywistość	21
S. Gola, S. Sterna-Wachowiak, A. Jurewicz – Wiersze	22
Andrzej Nowakowski – Zabawy	22
Stanisław Bucholtz – Socjologia literatury	24
Dyskusja – Chaos dyskusji czyli głosy o „Iluminacji”	25
Krzysztof T. Toeplitz – Filozofia Playboya	28
Stanisław Srokowski – Niepokoje młodego teatru	32
Horatio – Na skrzyżowaniu	34
Andrzej Wróblewski – Smutek kultury dyskotek	35
MKL – Forum	36
Jerzy Szperkowicz – Na śnieżki, balwanie	39
Recenzje teatralne i wydawnicze	Informacje



REDAGUJE ZESPÓŁ Andrzej Cybulski (redaktor naczelny), Tadeusz Bolduan (zastępca redaktora naczelnego), Ewa Moskalówna, Edmund Pudrowski, Ryszard Strzyż, Tadeusz Woźniak
KOLEGIUM: Zespół oraz Bolesław Fac i Jerzy Krechowicz

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3-7, tel. 31-18-25
Cena prenumeraty krajowej: rocznie 60 zł, półrocznie 30 zł, kwartalnie 15 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeraty na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach, zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem Oddziałów i Delegatur RSW „Prasa – Książka – Ruch”. Pozostałe – mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów i delegatur – zamawiają za pośrednictwem urzędów pocztowych. Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa – Książka – Ruch” Biuro Kolegium Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-840 Warszawa. Konto PKO Nr 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.
Nie zamówionych rękopisów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa – Książka – Ruch”. Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku. Nr indeksu 36604

Handlowego danego kraju), którzy „na miejscu” dbać będą o interesy „Navimoru”, zajmą się przygotowywaniem umów agencyjnych, uwzględniających interesy wszystkich działów naszego przedsiębiorstwa, prognozowaniem kierunków rozwoju handlu itd.

— Odpowiada panu tego rodzaju praca, której zakresu nie można ustalić?

— Bardzo. Trudno powiedzieć o pracy urzędnika, że jest przygodą, a jednak moja praca jest dla mnie pracą i przygodą, dostosowywaniem się do zasad i rygorów — ale i eksponowaniem indywidualności. Kiedyś byłem „branżystą” — podobnie jak Jaroszka, o którym pisaliście w poprzednim numerze, chociaż nie taką indywidualnością jak on. Sprzedawałem jachty. Wolę jednak działać na przedpolach handlu, to mnie bardziej pasjonuje. Handel jest sztuką poruszania się po rynku. Początki tej sztuki dała mi praca w Zrzeszeniu. Była to dla mnie szkoła działania — to niewątpliwie korzyści, jakie wyniosłem z tej pracy. Wyjeżdżałem też za granicę, do Finlandii, Szwecji,



cji, Holandii, opiekowałem się grupami zagranicznych studentów odwiedzających „Żak”, dzięki czemu nieźle władam angielskim, francuskim, rosyjskim.

— Skoro nie specjalizacja „branżowa”, lecz ogólna jest pana domena, czeka pana w przyszłości dyrektorski fotel, w tym albo innym przedsiębiorstwie.

— Nie wiem, co mnie czeka i marzenia o awansie administracyjnym nie zajmują mnie. Kariera, to nie tylko awans administracyjny, to także efekty poszczególnych dokonań. Moim zadaniem jest być dobrym handlowcem, wykazywać się na swoim stanowisku pracy. Szanuję swoje najdrobniejsze sprawy, ich suma tworzy oblicze mojego jutra. Bawi mnie to, co robię i cieszy. Uważam, że ważne jest, aby człowiekowi chciało się robić coraz lepiej i więcej w tym, co robi. Owszem, chciałbym awansować, ale nie upatruję sobie stanowisk. Jeżeli będę dobrym fachowcem, inni pomyślą o moim awansie.

Chłodny racjonalista?

Zaciekawiły mnie meble w tym pokoju, stare, stylowe.

— „Biedermeier” — przyznaje pani Maria.

— Mieszczański styl, nie obawiacie się państwo posądzenia o neomieszczańskie gusta?

— Teraz mieszczanie lubują się w regałach — replikuje pani Maria. Nasze, to starocie, na które teraz moda. Są praktyczne, bo pakowne. Stół i serwantkę dostaliśmy od matki. Tak się zaczęło. Potem kupiliśmy sekretkę w Desie i od dwóch pań, które tam spotkaliśmy, wzięliśmy adres, pojechaliśmy. To była frajda, wycieczka autostopem, zimą, do leśniczówki koło Maudyt w woj. olsztyńskim. Zaprzyjaźniliśmy się z leśniczym i jego krewnymi, którzy też mieli stare meble, wypiliśmy sporo wódki i kupiliśmy tą komódkę, lustro wiszące w korytarzu oraz cztery krzesła.

Romantycy?

Krikri porwał kieliszek ojca, wypił resztki likieru i odgryzł spory kawałek szkła. Słychać, jak zgrzyta mu w zębach. Krikri płacze, leci mu krew z ust. Andrzej spokojnie zabiera się do „operacji”, razem z Marią otwierają Krikri usta, wybierają kawałki szkła. Nie wybuchła panika, nikt nikogo nie zwymsłał, Krikri nie dostał kłapsów. Przestał płakać, chwilę jeszcze zgrzytało mu w zębach, zjadł paluszka i wszystko było dobrze.



— Co z niego wyrośnie, może będzie występował w cyrku — zaczęliśmy dywagować.

Póki co Krikri pójdzie do przedszkola. Za kilka lat. Do żłobka nie chcą go oddawać. Budzić dziecko o 6-tej rano? A przede wszystkim nie po to chcieli mieć dziecko, żeby teraz wysługiwać się kimś przy jego wychowaniu.

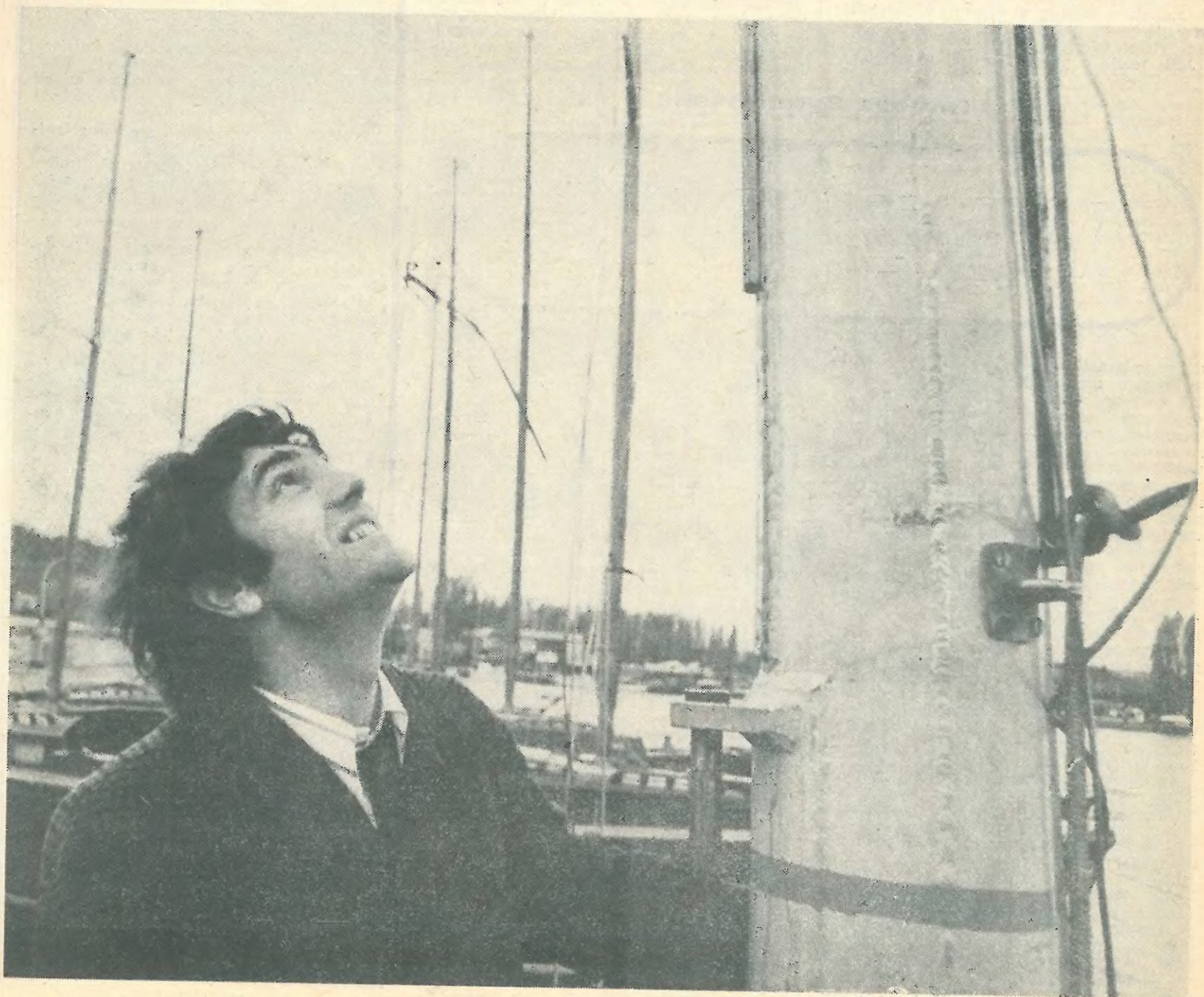
— Dziecko to wielka radość — zapewnia Andrzej — nie warto wyrzekać się satysfakcji, jaką się ma widząc postępy w jego rozwoju, przywiązanie, odbicie tego, co jest moim wkładem. Wyręczać się kimś w wychowaniu dziecka? Nie, nie — zaprzecza z wyraźną dezaprobatą.

— To by było niezgodne z pana postawą życiową — dawania z siebie wszystkiego na miarę wymagań sytuacji — dodaje.

— Trzeba tak żyć, żeby nie karleć.

Przyjechał na Wybrzeże studiować... Urządził tu sobie życie. Chyba niegorsze.

ZDJĘCIA: STEFAN FIGLAROWICZ



Być może nieprecyzyjne byłoby określenie, że życiorys Alberta Schweitzera rozpoczął się w Gabonie, nie mam argumentów przeciwko twierdzeniu, że rozpoczął się dużo wcześniej. Jednak dopiero jako „Bismarck o gołęmbim sercu”, jako twórca renesansowego modelu życia w wieku XX, stał się Schweitzer człowiekiem-symbolem.

Nie wiem, czy należy się wstydzić, czy szczeni, ale nie mogę określić — tak, jak to czynią ludzie z pokolenia Kolumbów — kiedy, od konsumpcji jakiej pożywki rozpoczął się mój życiorys. Być może się jeszcze nie rozpoczął. Ale zapytany niedawno o mój modus vivendi, odbyłem z grupą przyjaciół mego pokolenia, pokolenia powojennego, wiele rozmów, by stwierdzić na ile będzie to odpowiedź reprezentatywna i... wnioski były dla mnie dość zaskakujące. Tyle modeli życia, tyle modeli przeżycia, ile pytanym osób. Takie było moje pierwsze wrażenie, po dłuższym zastanowieniu zdanie zmieniłem. Wypowiedzi, po starej znajomości, tendencyjnie nieszczerze (na zasadzie — niech sobie nie myśli, że jestem taki, czy inny), ale przecież dopiero wynalezienie koła rozpętało kłótnię o autorstwo pomysłu, więc były to wypowiedzi na temat: tak chce siebie widzieć.

Jeśli teorię o pracy uczciwej a rzetelnej,

pracy zarobkowej stało się wyłącznie popieraniem aktualnej polityki pracodawcy.

Być może wielu z moich rozmówców nie raz; przy kawie, w gronie najbliższych mówi z goryczą — a co ja, szary człowiek, mogę. Teoria wymaginowanego wypełnienia pustki duchowej pracą, pracą i jeszcze raz pracą, jest uzurpowaniem sobie prawa do rozdzielania funkcji społecznych ustawianiem siebie samego w pozycji, do obrony wartości małych, najwygodniejszych. Blisko podłogi. Nie ma żadnych kataklizmów dziejowych, które by ten wariant udziału w pracy społeczeństwa uzasadniały. Nie ma i nie było.

Jeśli ktoś wmówił sobie, że porażki innych są post factum, jego porażkami — to jego życiorys jeszcze się nie rozpoczął. I, jeśli zdania nie zmienię, jego życiorys nie rozpocznie się nigdy.

* * *

Nie jest przypadkiem, że ten, wyżej wymieniony, model stał się przedmiotem mego ataku. Byłem pytany przecież o model mego życia — ja miałem odpowiedzieć nie jako w imieniu grupy; zezłościłem się, że rzeczywistość odebrała mi prawo do reprezentacji. Sprawa ambicji i nie tylko. Od lat żywiąc uraz do krawata, nie przepadam za oficjalną reprezentacją; tu jednak pytanie o model, w konfrontacji z postawą współpokoleniowców, zmieniło znaczenie na głęb-

Tomasz Sypniewski

wyznanie

o podwyższaniu swoich kwalifikacji aż do maksimum nieistniejącego, uznamy za jakiś element modelu przeżycia, to ma on wśród moich znajomych wielu gorących zwolenników. Teoria oddania się bez reszty pracy zarobkowej (bo tak, czy siak — jest to też punkt widzenia tej teorii) idzie niestety w parze z pewną indolencją w dziedzinie teorii życia. Bo jak inaczej nazwać próbę przekonania mnie, że jak w nauce (technice, ekonomii) obowiązuje prawo konsekwentnego i logicznego myślenia, tak w dziedzinie współżycia społecznego, w dziedzinie życia politycznego taka konsekwencja nie obowiązuje. Tu można mówić A, a potem nie-A; tu można mówić nie-A, a robić według założeń teorii A, B, C.

Można też czekać na instrukcje, nie instrukcje pisane, ale na wynikające z obserwacji życia ludzi, którzy nas wyprzedzili w drodze do naszego iluzorycznego celu. Jeśli już padło słowo naśladownictwo, to warto się zastanowić — jak śpiewa Marek Grechuta: „Kto pierwszy cel wyznaczył...”. Kogo tu się w końcu naśladowuje?

Aż się prosi w tym miejscu mała monografia, nieprawdaż? Monografii nie będzie, bo monografia w tym systemie szukania, uzasadnienia swego życia jest zbędna — tu nie chodzi o uzasadnienie, ale o pewność, że model będzie funkcjonował, a przecież będzie.

Czy funkcjonowanie tego modelu jest gwarancją jego doskonałości? Odpowiedź jest zbędna — historia już kilkadziesiąt razy dała jej praktyczną interpretację. Gdy minęła już, na szczęście, robiąca więcej złego niż dobrego, epoka wielkich nieanonimowych odkryć, poświęcanie się tylko i wyłącznie

sze. Bo pytanie co chcę stało się pytaniem co mogę.

Traktując to wyznanie mimo wszystko trochę felietonowo, (bo nie miejsce, ani czas po temu) wyznaję: mogę bardzo niewiele. Bo chcę i potrafię dowieść, że neopozytywistyczne teorie są we współczesnym wydaniu teoriami anty-socjalistycznymi. Nie mogę natomiast, każdemu z ich zwolenników, wytłumaczyć indywidualnie, na czym polega poświęcenie się pracy w Polsce Dzisiejszego. Nie mogę wytłumaczyć każdemu z osobna, a znaczy to, że nie mogę wytłumaczyć nikomu. Moje chęci rozbijają się nie o brak inteligencji i niedoinformowanie „wziętych na muszkę”. Moje chęci rozbijają się o brak dobrej woli. Dobrej woli, by zarzuty, od których rozpocząłem „Wyznanie I”, starano się brać do siebie. By pytania o sens życia (Sens życia? Czy ty się dobrze czujesz, przyjacielu?) przestały być rozrywką w długie wieczory w akademikach. Dobrej woli, by chcieli zrozumieć, że konsekwencja w postępowaniu, to jest konsekwentna praca nad sobą, by model swój realizować, a nie — konsekwencja w naśladowaniu modelu czyjś.

Wyznanie moje jest niekonkretne, zarzuty wycelowane w próżnię — muszę się pogodzić z takimi zarzutami. Bo mogę niewiele, tak niewiele, ile jest dobrej woli u ludzi konsekwentnych w naśladownictwie kompromitowanego przeze mnie modelu. Modelu przecież nieistniejącego bez symbiozy z przyszłościową teorią społeczeństwa dobrej pracy. Wyznanie to jest niekonkretne, ale w tej formie musiałem je przedstawić. Przykłady, to moje drugie wyznanie.

Janusz Płak

UPAŁ W CITY

Przez ulicę przebiegli: pies i chłopiec, obaj w maskach przeciwgazowych. Pies miał kaganiec a chłopiec stomkowy kapelusz. Obaj się spieszyli. Pies nie wiedział dlaczego, chłopiec niepotrzebnie. Nadchodząca z przeciwka kobieta kroczyła w gibkim półtłwiście, śledząc skrupulatnie każdy swój krok w wystawowych szybach.

Był upał i reporterzy moczyli swe sflaczane kamery w cieniu. Mieli też notesy i ołówki, ale tego należało się tylko domyślać. Na okrzyk tłumy, że ktoś chce skoczyć z czwartego piętra, wstali ze schodków kościoła, zakładając ciemne okulary, zapalając fajki i papierosy, próbowali zdążyć w tym kierunku.

Duszną łąkę upału zduszała w ludziach i przedmiotach resztki żywotności.

Chłopiec i pies biegli za miasto, minęli zdążających reporterów i spoconego policjanta.

Kobieta o zataczających się coraz leniwiej biodrach nie wiedziała, czy osoba, która wreszcie zdecydowała się (mimo upału) skoczyć z czwartego piętra, zabiła się, ale na wszelki wypadek krzyknęła:

— O, Boże!

Dostrzegając w wystawowej szybie dorosłego mężczyznę, przypomniawszy sobie, że w takich wypadkach wypada wypuścić z ręki swą damską torebkę. Po dościsaniu do wniosku, że nie ma w niej nic takiego, co mogłoby być narażone na szwank, uczyniła to.

Rosły mężczyzna był przystojny, więc ospależwinny ruchem pochwycił upadającą damską torebkę w rekordowym czasie (czasu środkowoeuropejskiego) 25,3 sekundy, tuż po osiągnięciu przez nią nawierzchni chodnika. Po czym delikatnie, urywając jedynie pasek damskiej torebki, jej zatrząsk psując i plamiąc gdyby istniejącym smarem dermę, z której wykonany był wyżej wymieniony przedmiot, wręczył go w drżące dłonie odepdziej-czy nie-dziewczynie.

Kobieta, osuwając się w nibyupadku, krzyknęła raz jeszcze:

— O, Boże...!

Oczywiście było, że nie upadnie, mimo to dobrze odżywione ramie rosłego mężczyzny opasało ją w pół, ratując niby wąż boa-zbawiciel. Widok spadającego z czwartego piętra człowieka wywołał u niej jednak tak silny wstrząs, że przyszła na dobre do siebie, dopiero kiedy rosty, przystojny, szarmancki mężczyzna zaproponował jej wspólną kolację w najbardziej luksusowym lokalu w całym City, który to był własnością spółki: Głodny i Syty.

Reporterzy, wypstrykawszy cały film, gasząc papierosy i fajki, zdejmując ciemne okulary, wrócili na ocieniałe schodki kościoła. Klęli przy tym strasznie fakt, iż ludzie ostatnio skaczą tylko z czwartego piętra i że czytelnikom wreszcie się to znudzi, i że mogą pomyśleć, że ciągle pisze się o tym samym.

WYJŚCIE Z EPOKI MANUFAKTURY

Wśród wielu nurtów i tendencji drążących świat drugiej połowy XX wieku ostra walka między obozem postępu i reakcji zajmuje miejsce czołowe. Bez przerwy trwają zacięte i uporczywe zmagania o umysły ludzi. Nie ma więc przesady w stwierdzeniu, że każdy kto zajmuje się propagandą, znajduje się na pierwszej linii frontu. Lecz front frontowi nie jest równy. Na naszym froncie najważniejszym celem jest pozyskiwanie umysłów dla idei socjalizmu. Naszym przeciwnikiem jest nie tylko ideologia burżuazyjna oraz reakcja we wszelkiej postaci, lecz także niedostateczna wiedza o człowieku i jego wszechstronnych potrzebach.

W propagandzie człowiek był zawsze najważniejszym obiektem. Skuteczne dotarcie do umysłów i serc ludzi zależy od bardzo wielu czynników. Nie wszystkie są równorzędne, ale wszystkie są ważne.

Z punktu widzenia aktualnych potrzeb propagandy, określanych przez przyczyny obiektywne i subiektywne, największą rolę przypisuje nauce, ściślej zaś naukowym podstawom, na których winno opierać się w propagandzie działanie. W każdej dziedzinie.

Współczesna propaganda (wg „Słownika Wyrazów Obcych propaganda znaczy: rozpowszechnianie w mowie i w druku oraz wyjaśnienie pewnych idei, nauki, umiejętności, poglądów politycznych itp.) jest, i musi być, traktowana jako dyscyplina naukowa. Różnorodne środki stosowane w propagandzie: prasa, radio, telewizja, wydawnictwa książkowe, film, wystawiennictwo etc. wymagają stałego opisu, klasyfikowania oraz wszechstronnej analizy.

Człowiek współczesny rozwinął środki stosowane przez propagandę do gigantycznych wręcz rozmiarów. Nakłady prasy, książek, ilość radioodbiorników i aparatów telewizyjnych mierzy się milionami egzemplarzy i sztuk. Nigdy w przeszłości państwa partie polityczne nie dysponowały tak wielkimi środkami technicznymi i taką masą ludzi zatrudnionych w propagandzie. Już te fakty wystarczają, abyśmy postulat oparcia propagandy o solidne zaplecze naukowe uznali za najważniejszy. Co się dotyczy polskich warunków, to nie trzeba żadnych wielkich analiz, by stwierdzić wybitny niedorozwój zaplecza naukowego propagandy. Na ten stan złożyło się wiele przyczyn. W historii Polski Ludowej były takie okresy, w których upraszczaliśmy pojęcie propagandy sprowadzając ją do pewnej ilości środków stwarzających możliwość rozpowszechniania określonych idei, tez i zadań. Każdy z tych środków, np. gazeta lub radio, był traktowany oddzielnie. Cele i zadania staraliśmy się formułować maksymalnie zrozumiałe i lapidarnie. Interesowały nas bardziej treści, aniżeli ich odbiór. Głębsza refleksja nad skutecznością naszego

działania była także osłabiona przez ogromny głód słowa, zwłaszcza pisanego, objawiany przez miliony nowych konsumentów. To przecież dopiero rewolucja socjalistyczna uczyniła z oświaty i kultury dobra powszechnie dostępne.

MIECZYŚLAW F. RAKOWSKI



Dzisiaj jest to już przeszłość. W ostatnim dziesięcioleciu, nie bez wpływu gwałtownego rozwoju techniki w dziedzinie środków masowego przekazu, a także przejścia do uprawiania aktywnej polityki współistnieniowej, pojęliśmy, iż propaganda jest niesłychanie złożona, że wymaga stałych studiów, w których centralną postacią musi być człowiek. Więc nie traktujemy już propagandy w sposób uproszczony, ale rozbudowanego zaplecza naukowego jeszcze nie posiadamy. Znajduje się ono w stanie embrionalnym. Jeszcze sporo lat upłynie, zanim będziemy mogli wyrazić zadowolenie z poziomu naukowych opracowań o propagandzie, a zwłaszcza skutkach naszego działania.

Uzyskanie takich opracowań, to jeszcze nie wszystko. Spożytkowanie wyników badań oraz uwzględnienie ich w praktycznej działalności — oto problem najważniejszy. Twierdzę, że do tej pory nie odczuwamy wewnętrznej potrzeby korzystania z już istniejących, choć jeszcze skromnych, opracowań i analiz. Lekceważymy także opracowania zagraniczne. Stosunek wielu ludzi pracujących na froncie propagandowym do tych opracowań jest co najmniej obojętny. Nie są to także problemy stojące w centrum uwagi zespołów redakcyjnych oraz naszych organizacji zawodowych. Nie istnieje także praktyka sprawdzania za pomocą znanych — i już wypróbowanych — metod naukowych skuteczności oddziaływania wielu naszych poczyną propagandowych. Np. artykułów publikowanych w prasie.

Weźmy dla przykładu gazetę o nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. Redakcja opublikowała ważny — z jej punktu widzenia — artykuł polityczny. Ilu ludzi przeczytało ten artykuł? Czy zawarte w nim argumenty trafiły do czytelnika? A jeżeli tak, to czy coś zmieniły w jego sposobie myślenia? Czy stały się np. bodźcem do jakiegoś wystąpienia? Czy dana jednostka posłużyła się argumentami zawartymi w artykule, np. w rozmowie z synem, z sąsiadem, kolegą w pracy? Kto na te pytania jest w stanie udzielić odpowiedzi? Praktycznie rzecz biorąc nikt. Jedynym sprawdzianem są listy od czytelników. Nie zawsze jednak listy takie nadchodzą. Ale jeżeli nawet redakcja je otrzyma, to jaka ilość listów daje podstawę do formułowania oceny o — jak to się ładnie mówi — percepcji artykułu? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Sto? Wkraczamy w krainę pełnej dowolności. I pozostajemy w niej tak długo, dopóty listy pisane przez czytelników traktujemy jako autorytatywne źródło wiedzy o naszej działalności. Podobnie jak opinie, które słyszymy od kolegów, przyjaciół, a nawet ludzi spotykanych zupełnie przypadkowo.

Prawdę mówiąc, sprawdziany naszej działalności propagandowej — mam na myśli prasę — pochodzą z epoki manufaktury. A przecież wkraczamy już w okres rewolucji naukowo-technicznej. Inny przykład. Znamy przemożny wpływ telewizji na umysły. Wiemy, że telewizja jest w stanie, skuteczniej aniżeli prasa, urabiać poglądy ludzi. Telewizja kształtuje stosunek do życia, sztuki, polityki, potrafi zachęcić do masowego spożywania np. pierogów, ryb itp. Są to sprawy oczywiste. Niemal intuicyjnie wiemy, że telewizja posiada ogromną władzę nad człowiekiem. Jakże są skutki tej władzy? Czy wiemy np. co się zmieniło w człowieku od momentu, gdy spokojnie spożywając kolację jednocześnie ogląda na ekranie okrucieństwa wojny w Wietnamie?

Represje stosowane wobec partyzantów Mozambiku? Czy dzięki tym obrazom rośnie w nim nienawiść do wojny, czy też zaczyna się do niej przyzwyczajać, traktować okrucieństwa jako chleb powszedni?

Sytuacja jest więc paradoksalna. Propagujemy w masowych środkach przekazu nowoczesność, zachęcamy do posługiwania się maszynami liczącymi, podnosimy znaczenie nauki w życiu współczesnego człowieka, a sami częściej zawieramy intuicji i obiegowym opiniom aniżeli nauce. Najwyższy już czas, abyśmy przystąpili do stworzenia mechanizmów umożliwiających natychmiastowe sprawdzanie skutków naszej działalności. Wszak jej głównym celem jest maksymalnie najlepsze, najskuteczniejsze docieranie do mas z humanistycznymi treściami zawartymi w społeczno-ekonomicznym programie rozwoju kraju, w naszej ideologii.

Istnieje także druga strona medalu. W ustroju socjalistycznym prasa, a szerzej — masowe środki przekazu spełniają jednocześnie dwie funkcje: przekazują w masie ideowe założenia motywujące politykę społeczną i ekonomiczną kierowniczej siły budownictwa socjalistycznego, z drugiej zaś strony odbijają poglądy, postawy i życzenia mas. W masowych środkach przekazu trwa stały dialog pomiędzy „górami” i „dołami”. Jeżeli jedna z tych dwóch funkcji zawodzi, masowe środki przekazu w ustroju socjalistycznym stają się niedoskonałą instytucją społeczną.

Prawidłowe spełnianie pierwszej funkcji — oprócz tego, iż jednostka pracująca w masowych środkach przekazu nie może być ideologicznie obojętna, musi rzeczywiście być zaangażowana po stronie zasad wyznaczanych przez partię — wymaga istnienia sprawnie działającego ośrodka dyrektywnego. Szersze wyjaśnienie potrzeby istnienia takiego ośrodka, ani uzasadnianie jego prawa do określania głównych treści i kierunków działania frontu propagandowego, wydaje się zbędne. Wystarczy powiedzieć, że masowe środki przekazu nie mogą w socjalizmie być siłą samoistną. Zresztą nie są nią w żadnym ustroju społecznym.

Co się tyczy spełniania drugiej funkcji, to spotykamy się z problemem bardziej złożonym. Jakie poglądy, postawy i życzenia wyrażane przez masy prasa powinna prezentować, a jakie nie? Odpowiedź, że tylko takie, które służą interesom socjalizmu, z pewnością nie wystarczy. Formuła jest wprawdzie słuszną, ale jak każde uogólnienie posiada luki, względnie prowokuje do pytań. Oczywiście, że praktyka udziela odpowiedzi. Zasiłane poglądy i opinie, spotykane życzenia zderzamy z ogólnymi i konkretnymi celami, jakie stawia sobie partia na danym etapie budownictwa socjalizmu, przepuszczamy je przez filtr naszych doświadczeń społecznych oraz naszych własnych koncepcji — są one także wypadkową różnych dyrektyw, sytuacji etc. I tak być musi. Jeżeli się mylimy w naszych ocenach, to albo sami siebie korygujemy, albo czyni to — jak się zwykło mówić — życie. Istota problemu polega jednak na tym, abyśmy jak najrzadziej się mylili i aby życie nie musiało nas korygować, bowiem zawsze w takich sytuacjach wylania się kwestia ceny.

Stosowane przez nas kryteria, sposoby wartościowania spraw oraz opinii, metody selekcji, itp. uległyby poważnemu wzbogaceniu, gdybyśmy wprowadzili do naszej praktyki stały, oparty na naukowych podstawach system zbierania informacji o ludziach i u ludzi. Utworzenie ośrodka badania opinii publicznej byłoby nader istotnym elementem takiego systemu. Nie przywiązuje poważniejszego znaczenia do opinii w rodzaju: „ludzie tak sądzą”, „ludzie mówią”, „na mieście mówią” itp. Słyszac je mam zawsze ochotę zapytać: jacy ludzie, ilu ich było, z jakiego środowiska itp. Choć są to opinie brane „z powietrza”, absolutnie su-

biektywne, to nie ulega wątpliwości, że niejednokrotnie są one impulsem do opublikowania artykułu oraz rodzą niejedną inicjatywę propagandową. Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że i w tej dziedzinie tkwimy w epoce manufaktury. Jako praktyk coraz bardziej odczuwam w swej pracy brak solidnego, rozbudowanego naukowego systemu zbierania informacji.

Utworzenie takiego systemu jest częścią naukowego zaplecza, który musi posiadać współczesna propaganda.

Utworzenie naukowego systemu zbierania informacji nie jest widzimisiem autora, ani też nie wynika z jakiegoś bałwochwalczego stosunku do nauki. Aktywność tego postulatów dyktują dwie przyczyny — wewnętrzne i zewnętrzne. Pełen dynamiki społeczno-ekonomicznej rozwój Polski prowadzi do wielu interesujących zmian w psychice narodowej. Uchwycenie przez propagandę tych zmian, wykorzystanie ich w propagowaniu celów polityki partii z pomocą intuicji, przypuszczeń etc. wydaje się przedsięwzięciem nie rokującym zbyt wielkich szans na dotrzymanie kroku temu wszystkiemu, co dzieje się w życiu społecznym i ekonomicznym kraju.

Przyczyna zewnętrzna uzasadniająca konieczność dokonania zwrotu w omawianej przez nas dziedzinie tkwi w fakcie wejścia obu formacji — socjalistycznej i kapitalistycznej — w erę aktywnego i wszechstronnego współzawodnictwa pokojowego.

Zadania propagandy nie będą małe, lecz rosły. Czy można będzie sprostać celom, jakie wyznacza nam partia tylko poprzez słuszne nawoływania o ofensywę ideową, ideowe zaangażowanie, bojowość i pryncypialność pracowników frontu propagandowego? Nie sądzę. Oprócz ideowego zaangażowania, no i talentu, skuteczność działalności propagandy zależy nie tylko od wiedzy o sprawie, którą propaguje, lecz także od dobrej znajomości tych, do których adresuje swoje słowa i obraz. A „Ci”, to we współczesnych warunkach wielomilionowa masa odbiorców, bombardowana codziennie ogromną ilością słów, faktów, komentarzy i obrazów. Nie sądzmy jednak, że owo bombardowanie zabija we współczesnym człowieku zdolność do posiadania własnego zdania i krytycznego osądzania faktów, z którymi się spotyka oraz argumentów, których wysłuchuje. Nie jest naszym zadaniem zwalczanie tych cech u człowieka epoki socjalizmu. Powinniśmy je umacniać, dążąc do tego, by oceniał on świat, sprawy z którymi się spotyka, i swoje miejsce w świecie z pozycji socjalistycznej. Będziemy się zbliżać do tego celu tylko wówczas, gdy nasza wiedza o człowieku epoki socjalizmu będzie maksymalnie wszechstronna. I dlatego musimy ją oprzeć na naukowych podstawach. Nasza działalność powinna nieustannie koncentrować się wokół pytania: co należy jeszcze zrobić, by wiedza propagandystów o człowieku była maksymalnie głęboka i wielostronna?

Wśród wielu zadań, jakie stawia się propagandzie, bardzo często powtarza się żądanie ofensywności. Pojęcie to skrywa w sobie wiele różnych spraw. Ofensywność, to propagowanie — bez zahamowań — ideowych wartości socjalizmu, to krytyczne oświeślanie zjawisk i podstaw konserwatywnych lub wstecznych, śmiałe ujawnianie słabości i błędów popełnianych w procesie tworzenia systemu socjalistycznego, to także polemika z poglądami burżuazyjnymi, atakowanie postaw konsumpcyjnych, ukazywanie świat rzeczywistych sprzeczności drążących świat kapitalistyczny, demaskowanie imperializmu i metod, jakimi się posługuje w celu utrwalenia swego panowania itd. itd.

Można wymienić jeszcze wiele tematów składających się na pojęcie ofensywności, ale nie o to tym razem chodzi. W kwestii „ofensywności propagandy” interesuje mnie jeden aspekt, a mianowicie szablon. Jako pojęcie praktyczne, negatywnie oddziaływa-

jące na skutki naszej działalności propagandowej.

Przy obecnym stanie świadomości mas na skuteczność propagandy wpływa bez wątpienia także zdolność propagandystów do różnicowania odbiorców. Nie tylko według klas, grup społecznych i środowiska zawodowego, ale także pod względem gustów, przyzwyczajeń, wyobrażeń itp. Co się tyczy prasy, to wystarczy spojrzeć na kioski „Ruchu”, by przekonać się, że zasada różnicowania odbiorcy jest stosowana. To samo dotyczy wydawnictw i radia. Gorzej już z telewizją.

Gdzież więc jest problem? W moim odczuciu, utrzymaniu zasady różnorodności zagraża masowość współczesnych środków przekazu. Zachęca ona nas do lekceważenia różnorodności występującej w obrębie określonej grupy społecznej lub zawodowej. Przejawiamy skłonność do traktowania jednej grupy, jednego środowiska jako jednolitej masy. W praktycznej działalności propagandowej skłonność ta może prowadzić do lekceważenia potrzeby zastanawiania się nad życiem duchowym jednostki, lekceważenia psychologii i socjologii jako tych dziedzin nauki, które ułatwiają zrozumienie motywów określających postępowanie człowieka. Lekceważenie tej potrzeby odbija się na języku używanym w propagandzie, w doborze argumentów itp. Pamiętanie o różnorodności, to problem kapitalny. Masowe serie produkcji, masowe nakłady, masowe ilości radioodbiorników i aparatów telewizyjnych, masowe wiecje i masowe ruchy — realia współczesnego życia wprost zachęcają do stosowania szablonu i lekceważenia różnorodności istniejącej w życiu duchowym człowieka. Utrzymanie tej zasady, to zachowanie wrażliwości u propagandysty — cecha konieczna i niezbędna! — to nie traktowanie człowieka wyłącznie

Wystawa ze zbiorów uppsalskich

Staraniem Miejskiej Rady Narodowej, Towarzystwa Naukowego i Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika w Toruniu nastąpiło 18 grudnia ub. roku uroczyste otwarcie wystawy księgozbioru Mikołaja Kopernika ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Uppsali (Szwecja).

Otwarcie wystawy w nowym gmachu Książnicy Miejskiej poprzedził odczyt prof. dra Mariana Biskupa pt. „Znaczenie uppsalskiego księgozbioru Mikołaja Kopernika”, potem zaś zabraniem wysłuchali koncertu muzyki dawnej w wykonaniu Capelli Bydgoszcz.

Toruńską wystawę można było zorganizować dzięki kontaktom naukowym prof. dra Mariana Biskupa ze środowiskami naukowymi Szwecji oraz jego zabiegom organizacyjnym. (b)

jako śrubki w wielkich mechanizmach, które tworzy rewolucja naukowo-techniczna.

Skuteczność propagandy uzależniam od umiejętności przekazywania ogólnie sprawdzonych, bądź też akceptowanych zasad i pojęć w sposób maksymalnie zróżnicowany, uwzględniający ogromne bogactwo życia duchowego człowieka epoki socjalizmu. W związku z tym jestem zwolennikiem silnej centralizacji w określaniu zadań dla propagandy i maksymalnej decentralizacji w ich realizowaniu przez zespoły i jednostki.

Ewa Moskalówna

LATO
STRASZNYCH KOBIET

Na sopockiej scenie zobaczysz, jeśli „Lato” Rittnera uwspółcześni, głównie poprzez kostium. Bo te niewiele było trzeba, żeby ta okrutna komedia okazała się zdumiewająco młoda — jak prababcia (Izabela Wilczyńska), która zjawia się w brawurowym finale. Krystyna Meissner wyreżyserowała to przedstawienie bez żadnych „pomysłów”, które tak lubią młodzi reżyserzy. Stworzyła spektakl zdumiewający precyzją i logiką, gdzie sytuacje rozwijają się w sposób naturalny, gdzie nie ma nic zbędnego. To zwarte przedstawienie ma znakomite tempo pozwalające śledzić perypetie akcji, a przecież nie zgubiono w nim tak charakterystycznej dla teatru Rittnera nastrojowości.

Oto modne środowisko, ekskluzywny dom i osoby ze środowiska. Takie skojczenie nasuwa przeniesienie we współczesność rittnerowska obyczajowość. Nawet językowe anachronizmy, nie tuszowane, ale przeziwne, podkreślają robota tu naturalne wrażenie — kolejnej językowej manieri „górnych 10 tysięcy” środowiska artystycznej elity.

Wakacje, chciałoby się powiedzieć wręcz — wczasy, niosące ze sobą atmosferę odprężenia, a jednocześnie oczekiwania, napięcia. Brak zobowiązań prowokuje do podejmowania ich zbyt pochopnie. Teraz albo nigdy. Tego właśnie lata bohaterki sztuki chcą poznać kogoś nowego, zmienić coś w swoim życiu. Bo bohaterkami są tu głównie kobiety, ukazane z mizoginizmem, do którego podobno tylko same są zdolne.

Cały „ensemble” kobiet śledzi reakcje najstarszej. Z okrucieństwem, w którym jest jednak wiele zrozumienia — te układy bowiem zmieniają się nieustannie. Krąg kobiet zadaje sobie rany i nawzajem je przed sobą obnaża. Walczą o mężczyznę i są w tej walce bezwzględne. Ale też walczą o niego jak o przedmiot: to one są dla siebie publicznością, więcej, jedynie godnymi przeciwnikami. Są jak wrogowie — zjednoczeni wspólnym celem. Goldersa, ten przedmiot ich zabiegów, gra Stanisław Michalski, jakby stworzony do tej roli swoimi warunkami i siłą żywotności. A przecież aktor wykracza poza oczywistość, sposób bycia tego Goldersa, to jakby świadomie wybrana poza mająca skutecznie chronić przed życiem, zapewnić powodzenie. Torup (Andrzej Piszczatowski) buntując się zaprzecza skuteczności tego sposobu... Stąd kapitalna scena bójkii na końcu, kiedy Golders nie tylko ulega wściekłości, ale jakby w rozpaczy szuka ostatecznych sposobów zmuszenia Torupa do tego, aby uznać jego poprzednią osobowość.

W istocie można uznać, że niespełnienie jest tematem tego przedstawienia. Lęk przed życiem jest cechą nie tylko Torupa, ten lęk powraca niby motyw przewodni w charakterystyce różnych postaci. Jest także u Maji Teresy Lassoty. Ta rola, idealnie przystająca do warunków fizycznych i predispozycji psychicznych aktorki jest wiodącą rolą tego przedstawienia. Widzimy doktorową nieznoszącą i wzruszającą, bezbronną i głupio-chytrą. Aktorka z prawdziwą wirtuozerią zbudowała te role na krawędzi liryzmu i komizmu, co pozwoliło jej nie tylko oddać niejasność i tajemniczość rittnerowskiego teatru, ale stworzyć żywą, bliską nam postać, w której cechy sprzeczne łączą się w sposób naturalny.

Świat kobiet wysuwa się w tym przedstawieniu na plan pierwszy, ukazany w całej rozpiętości charakterów; zwłaszcza dwie postaci postawione na przeciwnych biegunach

budzą uznanie: Lili (Krystyna Łubieńska) i Karolina (Barbara Patorska). Cały zespół zresztą jest co najmniej dobry, tym większe zaskoczenie budziła więc Elżbieta Kochanowska, która Panią Gianetti grała sztywno, „sobie a muzom”, bez żadnych widocznych prób nawiązywania kontaktu ze scenicznymi partnerami. Zaskoczenie było tym większe, że te, do niedawna szczenińskie aktorki, widzowie toruńskich Festiwali Teatrów Polskich Północnej oglądać mogli w znakomitych, a tak trudnych rolach jak Ofelia lub Szilena. Czyżby nieumiejętność odnalezienia siebie w łatwych rolach współczesnych po wielkim i trudnym repertuarze klasycznym?

Mężczyźni w „Lecie” odsuwają się na plan dalszy, odnosi się nawet wrażenie, że Henryk Bista, jako Doktor, tym razem celowo usunął się w cień. A w każdym razie stworzył jakby — ciekawą dla statycznych widzów — kontynuację swojej roli z „Lamentu”. To jakby Doktor, który owszem, „ma idee”, tylko że ta idea jest własna żona. Drugiego partnera pani doktorowej, Torupa gra Andrzej Piszczatowski. A gra nieomal bohatera młodej prozy polskiej, gdzie nadwrażliwość sąsiada i wcale nie przekreśla tchórzostwa, lęku przed odpowiedzialnością, przed jakimkolwiek decyzjami, przed życiem. Rola na miarę talentu tego młodego aktora. Nareszcie! — chciałoby się zawołać — po kilku sezonach manierejowej „ozdobnej” gestykulacji, upajania się własnym wdziękiem, przed czym nikt dotąd w teatrze nie umiał lub nie chciał aktora powstrzymać.

Postaci „Lata” ubrane są w niezwykle udane kostiumy Jadwigi Pożakowskiej, które nie tylko mają te zalety, że są piękne i zgodne z modą, ale charakteryzują również środowisko i postaci (dość wspomnieć o stroju plażowym Lili).

Niespodziankę zrobił w tym przedstawieniu Ali Bunsch, który zawsze dotąd projektował dekoracje, które najchętniej komplementowałyby się jako „poprawne”. Tu odszedł od doświadczenia. Pokazuje nam lato, nagraną plażę poprzez coś, co je oznacza, nie naśladując. Białosine spiętrzone w wydmy sztywne płótno więzi postaci, jak piasek utrudnia

ich ruchy. Pomost, który jest tu plażowym mołem umożliwia pomyślenie i niejako naturalne rozwiązanie wielu sytuacji.

Tadeusz Rittner, Lato. Teatr „Wybrzeże” 1 XII 1973. Reżyseria — Krystyna Meissner, dekoracje — Ali Bunsch, kostiumy — Jadwiga Pożakowska.

TEATR OPEROWY

Na ostatniej premierze w Państwowej Operze i Filharmonii Bałtyckiej mogliśmy w ciągu jednego wieczoru zobaczyć dwa różne dzieła: „Flisa” Moniuszki i „Pajace” Leoncavalla. Reżyser tych utworów, Sławomir Żerdzicki, wypowiedział w ciekawym wywiadzie przeprowadzonym przez Romualda Gołżewskiego „Dziennik Bałtycki” 1 XII 73) znamienne zdanie: „Osobiście nie jestem zwolennikiem gry aktorskiej w operze, która polega na konwencjonalnym powielaniu określonych wzorów. Zdaję sobie sprawę z tego, że do każdej opery trzeba zastosować odrębny sposób gry”.

Opera nie jest wcale martwa, jak to głoszą jej przeciwnicy. Wystarczyłoby pójść na spektakl, żeby móc przekonać się, że ma ona — i chyba długo będzie miała — zaprzysięgłych zwolenników. Są to fakty o znaczeniu społecznym, na które nie można zamykać oczu. Uczestnictwo w wydarzeniu, jakim była ostatnia premiera, pozwala zaobserwować, że opera dostarcza swojej publiczności nie tylko wrażeń natury towarzyskiej, o czym świadczą toalety pań nie spotykane na premierach teatralnych. Dostarcza także wrażeń estetycznych, a także głębokich przeżyć emocjonalnych — skupienie, z jakim odbierano „Pajace” świadczy o tym, że treści te zdolne są dawać nam „katharsis”, jakie zawdzięczamy wielkiej sztuce.

Tymczasem w świadomości zbiorowej istnieje stereotyp opery jako

widowiska nie do oglądania, gdzie co wrażliwi zamykają oczy, aby słuchać tylko. Gdzie akcja sceniczną polega na tym, że śpiewacy wychodzą na przód sceny i wypisują swoje kwestie. Określenie „konwencja operowa” w opisie teatralnego przedstawienia nie jest komplementem. Wydaje się, że — wobec żywotności gatunku i treści jakie zawiera — warto byłoby zerwać z operową sztafą, tworzyć widowiska ciekawe także w sensie czysto teatralnym.

Cele takie z pewnością stawiali sobie twórcy ostatniej premiery. I warto — pozostawiając sprawy muzyczne fachowcom — zastanowić się nad tym, jak im się to udało. Zjednano sobie do współpracy znakomitego scenografa Zenobiusza Strzeleckiego i jego oprawa scenograficzna z pewnością przyczyniła się do sukcesu przedstawienia. Na premierze partię Zosi śpiewała Urszula Szerszeń-Malecka. Jej występ w „Studencie żebraku”, gdzie stworzyła świetną rolę w samej sylwestrowej postaci, zagraną z nerwem i dużym wdziękiem, pozwalał się wiele spodziewać od jej, także aktorskich, zdolności. We „Flisie” nie wyszła niestety poza stereotypową słodką, pokazaną tak przyszłowiowi już gestami, jak kręcenie koniuszków warkoczy itp.

Oczywiście, że coś trudniej zagrać w dzisiejszych czasach, niż prawdziwą słodką. Niezależnie od tego, wielu tak chwalonych w popremierowych recenzjach wykonawców, stworzyło postaci typu dobrze nam znane. A więc „szlachetny amant” Jerzego Dąbrowskiego, „stary wiarus” Kazimierza Sergiela. Nic w tym zresztą złego. Stanowczo natomiast trzeba zaprzestować przeciwko temu, co zrobił, w sensie aktorskim, Antoni Tempelski jako Jakub. To już nie typy z dawnego teatru, nie „konwencja operowa” nawet, to prawdziwy fryzjer z bardzo złej operetki. Mówiąc o aktorskich blaskach i cieniach „Flisa” trzeba wspomnieć o Małgorzacie Armanowskiej, młodej debutantce, obdarzonej znakomitymi warunkami scenicznymi, która w partii Władysława ujęła nas liryzmem i prostotą.

We wspomnianym już wywiadzie reżyser powiedział, że „Pajace” jako dramat werystyczny, twórcy przedstawienia umieszczają „w atmosferze dużego realizmu”. Koncepcja ta, konsekwentnie przeprowadzona, dała znakomity efekt: rzeczywiście w sposób niejako naturalny wiążąc sceniczną akcję z muzyką, ze śpiewem. Mamy tu do czynienia z chwytem „teatru w teatrze”, dającym zawsze pole do popisu reżyserowi. Tutaj szczególnie udane było podkreślenie konwencjonalności scenicznego akty odgrywanej przed publicznością przez główne osoby dramatu i kontrast między jej pogodą, a tragedią, ku której zmierza akcja rzeczywista. Kontrast ten podkreślała reakcja publiczności scenicznego i jej nieświadomość co do rzeczywistego sensu rozgrywających się wydarzeń. Weryzm, jakim posłużono się przedstawiając osoby dramatu, zwykłe czynności, jakie wykonują, zderzono z ich zachowaniem na scenie. Nedda jako Colombina, Bepo jako Arlekin mają w przedstawieniu commedie dell'arte jakieś gą, mechaniczne i konwencjonalne gesty zabawek, tytułowych „pajaców”. Życie bierze górę nad sceniczną akcją, Nedda reaguje jak żywa kobieta, by za chwilę podjąć próbę uratowania sytuacji — nie, pewnie powraca do mechanicznych gestów postaci, które gra.

Wszyscy premierowi wykonawcy osiągnęli te życiową prawdę namierzoną przeciwstawioną „grze”, udawaniu, czy może szerzej — sztuce. Zwłaszcza Józef Figas jako Canio, Czesław Babiński jako Tonio, Franciszek Kokot jako Beppo. Osobne pochwały należą się Elżbiecie Gałuszyńskiej, która jako Nedda przykuwała wielką siłą wyrazu. Przy tym jej warunki zewnętrzne współgrają z rolą, jej chmurna twarz, ciężkie spojrzenie wyrażają przecucie nieszczęścia. (ehm)

Stanisław Moniuszko, Flis; Ruggiero Leoncavallo, Pajace. Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka 1 XII 1973. Kierownictwo muzyczne — Zbigniew Chwedeć, reżyseria — Sławomir Żerdzicki, scenografia — Zenobiusz Strzelecki.

Krystyna Łubieńska i Andrzej Piszczatowski w „Lecie” Rittnera

Fot. T. Link





MÓWIMY O KOBIECIACH,



MYŚLIMY O SAMOCHODACH

Jeden samochód osobowy przypada na 50 statystycznych Polaków, co znaczy, że na przeciętnego polskiego mężczyznę przypada koło, wycieraczka, może jeszcze korbka do podnoszenia szyby. Ale ten przeciętny polski mężczyzna wie o konstrukcji, zaletach i wadach, cenach i kosztach każdego samochodu wielokrotnie więcej, niż mężczyzna z jakiegoś kraju wysoko zmotoryzowanego.

Kiedy byłem jeszcze studentem, a czasy bardziej postne niż dzisiaj, na naszych koleżeńskich zgromadzeniach rozmawiało się o siłach napędowych historii i o marksizmie otwartym. Dzisiaj mówi się o kołach napędowych i o zamkniętym układzie chłodzenia. Mówiło się także, rzecz jasna, o kobietach, i dzisiaj mówi się nadal. Ale kobiety zorientowały się, że to tylko kamuflaż, że są tematem honoris causa; to one właśnie, szydząc z mężczyzn, którzy zniewieścieli, ukuły owo złośliwe powiedzenie: „mówimy o kobietach, ale myślimy o samochodach”. Kto wie, może istotnie za czasów jazdy konnej byliśmy bardziej męscy, niż dzisiaj, nie tyle jeżdżąc samochodem, co marząc o nim.

Posłuchajcie rozmów w salonach, w których panowie o siwiejących skroniach podniecają się jak dzieci. Popatrzcie na facetów, którzy od niechcenia kręcą na palcu wisiorek z kluczami; nie widać, że to klucze od biurka z aktami albo od, z przeproszeniem, służbowego wychodka. Zauważcie tych fanatyków, którzy wpinają sobie w kłapę znaczek z napisem „Polski Fiat”, czy jakimś obcojęzycznym „MG”. A najlepiej przejdźcie się w niedzielę na giełdę samochodową. W każdym większym mieście jest takie miejsce, jeżeli jeszcze oficjalnie nie uznane, to w każdym razie znane i odwiedzane przez snobów.

- Widziałas? Nowotkiewicz...
- Przy czym, przy czym?
- Przy tej renówce. Ale nie sądzę, żeby

kupował. Zauważył nas, to chce się popisać.

Nowotkiewicz w tej samej chwili będzie szeptał do żony:

— Nie rozglądaj się! Skup się na tapicerce.

— Przecież nie mamy nawet połowy tej sumy...

— Jak będziesz o tym głośno trąbić, to nawet ćwierci nie będziemy mieli. Zaglądaj pod oparcia, z uczuciem!

Nowotkiewicz wie, co robi. Szanuje się u nas fachowość, ceni zapał, zachęca do inwencji; ale najlepszą pozycję towarzyską i w ślad za tym zawodową zdobywa u nas ten, kto ma porządną wóz. Może to nie jest całkiem to samo, co w burżuazyjnych społeczeństwach zachodu, gdzie trzeba zadawać sztyku posiadaniem. Jeżeli Nowotkiewicz ma taki wóz — będą myśleli jego koledzy i przełożeni — to widocznie ma dużo forsy, widocznie sporo zarabia, widocznie jest tego wart. Na dodatek mógł dostać przydział, czyli i władza go ceni, a władza wszak wie, co robi. Słowem — musi to być nie byle kto. Trzeba mu dać awans, premię czy nagrodę.

Na giełdę kupić albo sprzedać przychodzi się w takiej proporcji do reszty, co posiadacze samochodów w statystycznym roztworze całego społeczeństwa: jeden na pięćdziesięciu. Pozostałych czterdziestu dziewięciu przychodzi pokazać się, popatrzeć na innych, popisać znajomością albo po prostu pomarzyć.

— Z którego roku ten foks? — pyta młody człowiek, wskazując „Volkswagena”, ale nazywać rzeczy po imieniu byłoby świadectwem naiwności i prowincjonalizmu.

— Z 67-go — odpowiada właściciel.

— Co pan? Sześćdziesiąty siódmy miał wlot powietrza owalny i kierownicę kielichowatą — ripostuje tamten, szczęśliwy, że jest górą. W kieszeni ma tyle pieniędzy, co na bilet tramwajowy z powrotem do domu. Ale nastrój, jak po wygranej bitwie pod Jeną.

Doświadczeni sprzedawcy w ogóle nie odpowiadają na pytania ludzi, których ubiór i postura zdradzają przynależność do „szpa-

gatowej inteligencji”: Biała koszulka, elegancki krawat, wyczyszczone buty, a w dalszym tle spółdzielcze M-3, jedno dziecko, żona na podobnej posadzie, nadzieje na własny samochód za 10—15 lat, oczekiwanie skracane marzeniami. Doświadczeni sprzedawcy ożywiają się, kiedy na giełdę wkracza facet w wytartym skórzanym płaszczu i oprychówce, w niemodnym garniturze i gumniakach, ktoś taki. Nie ma żadnego stanowiska, nie może liczyć na żadne przydziały, nie udaje nikogo, kim nie jest — ale za to ma pieniądze.

„Szpagatowi” wracają na niedzielny obiad, po którym przerzucają ilustrowane tygodniki, gdzie niemal zawsze znajdzie się coś o samochodach. Redakcje wiedzą, na co czytelnicy poleca. Za kilka złotych ma się porcję marzeń i całkiem gratis samopoczucie świadka. — Nie podoba mi się ta dźwignia pod kierownicą — grymasi mąż do żony przy podwieczorku. — Kiedy mam wajchę tu, pod ręką, to przynajmniej wiem, że jadę! Tak mu to dobrze zabrzmi, że nazajutrz powtórzy dokładnie te same słowa kolegom w biurze. W zasadzie się z nim zgodzą, ale ktoś jeden dla podtrzymania rozmowy przyjmie na siebie przekorną rolę zwolennika wajchy tak, a nie tak, i trzydziestoletnie dzieci miło spędzą dniówkę na intelektualnych rozmowach, po czym rozjadą się tramwajami do domów.

Nieraz zdarzało mi się trącać temat samochodowy. Po każdym artykule dostawałem sporo listów. Ciekawe, że ludzie, którzy interesują się aparatami fotograficznymi, czy piecykami do ogrzewania wody są nie tylko liczni, ale i mniej agresywni, niż ci od samochodów. Ton większości listów był taki: „Ty chmyzie, odpędzasz innych od samochodu, żeby dla ciebie starczyło, czy nie płacą ci dość judaszowych srebrników za twoje głupawe wymysły, żebyś rozbijał się taksówkami, a nas zostawił w spokoju? Wszędzie na świecie samochód jest już od dawna normalnym sprzętem, tylko u nas...” itd.

Oczywiście nie tylko u nas, ale to prawda, że na tym polu jesteśmy bardziej spóźnieni za czołową, niż na innych. Przez lata obowiązywała u nas, a właściwie we wszystkich krajach socjalistycznych zasada: „Najpierw samochody dla wszystkich, potem dla każdego”, a więc najpierw autobusy i ciężarówki, potem dopiero samochody osobowe. Budowano FSO i podejmowano produkcję pocztowych „Warszaw” z myślą o wozie, którym władza z powiatu skoczy do każdej gromady, nawet gdzie droga marna. Potem przestawiono fabrykę na „Fiaty 125”, celując głównie na postępowy techniczny cały branża, wszystkich dostawców, i na eksport. Ale to było już w czasach rozbudzonych apetytów samochodowych i dlatego szpagatowa inteligencja ostro atakowała wybór tego właśnie wozu, nie chcąc słyszeć o korzyściach gospodarki, o planach eksportowych. — A dla mnie — powiedział mi wówczas jeden z wiceministrów — ten wóz może w ogóle nie jeździć. Mnie wystarczy, że kupiliśmy w nim zawarte 94 patenty, będące własnością Fiata: na lakier, na szyby, na opony, na obróbkę taką i owaką. Jeszcze je zobaczymy.

Zobaczyliśmy: szybkie uruchomienie produkcji małych „Fiatów” było możliwe dzięki temu, że wcześniej opanowaliśmy duże. Ale opinia publiczna znów nie jest zadowolona: tamten był za duży, a zresztą niech by był duży, ale za drogi; ten znów jest za mały, a w każdym razie jak na takiego małego — za drogi. Oczywiście obniżenie ceny nie spowodowałoby żadnej nagłej obfitości samochodzików, które mimo że takie małe i takie drogie, na giełdach są rozchwytywane po jeszcze wyższej cenie. Ale nie to nas interesuje. Wysokie ceny samochodów mają na drugim biegunie niskie ceny komunikacji masowej, podobnie jak kosztowne orbisowskie wycieczki zagraniczne zarabiają na tanie

PEDA- GOGIKA REFLEK- SYJNA

W rocznicę 90-lecia swoich urodzin, prof. dr Kazimierz Sośnicki ofiarował uczniom i polskim pedagogom dzieło, jakie nie ukazało się dotychczas w polskiej i zagranicznej naukowej literaturze pedagogicznej.

Autor opracował, ze stanowiska pedagogiki refleksyjnej, dzieło pt. „Teoria środków wychowania” (Książka ta jest właściwie dalszym ciągiem poprzednio wydanej pracy pt. „Istota i cele wychowania” (Nasza Księgarnia 1964, 1967). Praca ta

określała źródła celów wychowania, szczególnie ideału wychowawczego. Wyjaśniała ona cele treści procesu wychowawczego.

Rozprawa obecna przedstawia ogólną teorię samego procesu wychowywania, tj. czynności, które mogą prowadzić do uzyskania wytkniętych celów. Autor wyraźnie odróżnia od siebie dwie strony całości procesu pedagogicznego: jego treści, które są wyrażone w celach wychowania, od samych czynności wychowywania, od funkcji procesu wychowawczego. Same czynności pedagogiczne mają charakter celowy, a treść tych czynności stanowi środki wychowania. W rozumieniu autora cele są „zewnątrzne” w stosunku do całości procesu wychowawczego, natomiast środki wychowania określają czynności tego procesu i stanowią jego stronę „wewnętrzną”. Środki te stanowią istotę znaczenia wychowywania.

Profesor Sośnicki w swojej rozprawie dąży do takiego usamodzielnienia czynności wychowania, aby dla badań pedagogicznych wystąpiły one jako osobny problem. Autor w procesie usamodzielnienia środków wychowania, w stosunku do ich celów, widzi możliwość ograniczenia do pewnego stopnia psychologizmu pedagogicznego na rzecz obiektywizmu, dzięki zwracaniu uwagi na pojęcia dostarczane wychowaniu przez nauki socjologiczne i etykę. Prof. Sośnicki stwierdza, że istota procesu wychowania i jej realizacja nie może być skrajnie pąjdcentryczna, ale w odpowiedni sposób musi łączyć „swo-

bodny rozwój” z celowym „urabianiem”. W rozprawie zwrócono uwagę na to, że wychowanie, rozumiane jako „urabianie”, wymaga stawiania celów, środków i jest wychowaniem „refleksyjnym”, które ma „teorię swojej istoty”. Rozróżnianie przez autora dwóch stron procesu wychowania, w celach i środkach, nadaje mu właściwe znaczenie. Prof. Sośnicki pokazał, że problem środków wychowania jest jednym z podstawowych zagadnień badań ogólnych podstaw teorii wychowania.

Badania nad środkami wychowania, których właściwa treść leży w treściach motywacji, pomogły autorowi ukazać pełny proces wychowania, stanowiący połączenie między jego „zadaniami” i „rezultatami”. U podstaw teorii środków wychowania leży pojęcie wychowania refleksyjnego. W pracy wskazano na następujące jego istotne cechy: jest ono świadome, celowe i systematyczne. Cech tych nie posiada wychowanie bezrefleksyjne. Podobnie cechy te nie występują w pojmowaniu wychowania przez „samo życie”, np. w pewnej grupie społecznej lub w przyrodzie. Rozumie się wtenczas, że sytuacje wychowawcze zjawiają się niezależnie od zamiarów wychowywania, same przez się, np. przez zjawiska przyrody stanowiące warunki życia człowieka; wywierają na niego silny wpływ i rozwijają w nim pewne właściwości psychiczne przez to, że składają go do pewnego sposobu postępowania. Podobnie współzycie człowieka w pewnej grupie społecznej wpływa w sposób uzgadniający na jego postępowanie

i tryb życia z tą grupą oraz urabia go według modelu grupy. W wypadkach takich, zdaniem autora, nie ma świadomości procesu wychowania po stronie czynników wychowujących, ani po stronie wychowywanego, stąd jest to wychowanie bezrefleksyjne. Obywa się ono w sposób nieswiadomy, bez wyznaczenia celu i bez pewnej systematyczności. Prof. Sośnicki zwraca uwagę na to, że istnieją teorie pedagogiczne, które na takie bezrefleksyjne wychowanie wskazują jako na podstawowe, a czasem wychowanie refleksyjne pragną zredukować do bezrefleksyjnego. W pracy przytoczono dwa takie wypadki: teorię wychowania jako „wrastanie w kulturę dorosłych”, uzasadnioną przez J. Deweya, oraz teorię „socjologii wychowania”, lub „sopedagogikę” E. Dürkheima.

Autor przedstawił teorię środków wychowania na tle właściwie rozumianej pedagogiki refleksyjnej. Dał on czytelnikowi dzieło twórcze, nowatorskie, oryginalne, przede wszystkim potrzebne współczesnej polskiej szkole.

*) Kazimierz Sośnicki, Teoria środków wychowania. Nasza Księgarnia, Warszawa 1973, s. 194, cena 27 zł.

Książki

wczasy pracownicze, a z dochodu, jaki daje skarbowi państwa wódka, finansuje się kredyty na budownictwo mieszkaniowe. Państwo socjalistyczne nie może umyć rąk od interwencji w rozdział zamożności, jednych obciąża, drugim ulży; nabywcy aut dźwigają na sobie dosyć spory ciężar akumulacji i będą nadal dźwigali. Mogą więc sobie spokojnie pomarzyć i powygrażać mnie, judaszowi, który pisze to wszystko wyłącznie po to, żeby dla mnie starczyło samochodu.

Ale o co taki szum? Dlaczego samochód miałby być dobrem aż tak pożądanym? Czy istotnie przenoszenie się z miejsca na miejsce jest aż tak silną potrzebą?

A może prawdą jest to, o czym uprzedzają nas znawcy zachodniej reklamy, że potrafi ona sztucznie wznęcać potrzeby, a potem rozpalić do białości? Może padliśmy ofiarą jakiejś wielkiej intrygi fabrykantów samochodów, ulegliśmy zdradliwej muzyce, do której przyłączyli się i nasi producenci, chociaż wcale nie mają trudności z rozsprzedaniem swojej produkcji?

O tym, że świat zwariował, wiadomo od dawna. Samochody są jednym z najbardziej jaskrawych przejawów tego wariactwa. Ile już na ten temat napisano artykułów, narysowano karyktur, nakręcono filmów! Nic nie pomaga, wariatowi się niczego nie wyperswaduje. Niedawno tygodnik „Forum” przyniósł przedruk artykułu amerykańskiego ekonomisty, który przeliczając cenę samochodu na ilość pracy, jaką trzeba wykonać, żeby te pieniądze zarobić — doszedł do wniosku, że o wiele mniej energii społecznej wymaga kręcenie pedałów przy jeździe na rowerze. Czyli obliczył teoretycznie to, co intuicja podpowiada wielu cyklistom w Ameryce, Danii, Holandii i innych krajach: samochód nie ma sensu!

Moi sąsiedzi nie czytają „Forum”. Każdy ma takich sąsiadów. Nie mają czasu. W dzień powszedni harują na spłatę rat, a w



niedzielę czyszczą swoje pudło. Chodzi nie tylko o to, żeby było czyste, ile żeby rdza się nie zalegała, bo potem kłopoty przy sprzedaży. Jeszcze na dobre nie kupili, a już planują, jak będą sprzedawać. Żeby za dużo nie stracić. Żeby starczyło na pokaźną pierwszą wpłatę na następny, z którym będą te same zmartwienia. Z pewną przesadą powiem, że samochód w Polsce służy nie tyle do jeżdżenia, ile do posiadania, kupowania i sprzedawania.

Może rower nie jest najszcześniejszą alternatywą. Ale spróbujmy policzyć, ile nasze społeczeństwo musi wydać obojętnie, czy z kieszeni indywidualnych, czy ze wspólnej — na produkcję i utrzymanie aut, na benzynę i oleje, na naprawy i przeglądy, na szosy i ulice. Ogromna suma, z której spora część jest bezpowrotnie marnowana: prywatne samochody albo stoją, albo jeżdżą z jedną osobą w środku. A teraz spróbujmy sobie wyobrazić, jaką za te pieniądze można sprawić wspianą sieć kolejową, w ilu miastach metro, lotniska, autobusy. Nawet u nas — a co dopiero w krajach, gdzie ilość prywatnych aut liczy się w miliony?

Oczywiście, to tylko teoria. Za daleko zaśliśmy tą drogą, którą przed nami wydeptały kraje bardziej rozwinięte i za bardzo rozpaliłyśmy apetyty ludzi, którzy chcą koniecznie tak samo jak na zachodzie. Więc możemy co najwyżej smętnie popatrzeć wstecz, ku tym bezpowrotnie minionym chwilom, kiedy można było jeszcze wyobrazić sobie, że zamiast na sposób indywidualny — zaspokajając będziemy potrzeby transportowe ludzi w sposób wspólny. Ale wtedy z kolei nie było na to pieniędzy. Nie było pieniędzy, bo społeczeństwo było za mało produktywnie, bo hasła wspólnoty nie dobywały z ludzi takiego wysiłku, jaki dziś jest w stanie wykrzesać perspektywa własnego auta. W ten sposób koło się zamyka. Musimy iść tą drogą, chociaż nie jest to droga najrozsądniejsza.

Z POLSKI DO NIEMIEC

Określenie „esej” bardzo się u nas zdezawutowało; wydawca znakomitej książki Stanisława Szenica „Za zachodnią miedzą” nazywa szumnie esejami szkice biograficzne, w gruncie rzeczy gawędy, reportaże historyczne, bezpretensjonalne opowieści... Mniejsza z tym. Zamysł wytrawnego szperacza, znawcy dawnych prądów kulturalnych i obyczajowych, był klarowny i oryginalny: pokazać Polaków XVIII i XIX w., którzy zasłużyli się dla kultury niemieckiej — kultury artystycznej, umysłowej, politycznej, ale też dla tamtejszych zjawisk społecznych, militarnych, prawnych etc. Przyjrzyć się przenikaniu żywiołu polskiego do zachodniego sąsiada.

Proces przenikania elementów polskich do niemieckiego zaczyna się — jak wiadomo — już u progu drugiego tysiąclecia, gdy córka Bolesława Chrobrego i Emnildy — księżniczka Regelina — poślubiła margrabiego Miśni, wnosząc wiele — jak powiada ładnie Szenic — „polskiego uroku i wdzięku do ojczyzny swego męża; nawet od jej kamiennego posągu, który uśmiecha się do nas w katedrze naumburskiej, trudno oderwać wzrok”. Kronikarze, a następnie historycy niemieccy poświęcili sporo dociekań swoim ziomkom, którzy w Polsce znaleźli nową ojczyznę. Tymczasem wokół tego, co można by określić jako przenikanie w drugą stronę: z Polski do Niemiec, panowało w naszej nauce historycznej solidarne milczenie, przerywane tylko czasem nader powściągliwymi i oschłymi wzmiankami. Dlaczego?

Zacytujmy Szenica: „Stało się to zapewne dlatego, że uwagę polskich naukowców i literatów pochłania przede wszystkim zagadnienie walki z germanizacją, chęć ukazania, jak niechętnie Polacy wyrzekają się swej narodowości. Przyznać się, że daliśmy coś z siebie naszym zachodnim sąsiadom, z którymi na przestrzeni tysiąclecia nader często bywalimy w stanie wojny — byłoby niemal równoznaczne z przyznaniem się do klęsk politycznych, zwłaszcza się do utraty żywych, zdolnych jednostek, niemających się nolenis volens”.

Potwierdzeniem tych słusznych, w określonym kontekście historycznym, w określonej a specyficznej sytuacji polityczno-społecznej słów, jest sporządzony przez Szenica osobliwy i wielce zastanawiający aneks; otóż na końcu książki autor pomieścił spis szlacheckich rodzin polskich, których członkowie w wieku XVIII i w początkach XIX wstąpili na służbę w pruskim wojsku, administracji lub sądownictwie. Ponad tysiąc rodzin! Szenic oparł się jedynie na herbarzu

Emiliana von Żernicki-Szeliga (także zapewne ziemianina Polaka) „Der Polnische Adel”. A ileż dalszych polskich nazwisk kryją inne herbarze...

Imponujący rejestr Polaków — ludzi utalentowanych, wrażliwych, męźnych i przedsiębiorczych — którzy zdomowali się w państwach i księstwach niemieckich, by tam robić karierę. Filozofowie i malarze, feldmarszałkowie i poeci, fabrykanci i kompozytorzy, lekarze i uczeni, rzemieślnicy i żołnierze. Nie chcę czytelnikowi psuć nastroju paru godzin, które warto, które trzeba spędzić nad książką Szenica, frapującą opowieścią o dramatycznych, barwnych, pasjonujących polskich losach — nie będę przeto „swoimi słowami” streszczał jej zawartości. Zatrzymajmy się jednak nad kilkoma nazwiskami, sprawami i faktami — związanymi z Gdańskiem, Kaszubami, Pomorzem.

Oto w doborowym towarzystwie ludzi nauki, polityki i handlu, jeden z najświetniejszych miedziorytników, rysowników i ilustratorów Oświecenia europejskiego, Daniel Chodowiecki. Szenic drobiazgowo i wnikliwie otwiera koleje życia sławnego gdańszczanina, by w końcowej partii szkicu zastanowić się nad przynależnością narodową Chodowieckiego. Wiemy, iż ożenił się z Niemką i osiadł w Berlinie, który obdarzył go najwyższymi godnościami: rektora, a następnie dyrektora Akademii Sztuk Pięknych. Biografowie i krytycy niemieccy kolejnych generacji uważali go za Niemca i za artystę ściśle przynależnego do kultury niemieckiej. On sam wszakże, pod koniec twórczego żywota, napisał w liście do Józefa Łęskiego: „Mam sobie za zaszczyt być prawdziwym Polakiem, chociażem osiadł w Niemczech...”. Potem podaje rodowód swych przodków po mieczu i stwierdza, że jest pierwszym Chodowieckim, który opuścił kraj i zamieszkał w Niemczech.

Badacze polscy raz brali go za człowieka świadomego swej polskości, kiedy indziej znowu — uważali, iż uległ zupełnemu ziemianinowi z środowiska berlińskiego. Co o tym sądzić? Zdaniem Szenica, przy zastosowaniu kryteriów prawnych, należałoby zgodzić się z tym, co malarz wyznaje w przedśmiertnej korespondencji; był przecież synem szlachy polskiej, był poddany króla polskiego, gdy się osiedlił w Berlinie. A jednak listy wywołują zdziwienie: pisze je przecież pruski dyktarz, który przez całe życie nie wspominał o swoim polskim rodowódzie... Szenic nie chce wdawać się w jawne, akademickie spory, konkluduje trochę „dyplomatycznie”, ale chyba i prawdziwie: „Wkład jego do kultury niemieckiej był olbrzymi. Jest artystą, bez którego nie można sobie wyobrazić Niemiec XVIII wieku. Trwałe miejsce zajmuje jednak również w sztuce polskiej (...). Nie tylko ze względu na jego przodków Polaków po mieczu i na fakt podkreślenia swej polskości przez artystę, lecz również ze wzglę-

du na tmatykę polską w jego twórczości, zwłaszcza w szkicowniku gdańskim, przybliżającą nam przebrzmiałą epokę stanisławowską”.

W rozdziale „Służba wojskowa” Szenic śledzi proces germanizacyjny szlachty polskiej, która dość tłumnie garnęła się pod sztandary pruskie. Zwalazcza król Fryderyk II cenil rycerskie zalety Polaków, na wszelkie sposoby wciągał ich w szeregi swojej armii, stwarzał specjalne pułki, budował szkoły kadeckie. Ponurą rolę odegrała szkoła kadetów w Słupsku, założona w 1765 r. i przeznaczona dla synów szlachty leńborsko-bytowskiej. Również w Chełmnie założono szkołę kadetów — dla szlachty Prus Królewskich, zaś gdy i tam miejsce było za mało, Polaków ekspedowano do zakładów w Berlinie. Efekt? Tak pisał niemiecki historyk: „Znamienni ludzie wyrosli z tej kaszubskiej szlachty... W następnych wojnach o niepodległość Prus walczyli oni jako dzielni oficerowie, godni swych ojców, z równą wiernością i męstwem i otrzymywali dostęp do wyższych godności” (Max Bär, „Westpreussen unter Friedrich dem Grossen”). Zgermanizowani Pomorzanie, zajmowali również poczesne miejsca w administracji Prus.

„Będzie heraldyczną sensacją — pisze Szenic — że polskiego pochodzenia jest również sławny pruski feldmarszałek Hans David Ludwik hrabia York von Wartenburg”, — by następnie dojść do wniosku, iż protoplastów arystokratycznej rodziny York von Wartenburg należy szukać nie pośród stronników Stuartów w dalekiej Anglii, ale w zapadłym kaszubskim zaścianku Gostkowie. Nie jest to jednak żadne rewelacyjne odkrycie dla historyków Pomorza i wszystkich, którzy nawet i po amatorsku zajmują się przeszłością tego regionu. Również prasa Pomorza, fachowa, literacka i popularna, sporo pisała (m.in. piórem T. Bolduana) o kaszubskim rodowodzie wysokich dostojników wojskowych i politycznych Prus i Niemiec. Trochę więc przesadził uroczy pan Stanisław z tą „heraldyczną sensacją”.

W kolejnych szkicach czytelnik znajdzie fascynujące polsko-niemieckie biografie różnych Gockowskich, Jabłonowskich, Radziwiłłów, Raczyńskich, Hutten-Czapskich, Radolińców, którzy za zachodnią miedzą zakładali póżne manufaktury, robili oszałamiające fortuny, fundowali akademie i towarzystwa naukowe, układali muzykę do niemieckich arcydzieł literackich, bywali ambasadorami i posłami nadzwyczajnymi przybranzej ojczyzny, pisali jej historię, oddawali swe talenty, wiedzę i umiejętności państwu niemieckiemu, tworzyli jego pomyślność i zamożność. Zaiste, Polacy potrafiali także pracować dla innych. Jeśli tę prawdę chciał Stanisław Szenic przypomnieć w pełni osiągnął swój zamiar, przeprowadził bowiem dowód niezmiennie przekonujący.

Sto tysięcy Polaków w Berlinie. U schyłku XIX wieku metropolia Rzeszy niemieckiej stała się — po Warszawie — największym miastem polskim. Polonii berlińskiej poświęcił Szenic sporo uwagi, koncentrując się zwłaszcza na najświetniejszych jej nazwiskach — na Falcie i Wojciechu Kossaku (malarzach nadwornych Wilhelma II), na Stanisławie Przybyszewskim (przywódce niemieckiej i polskiej moderny literackiej).

I jeszcze: Fryderyk Nietzsche i Gottfried Leibnitz, Goethe i Maria Szymanowska i — Polacy w Monachium i Westfalii, Polacy w nauce i muzyce niemieckiej, i — Anusia Orzeska, miłość Fryderyka II, i — piękna księżna Karolina z Iwanowskich Sayn Wittgenstein, właścicielka sławnej w kołach artystycznych Niemiec i całej Europy willi „Altenburg” w Weimarze...

Erudycja i anegdota. Źródła i plotki. A wszystko ozdobione sławnym Szenicowym stylem, serdecznym, ciepłym, żywym i wartką, zajmującą narracją. Szenic jest informatorem precyzyjnym i byskotliwym. Opierając się na zweryfikowanym naukowo materiale historycznym, sięga zarazem do arcycekwych pokładów anegdotyczno-faktograficznych; każda kwestia, każde zdanie niosą tu rzeczywiście bogaty ładunek wiedzy, podanej szalenie apetycznie i zachęcająco. I skłaniającej do refleksji. Przede wszystkim — nad zawilgocionymi drogami, nad przeszłością wielką i smutną. Jednym z celów tych rozważań są wszak dociekania, jak przebiegał, a zwłaszcza jakie nasilenie miał proces germanizowania się Polaków w Niemczech. Mimo uznania dla polskiej aktywności i przężności — wnioski są przecież pesymistyczne. Tyle straconych serc i głów... Ale, ale — szkice Szenica nie są traktatami historiozoficznymi, ani rozprawami o słabościach natury ludzkiej. Są to — napisane przednią, krwistą, czystą polszczyzną — gawędy o historii, o człowieku w historii.

Zresztą, aby czytelnika uchronić przed melancholią, autor pomieścił również szkice o przypadkach repolonizacji. Stwierdzając, iż z tych „rozważań zdaje się wynikać, że zapewne na setki tysięcy liczyć można Polaków i ich rodziny, którzy ulegli w ciągu wieków germanizacji”, a proces ów „został przerywany czy zahamowany wybuchem pierwszej wojny” — Szenic zatrzymuje naszą uwagę na osobach, które odzyskały zatraconą świadomość polskiego pochodzenia. Zapewne wypadki takie nie były odosobnione, lecz do historii przeszła przede wszystkim repolonizacja Wojciecha Kętrzyńskiego, jego też życie zostało w tej książce szczegółowo opisane.

„Za zachodnią miedzą” — to pozycja mądra i piękna.

*) Stanisław Szenic, Za zachodnią miedzą. Państwowy Instytut Wydawniczy, Wa-wa, 1973, s. 375, cena 50 zł.

POCZTYLON LITERACKI

Jerzy K. — Gdańsk

„Pocztylon” dziękuje za ciekawy list, który jest recenzją... „Pocztylona”. Wiele zawartych stwierdzeń jest słusznych i mogą Panu szczerze wyznać, że odkrył Pan wątpliwości, które mną miotają, gdy redaguję odpowiedzi. Rzecz da się sprostać nie tylko do kryteriów oceny, ale i do stylu odpowiedzi. Ogólnie rzecz biorąc ma się do wyboru dwa takie style: albo tolerancyjny, podsycający marzenia autorów, albo demaskujący, szczerze odsłaniający wszystkie braki w nadesłanych utworach. Pan proponuje jeszcze trzeci, zachowawczy styl odpowiedzi: „może to, co Pani/Pan przysłał jest dobre, ale NAM się wydaje jeszcze niedojrzałe...”

Doświadczenia, a zbieramy je od kilku lat, wykazują, że zachowawczość taka (gdzie indziej zwana oportunistycznym) niczego autorowi nie daje. Miejszy przypadki, że autor po recenzji odrzucającej utwór jako zły, po pewnym czasie tak rozwiniął swój warsztat, że dziś pisze zupełnie dobre wiersze, ba, nawet uzyskał za nie wyróżnienie na konkursie literackim. Ma Pan rację, autora zapewne dręczy do dziś owa recenzja z tamtych lat (mam na to dowody), ale w końcu liczy się efekt końcowy. A ten przemawia za naszą metodą.

Prześlał Pan do nas wiersz pt. „Wycinek czasu jesiennego” i prosi Pan o krytykę, a ocenę. Chcę się teraz posłużyć Pańską propozycją stylu. Oto ona: „może wiersz Pańskim zdaniem jest dobry, ale nam się wydaje jeszcze niedojrzały i na razie nie skorzystamy”. Jest Pan z tej odpowiedzi zadowolony? Czy takiej spodziewał się Pan, przysyłając do nas wiersz? Proponując coś najlepiej odnieść do siebie samego; wtedy dopiero okazuje się przydatność rad.

Roman B. — Gdańsk

W liście towarzyszącym poprzedniej przesyłce z wierszami wspominał Pan o swoich próbach w prozie: „napisałem jedną powieść kryminalną, a teraz zacząłem pisać, lecz o odmiennym temacie, a mianowicie powieść o XXX-leciu Polski Ludowej, o jej dobroku i jej bohaterach”. To ostatnie zamierzenie wydaje nam się ambitne. Chętnie zapoznamy się z wynikami tej próby. Może jest ona bardziej obiecująca, niż dotychczasowe próby pisania wierszy.

Ewa S. — Gdańsk

Te „dzieci”, które Pani z takim zaufaniem oddaje w nasze ręce, są dość udane. Wygląda na to, że ich „matka” jest wrażliwą osobą. Szczególnie podobają się te krótkie wiersze, jak „Przybita do czterech ścian”, „Stanęliśmy pod drzewem milczenia”, „Obmacywana spojrzeniami” itd. — są one już pewnymi osiągnięciami. Można by je określić lirycznymi, czysto kobiecymi. Cenne w nich to, że umie Pani swoją wrażliwość przenieść na przyrodę, że nie ma w nich historycznego wołania o uczucie, ale subtelne przeżywanie swego głodu uczuć w zderzeniu z otaczającym światem. Gorsi są wiersze dłuższe (np. „Już mam w żyłach wiatr”). Zastosowane tu symbole literackie czy kulturowe nie zostały rozwinięte

w temacie wiersza, a jedynie przywołane nazwą, mało znaczącym, lub za wiele znaczącym, znakiem. Pisanie takich wierszy jest zresztą niezwykle trudne i na razie nie uda się Pani na tej drodze wykreować obrazu poetyckiego czy najprostszego, ludzkiego wzruszenia. Proszę zauważyć, jak Pani świetnie otworzyła „podcięciem żył” obraz skądinąd okrutny: „Ale z poszarpanego tętna marzeń, chlusnął tylko wiatr, Czerwone dzikie zwierzę” (z wiersza „Coś w niej umarło”). Łącząc pozdrowienia i proszę o kontakt z „Pocztylionem” w miarę powstawania nowych wierszy, najlepiej podobnych do ostatniego przykładu.

Andrzej Ch. — Rzućwó

W wierszach da się zauważyć pewną łatwość pisania. Nie wychodzi to tej poezji na dobre. Bardziej przydatna byłaby ta zdolność w prozie. Wiadć to np. w wierszu pt. „Uwierzyć w siebie”, w którym jednak brakuje potrzebnej poezji napięcia. Gdyby wyraźniej zarysować osobę bohatera, mogłoby powstać opowiadanie. Zarysować osobę bohatera, to znaczy wyposażyć go we wszystko, co by go zbliżyło do czytelników; dać mu po prostu jakiś życiorys.

Wojciech Z. — Warszawa

Lektura wierszy nie potwierdziła opinii zawartej w Pańskim liście. Nie wzbudziły mego uczucia i nie sądzę, by można się o ich treść spierać. Czyta się je z dystansem, obojętnie i wyciąga wniosek przeciwny od sformułowanego w liście: Autor jeszcze nie umie tak organizować materiału słownego, by poruszyć uczuciami czytelnika, lub by „wywołać dyskusję”.

(abf)

DUSZE DO WZIECIA

Przeżywamy obecnie wzrost znaczenia politycznego i zwrot gospodarczy Polski. Jest to sytuacja nowym wyzwaniem dla środowisk kulturalnych, szansą wyjścia na szersze forum. Czy pozostanie tylko szansą? Zależy to od umiejętności podjęcia wyzwania, od owej gotowości do skoku. Sztuka — jej ekspansja na świat — na etapie pokojowego współistnienia współtworzy opinię i decyduje o prestiżu państwa. Na szczęście obraz, który sami malowaliśmy, Polski pustych szos, szynki, wódki, białowieskich żubrów i rozśpiewanych dziewcząt z „Mazowsza” — nie jest dziś jedynym, jaki funkcjonuje w wyobraźni świata. Różni się on znacznie od tego, jacy jesteśmy naprawdę. Stawia nas w gorszym świetle, niż na to zasługujemy. Sztuka — ta dobra i zła — stanowi dziś wielką siłę społeczną. Staje się narzędziem walki przeciwstawnych obozów. Wymiana kulturalna, która do wczoraj była ofertą, dziś jest żądaniem, nurtem konieczności. Konfrontacja ma jak gdyby charakter podwójny. Następuje między obozami politycznymi i kulturami narodowymi. We współczesnym świecie istnieje coś na podobieństwo zjawiska imperializmu kulturalnego. Przypomnę tu lęk Francuzów przed amerykańską ich kulturą i sylu bycia. W trudniejszych sytuacjach są społeczeństwa o kulturach jeszcze mniej przygotowanych do prowadzenia ze sobą dialogu, nie umiejące stwarzać skutecznej przeciwwagi wychowawczej. Filmy importowane przez odległe kraje z USA zastępowały im rodzimą sztukę. Hipnotyzowały narody dość długo i skutecznie utrwalając silne przekonanie, że świat powinien wzorować się na Ameryce.

Wspólnota socjalistyczna jest wynikiem wspólnej postawy ideologicznej i politycznej. Filozofię naszego życia, odrębną od zachodniej, wyprowadzamy z marksizmu-leninizmu. Uczy nas ona cieszyć się życiem w inny sposób. Zaprzecza, że nasze jutro to ich wczoraj. Jest kontrpropozycją do amerykańskiego sławnego *way of life*, drogi życia najlepszej z możliwych. Notabene wzbudzaającego ostatnio wzrastające niezadowolenie wśród samych Amerykanów.

Posłannictwo współczesnego zadufanego cowboya niosącego „ład i porządek” w Wietnamie i strzelającego do opornych, jak kiedyś do Indian, nie wzbudzało powszechnego entuzjazmu. Problem murzyński ciągle ciąży na psychice amerykańskiej. Ekscesy „dzieci kwiatów”, narkotyczne transy i nonkonformistyczne bunty, masowo rozwijający się instynkt agresji — nie są to symbole rozpoznawcze miłych skojarzeń z amerykańską obfitością. Szuka się więc sposobów zastępczych na wyładowanie napięć wewnętrznych. Silny antykomunizm ma być piorunochronem. Superman James Bond prowadząc filmową krucjatę przeciwko komunizmowi, sprzyja budowaniu potrzebnych nastrojów. W USA wyprodukowano całą serię filmów, których postacie, zdeprawowane moralnie, są pochodzenia polskiego. Dzięki nim powstaje zespół fałszywych iluzji i mistyfikujących rzeczywistość stereotypów. Warunkują one istnienie nastawień emocjonalnych, które zwrócone są przeciw Polakom w ogóle. Równocześnie w znikomy sposób podkreśla się udział Polaków w ludowej mitologii Ameryki. Mocno upraszczając, sztuka w pewnych okolicznościach przestaje wypełniać apolińską funkcję zgody, natomiast wywołuje nastroje podobne do tych, jakie wywoływały pieśni śpiewane przez rycerstwo, zanim ruszało w bój.

Precyzując perspektywę inwazji kulturalnej, należałoby odwołać się do sztuki wyra-

zistej, moralnie zaangażowanej, której treścią jest etos czasów ludzi objętych kręgiem obozu socjalistycznego. Rosnąca świadomość wzajemnych związków i zależności pozwala nam szczerzy stosunek do ideologii łączyć z odrębnością kulturalną państw socjalistycznych. We wspólnej ofensywie kulturalnej upatrujemy siłę przebicia się naszej kultury na światowe rynki sztuki. W pojedynkę jest to o wiele trudniejsze. Program ten może

Andrzej Cybulski

nie tylko skutecznie neutralizować propagandę antysocjalistyczną, ale także wywierać bardziej zdecydowany wpływ na międzynarodowy ruch artystyczny. Młodzież zachodnia ogłosiła kryzys zasad i wartości. Potrzebna jest im nowa perspektywa widzenia świata nadchodzących formacji. Łatwiej do tej młodzieży trafić z treściami kultury socjalistycznej, niż do ludzi starszych, których zdążono przyzwyczaić, że określenie Słowianin ma dyskryminujący sens.

Potrzeba na to więcej konfrontacji. Dużo więcej. Chodzi o myślenie wybiegające w daleką przyszłość, o prezentowanie zjawisk i sukcesów myśli artystycznej socjalizmu na wszystkich festiwalach i sympozjach organizowanych dziś na zachodzie, ale także o nabieranie rozmachu w organizowaniu światowych konfrontacji dojrzałych i świadomych form sztuki na terenie naszego obozu.

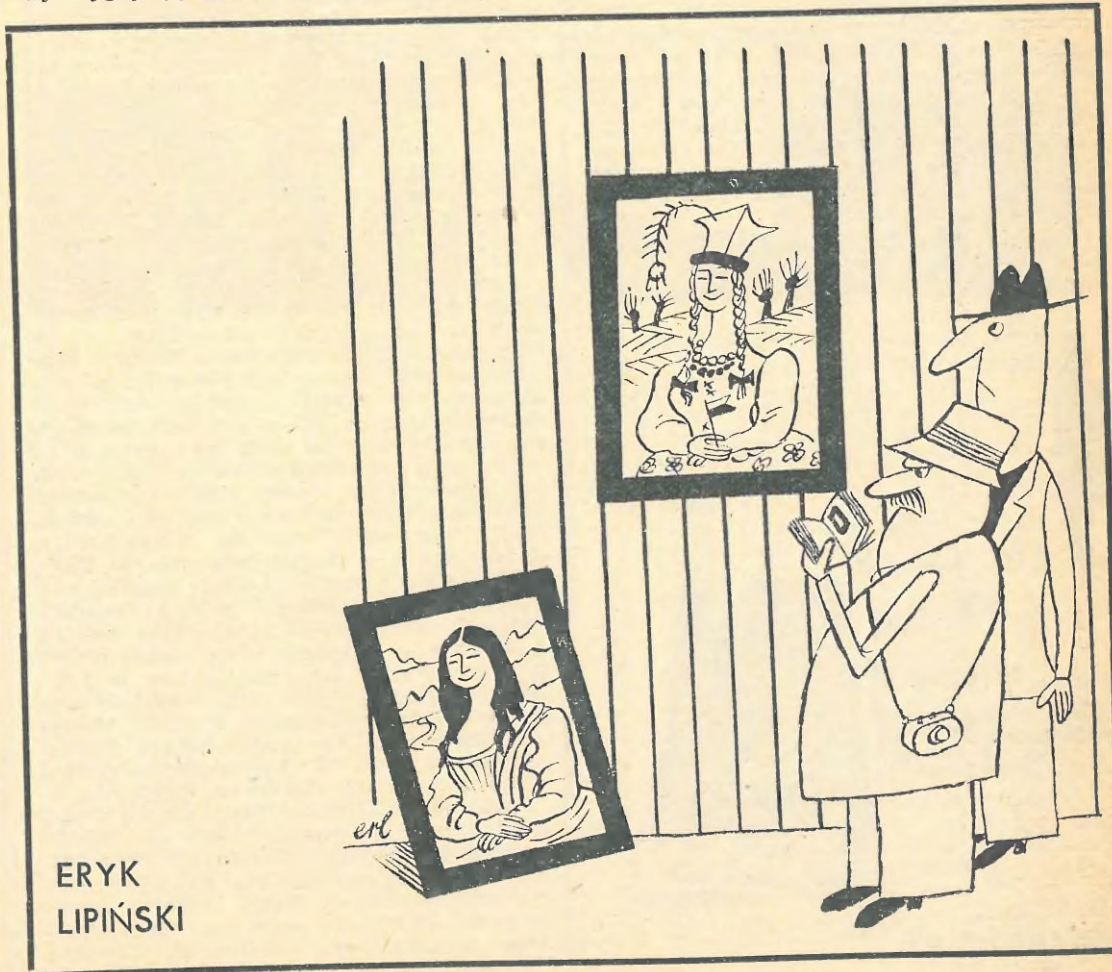
Przez wiele lat mówiliśmy o złym położeniu geograficznym Polski. Dziś, w okresie pokojowego wytchnienia i koegzystencji, sprawy wyglądają inaczej. Umieszczeni na gra-

nicy dwóch obozów, stajemy się naturalnym miejscem do konfrontacji przeciwstawnych pojęć i sposobów myślenia o współczesności.

Dążyć musimy do stworzenia sprawnych mechanizmów skutecznego manipulowania międzynarodowym rynkiem sztuki, przynajmniej tak dalece, aby nastąpiła równowaga wpływów. Dystans dzielący zamiar od realizacji jest ogromny. Do eksportu polskiej sztuki nie podeszliśmy jeszcze z całą konieczną energią. Uświadomiliśmy sobie tylko potrzeby. Sporządzony inwentarz zagadnień nie czyni nas wszakże zdolnymi do ich rozwiązywania. Potrzeba na to trafnej strategii postępowania, fachowców i pieniędzy.

Aby poznawać prawa rynku kultury popularnej, odpowiadać na wahania gustów, być giętkim, ale nie ugiętym, dyktować mody, trzeba na tym rynku być, śledzić go, w oparciu o analizy podejmować decyzje eksportowe. Niesprawność w zakresie techniki przekazu informacji prowadzi do następstw nieoczekiwanych.

Nie dokonamy efektownego skoku naprzód bez techniki. Technologia staje się środkiem, dzięki któremu można zrealizować egalitaryzm społeczny i demokratyczną dystrybucję kultury. Warunkiem jest rozwój dóbr typu techniczno-przemysłowego: rozwój przemysłu poligraficznego i papierniczego, masowa produkcja płyt, kaset i kolorowych reprodukcji dzieł sztuki o najwyższej jakości, kolorowych pism w obcojęzycznej wersji. Niedorozwój bazy kultury i jej wyposażenia w stosunku do tempa przemian technicznych na zachodzie daje o sobie znać coraz bardziej dotkliwie. Postęp techniczny w kulturze występuje dziś w innej skali niż przed laty. Stoimy



ERYK
LIPIŃSKI

przed potrzebą rozbudowy przemysłowych form wytwarzania produkcji własnej, mogącej konkurować z wartościami importowanymi.

Najskuteczniej przebijamy się tam, gdzie nie ma bariery języka — w muzyce, pantomimie. Penderecki, Grotowski — dziś są to pojęcia światowe. Pokaz najwyższych możliwości polskich. Nie ma w tym gronie artystów-plastyków, choć przemawiają językiem uniwersalnym. Przyczyna tego faktu tkwi nie tyle w większej skali talentu, ile w sile przebiecia. Nie uruchomiliśmy jeszcze mechanizmu, który wyprowadziłby polskie malarstwo i rzeźbę na rynki światowe. Marchandzi zachodni, którzy kształtują te rynki, nie docierają do pracowni naszych artystów. Wyjściem z sytuacji mogłoby być istnienie w większych metropoliach kulturalnych polskich galerii. Nie mamy ich jednak w Nowym Jorku, Paryżu, Rzymie. Właściwie nigdzie. Pozostaje przebijanie się własnym sumptem, przy pomocy osobistych kontaktów handlowych. W świecie rządzonego przez wielki biznes nie jest to łatwe. Nasz polski marchand — DESA — jest za mało energiczny, aby odwrócić sytuację, tzn. importować płótno, oddawać go artystom do zamalowywania i wysyłać z powrotem. Rachunek prosty, a zysk z metra kwadratowego można osiągnąć do 500 dolarów. Albo więcej.

Podstawowe pytanie brzmi: do jakich środowisk adresować naszą ekspansję, w kogo trafiać polską sztuką. Jak dotąd celujemy eksperymentem w elitę artystyczną. Koronnym przykładem pozostaje teatr — laboratorium Grotowskiego. Elita to na pewno ważne środowisko opiniotwórcze. Ale nie najważniejsze i nie jedyne warte zachodu. Drugim środowiskiem, poddawany operacji przez naszą politykę kulturalną, jest Polonia. Nie przesadzę wiele, jeśli powiem, że trafialiśmy jak kulą w płot. Ze starej ojczyzny do polonusów płynęły przez ocean chałtury artystyczne, wysyłane w przekonaniu, że jest to widownia o najgorszych gustach. Nie po to, aby te gusta podnosić, lecz aby im schlebiać. Rozśmieszając prostactków. Czynniami tymi walczyliśmy w utrwalaniu złej opinii o Polsce wśród miejscowej ludności. Poza sferą wpływów w zasadzie pozostawało społeczeństwo masowe, właśnie to, w którym pragniemy rozpowszechniać nowe pojęcie Polski, jej kultury i sztuki. Mylnie wyobrażenia o Polsce może zmienić tylko sztuka masowa, penetrująca wszystkie rynki i wszystkie warstwy społeczne.

A więc kino, longplaye, książki w formacie kieszonkowym, kolorowe czasopisma, popularna piosenka, komunikatywne seriale tele-

wizyjne, które wkroczą do codziennego życia i mieszkań nowojorskiego dokera, robotnika z „Renault” i monachijskiego studenta. Bohater serialu, którego telewizor uczyni przedmiotem swoich wyobrażeń i myśli, nawiązujący silny i autentyczny kontakt z publicznością zachodnią, może uczynić najwięcej dla rozpowszechniania wiedzy o Polsce, jej historii i współczesności.

Cieszy fakt zanikania wśród twórców i menadżerów polskiej kultury prowincjonalnego stosunku do naszej twórczości. Opinie o hermetyczności polskiej sztuki służyły do niedawna za argument do kokietywania zachodu sztuką robioną pod tamtejsze wzory. Można oczywiście na festiwalach rywalizować: kto z większym kunsztem artystycznym wystawi „Kto się boi Virginii Woolf”? Na światowym targowisku wartości zaskakuje jednak odrębność. Ona daje pozycję w świecie sztuki. A więc polska myśl artystyczna Wyspiańskiego, Witkacego czy też Różewicza!

W produkcji statków mamy szansę dorównać innym krajom. Kultura, gdy nie naśladuje obcych wzorów, świadczy o naszej odrębności. Gałąź, którą ucięto gdzieś indziej, by zasadzić ją w naszej ziemi, nie daje cienia porównywalnego z cieniem drzewa, które wyrosło na miejscu. Tak mówi stara legenda.

Zapowiedzią nowoczesnego, zorganizowanego działania jest myśl powołania polskich instytutów w kilku krajach zachodnich. Mają one ujmować w program złożony charakter zjawisk, m. in. naukowych i kulturalnych. Działać długofalowo, ale i przebojowo. Wiązać ze sobą naukowców, ludzi sztuki, sympatyzujących z nami menadżerów w polskie lobby.

Rysuje się przed instytutami program rozległy i trudny. Wraz z ich powstaniem wzrastać bowiem będą nadzieje i wymagania im stawiane. Od wyposażenia instytutów w kadre i bazę techniczną, umiejętnego zakorzenienia ich w środowiskach sztuki i wśród menadżerów reklamy zależeć będzie, czy wyznaczone im zadania odnosić się będą do sfery życzeń czy rzeczywistości.

Zjawiskiem nowym, niezwykle pozytywnym, jest zawiązujące się przymierze gospodarki z kulturą. Zawiązują się więzy nowej konstrukcji między resortami, formułuje się technika podejmowania wspólnych decyzji, a owa scalona aktywność widoczna jest podczas wielkich wystaw gospodarczych. Kultura równoprawnie im towarzyszy pod wspólnym hasłem: *made in Poland*. Najwyższą troską naszą i ambicją winno być, aby zwrot ten nabrał powszechnie dodatniego zabarwienia.

Perspektywą ziemi gdańskiej jest ciągła konfrontacja z rzeczywistością cywilizacyjno-kulturalną innych społeczeństw, z ich odmiennym stylem uprawiania kultury. Rozwój turystyki kulturalnej powoduje przenikanie do nas różnych aspiracji życia. Równocześnie turyści mają możliwość poznania naszego obyczaju, a także pejzażu sztuki.

Znaczenie stosunków kulturalnych, jak już wspominałem, będzie ciągle rosło. Rola Trójmiasta w stosunkach z krajami nadbałtyckimi jest tutaj nie do pomniejszenia. Grawitując w kierunku tworzenia w Trójmieście silnego ośrodka kultury polskiej nad Bałtykiem, potrzebujemy więcej dokonań, będących artystyczną transpozycją założeń marksizmu — i jeszcze więcej konfrontacji. W październiku ub.r. omawialiśmy w Literach przyjaźnie kulturalne polsko-leninogradzkie, zawierane przez Gdańsk. Dzisiaj pragniemy mówić o konfrontacjach polsko-skandynawskich. W tym wypadku powinniśmy być stroną ofensywną, inicjującą.

Przed laty Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki wysunęło hasło Gdańskich Spotkań Literackich, jako zasady organizującej działania zmierzające do współpracy środowisk twórczych Polski i krajów skandynawskich. Obecnie wysuwana jest propozycja organizowania Gdańskich Spotkań Plastycznych. Są one próbą przedłużenia

kontaktów, jakie zaistniały podczas Gdańskich Spotkań Literackich w roku 1968, a równocześnie rozszerzania ich na nowe środowisko twórcze: artystów-plastyków, muzealników, kupców dzieł sztuki.

Gdańscy malarze w minionych latach mieli niejedną okazję do spotkań z malarzami skandynawskimi. W krajach skandynawskich odbywają się wystawy naszego malarstwa, a w Gdańsku malarstwa Skandynawów. Umowy pomiędzy miastami bliźniaczymi oraz umowy kulturalne pomiędzy państwami mogą znaleźć w Spotkaniach częściowe urzeczywistnienie, mogą aktualizować cele i zadania na swym odcinku. Aktywizować naszą politykę kulturalną wobec rejonu skandynawskiego. Wybór malarstwa podyktowany jest dotychczasowymi kontaktami, wzajemnym zainteresowaniem tą dziedziną sztuki oraz faktem, że nie trzeba pokonywać bariery językowej ani bariery niewiedzy.

Gdańskie Spotkania Plastyczne, organizowane co 3 lata, mogą być dla Polski i Skandynawii interesującą konfrontacją, a równocześnie stwarzać ciągłą okazję do śledzenia twórczości artystycznej przez muzea, pisma kulturalne oraz indywidualnych artystów, gromadzić i uzupełniać polskie zbiory sztuki o dzieła skandynawskie, a zbiory skandynawskie o dzieła polskie. Prace polskich artystów, zakupione przez galerie komercyjne, mają szansę znalezienia się w ten sposób na rynku plastycznym Europy. Upatruję w tym jedną z dróg do zainteresowania marchandów naszą twórczością.

GSP organizowane na przestrzeni kilku lat mogą także spowodować, że muzea sztuki współczesnej Skandynawii i Polski północnej rozpoczną kolekcjonowanie godnych uwagi prac z dziedziny sztuk pięknych, organizować będą wymienne wystawy, zbierać dokumentację dotyczące współczesnej sztuki i drogi artystów-plastyków Polski i krajów skandynawskich. Wprowadzenie do grona organizatorów pism kulturalnych Skandynawii i Wybrzeża gwarantuje dobrą i stałą informację wzajemną o życiu artystycznym tych krajów.

Jest to jedna z najnowszych propozycji, których ciągłe przybywa. Są też inne — bałtycki festiwal pianistów, który startuje po raz pierwszy w roku 1975, oraz realizowane z powodzeniem od lat biennale fotograficzne krajów bałtyckich i międzynarodowe plenery plastyczne, a także dni miast bliźniaczych, udział turystów zagranicznych w jarmarku wdzydzkim i innych widowiskach regionalnych, okrągłe stoły międzynarodowych dyskusji, tygodnie filmów, dekady kultury.

Wszystko to czyni Trójmiasto organizatorem wymiany kulturalnej przez Bałtyk, pracującym na długi dystans.

Stoimy dziś u progu decyzji przejścia inicjatywy w swoje ręce — konstruowania dialogu przez Bałtyk. W tej sytuacji rysuje się konieczność opracowania wielokierunkowej koncepcji kontaktów kulturalnych woj. gdańskiego z państwami bałtyckimi, przygotowania kadr ludzkich dla organizowania wymiany kulturalnej. Myślę tu przede wszystkim o stworzeniu środowiska krytyków, publicystów, reportażyistów, tłumaczy literackich i organizatorów tej wymiany. O czynieniu wysiłków na rzecz zniesienia bariery językowej, m.in. przez wprowadzenie języka polskiego na kierunki slawistyczne w Skandynawii.

Potrzebny jest na Wybrzeżu ośrodek badający aktualne stosunki kulturalne między Polską a krajami skandynawskimi w dziedzinie prac analityczno-koncepcyjnych, współpracy kulturalnej, naukowo-technicznej i turystycznej.

Nasza ofensywna polityka kulturalna będzie skuteczna, jeśli uzmysłowimy sobie jak najlepiej, na co nas stać, a z czego zrezygnujemy, jeśli rozszerzając kontakty, będziemy je jednocześnie konkretyzować. ■



ARTYŚCI MAR- SZANDZI INFOR- MATORZY

Fot. Janusz Szewiński



„Kto zna dobrze Tadeusza Dominika, ten dostrzeże pełną harmonię, jaka istnieje między jego żarliwą gestykulacją, która potrafi w jednej chwili zmienić się w jak najdelikatniejsze i subtelne dotknięcie; a między fakturą jego dzieł. Okrągłe, lekkie ruchy pędzla tworzące wirujące w przestrzeni żywe formy są skonstruowane z twardymi, mocno położonymi pręgami lub geometrycznymi plamami, w których nadal występuje rola elementów siły i zdecydowania... Dominik ma poza sobą wiele wystaw indywidualnych, uczestniczył w najbardziej reprezentacyjnych wystawach zbiorowych. Prace jego rozsiane po muzeach świata i kolekcjach prywatnych, przeszły egzamin dojrzałości i doceniono w nich przede wszystkim indywidualności twórcy (...) Jest pedagogiem sugestywnym, jego wiedza i wrażliwość mogą dać bardzo wiele jego uczniom, jego doświadczenie może być tylko przykładem, do czego można dojść konsekwencją swej drogi artystycznej” (z katalogu wystawy w „Zachęcie”).

Tak pisał o Tadeuszu Dominiku jego przyjaciel, profesor Jerzy Hryniewicz. Być może na tych łamach o sztuce Dominika wypowie się ktoś (krytyk, eseista, historyk

sztuki?) wyposażony w odpowiednie kompetencje estetyczne i merytoryczne. Oby! Dziennikarz odwiedził artystę w celach znacznie skromniejszych, szło mu bowiem o próbę analizy pewnych zjawisk stojących na pograniczu twórczości plastycznej i jej społecznego funkcjonowania, sztuki i handlu, rynku i propagandy; innymi słowy: chodziło o uchwycenie i zinterpretowanie kilku ważnych, jak mniemam, wątków znamiennych dla naszej, polskiej polityki kulturalnej oraz dla naszej ekspansji zagranicznej w sferze dóbr duchowych, więc również — dóbr plastycznych.

— Wystawiał Pan w Paryżu i Londynie, Nowym Jorku i Chicago, Monte Carlo i Teheranie, Kopenhadze i Berlinie Zachodnim, Meksyku i Helsinkach, Pradze i Bukareszcie... Uczestniczył Pan w pokazach indywidualnych i zbiorowych. Brał Pan nagrody i dyplomy w miastach i galeriach, które uchodzą za czołowe w świecie centra sztuki. Jak Pan sądzi: czy polskie malarstwo współczesne umieścić można w głównym nurcie artystycznym, czy jest ono raczej położone na peryferiach podstawowych trendów obecnej sztuki światowej? Czym jesteśmy: zaściankiem czy czołową?

— Chętnie się wypowiem, bo i mnie te sprawy intrygują. Lecz proszę zaznaczyć, iż mówię tylko we własnym imieniu, w ocenie będę przeto subiektywny. Zaścianek? Proszę pana, myśmy już dawno przestali nim być, powiem więcej: obecnie nadajemy ton światowemu malarstwu. Tak, tak! Nie jestem megalomanem — wiem, co mówię. Tu przypomnę znany chyba paradoks: zaściankiem jesteśmy wówczas, gdy staramy się naśladować to, co akurat jest modne na Zachodzie. Oto i nasze „nieszczęście” — dogonić, za wszelką cenę dogonić!... Tylko po co? Przecież świat zauważa nas wtedy, gdy proponujemy sztukę, która wyrasta z naszych własnych, autentycznych tradycji, z naszego charakteru, z narodowej i ludowej gleby kulturalnej. To właśnie się widzi, to przynosi nam splendor. Lecz — cóż? W kraju nasze prawdziwe twórcze poszukiwania i dokonania są ledwo dostrzegalne przez snobów i tzw. koneserów. Bo są one — rzekomo — niezgodne z zachodnimi tendencjami i modami. Jawne nieporozumienie, żeby nie rzec: kabotynizm! Inna sprawa, że my nie bardzo potrafimy na sztuce zarabiać, a myślę nie tylko o profitach materialnych, raczej — o prestiżowych, kulturalnych, politycznych.

— Otóż właśnie. Dlaczego tak się dzieje? Cemu nie jesteśmy obecni na światowych rynkach i targach sztuki, wszędzie tam, gdzie tworzą się wartości, pozytywne snobizmy, gdzie się sztuką po prostu handluje, przy okazji jednak załatwiają parę innych ważnych spraw? Tam, gdzie się lansuje nawiązka i opinie, gdzie zbierają się znawcy, marszandzi i kibice, od których wszelako wiele zależy, otóż tam, np. na targach plastycznych w Basel czy Düsseldorfie, nas nie ma... Dlaczego?

— Trzeba zacząć od innej sprawy. Jak powiedziałem, liczymy się w świecie coraz bardziej, zdobywamy wszędzie szacunek i autorytet. Artysty ze Wschodu i Zachodu chcą do nas przyjechać, u nas wystawić. Wielce charakterystyczny jest np. fakt, iż w polskich akademiach studiują ludzie z Francji, Włoch, Anglii, Stanów Zjednoczonych, NRF, Szwecji, Danii, Japonii... Ci młodzi adepci plastyki widzieli u siebie zaledwie kilka polskich obrazów, parę reprodukcji, byli na jakiejś wystawie — i pędzą do Warszawy, Krakowa, Gdańska, bo — jak mówią — warto bliżej, uważniej przyjrzeć się temu, co robią, co proponują Polacy. Jednak nasza informacja kulturalna jest na „odcinku” plastycznym fatalna. Prawdę rzekłszy, nie ma jej wcale, zaś to, co się robi, przypomina więcej poczynania osamotnionych i naiwnych partyzantów. Bez właściwej informacji nie może być mowy o wyjściu na świat. Lecz gdzie są wydawnictwa artystyczne z prawdziwego zdarzenia? Gdzie prospekty, albumy, katalogi, książki, reprodukcje współczesnego malarstwa i grafiki? Owszem, zdarzają się jakieś paskudne zeszytiki, robione po amatorsku, na lichym papierze, bez sensu i smaku...

— Czy Pańskiej twórczości poświęcono jakiegokolwiek opracowanie, które z podniesioną głową i bez żenady może Pan pokazać w świecie?

— Akurat mojej osobie poświęcono skromną monografię. Nic wielkiego, kilkanaście reprodukcji, zresztą mało wyraźnych. Dobre i to, cieszę się niezmiennie, czuję się niczym wybraniec losu i edytorów (ZPAP i CBWA). Żaden z moich znanych kolegów nie oczekiwał się bowiem nawet takiej, kiepskiej w końcu, publikacji. Jeżdżę trochę po świecie, widzę, co i jak robią inni. To jest fantastyczne! Ile pieniędzy wkłada się w reklamę owego towaru, jakim przecież w pewnym sensie jest sztuka. Zbieram te wydawnictwa, zwożę je do kraju — i — smętnie nad nimi dumam. Świat wie, że sztuce trzeba reklamować — z rozmachem, z finezją, ze smakiem. A my? Był przeciętny malarz zachodnoniemiecki, czy szwedzki, ma walizkę pełną cudownych katalogów, jego wystawę poprzedza potężna machina reklamowa, my zaś nawet naszych największych artystów współczesnych zbywamy świątkiem tandetnie zadrukowanego papieru. Nic więc dziwnego, że o polskich malarzach wie się w świecie mało, tyle, ile oni sami podczas jakiejś wystawy zdążają powiedzieć o sobie i pokazać. A wiadomo, że malarze nie są najlepszymi mówcami i że nie bardzo potrafili się reklamować. Ktoś ich musi wyręczyć. Powiem wprost: zaniedbując tę sprawę, wyrządzamy krzywdę kulturze polskiej, kulturze socjalistycznej, która już się wyraźnie zarysowała, która ma styl i siłę oddziaływania, a także wielką, światową atrakcyjność.

— Oczywiście. Toteż mądre, różnorodne i atrakcyjne kształtowanie właściwego wyobrażenia o walorach kultury wśród społeczeństw zachodnich jest głównym zadaniem zagranicznej polityki kulturalnej państwa naszego obozu. Wciąż należy o tym pamiętać, wciąż winny o tym pamiętać instytucje odpowiedzialne za propagowanie polskiego dorobku kulturalnego, twórczości literackiej, teatralnej, plastycznej, muzycznej...

— Z nami, plastikami, najgorzej. Nie wystarczy się „pokazać”. Należy metodycznie informować świat o podstawowych zjawiskach artystycznych zachodzących w Polsce. Myślę o książkach i albumach, a także o filmach, serwisach fotograficznych etc. Kto się ma tym wszystkim zająć? Pomiędzy słuszne przecież żale, jakie mógłbym tutaj wygłosić pod adresem naszego Związku, Ministerstwa Kultury, różnych instytucji, stowarzyszeń i biur. Darujmy sobie. Chcę mówić o drobnej na pozór sprawie. Wbrew temu, co się nieraz mówi, plastycy uważnie śledzą to, co się w innych sztukach dzieje. Jest to dla nas czymś zupełnie naturalnym. Malarz musi znać nowoczesność. Świat, w którym żyje. A przedstawiciele innych sztuk? Mówimy o integracji sztuk, a każdy zamyka się w swoim maleńkim światku. Mój przyjaciel, Wojciech Siemion, jest tutaj chlubnym wyjątkiem, jako wzór wyśmienitego kolekcjonera-mecenasa, wyrafinowanego hobbyisty.

— Indywidualny pasjonat nie zastąpi jednakowoż zinstytucjonalizowanego mecenasa, kompetentnego marszanda. Czy o nich nie chce Pan mówić?

— Dlaczego nie? Oczywiście, odpowiednie instytucje, skupiające ludzi znających się na rzeczy, muszą podjąć ten wysiłek. Marzą mi się polskie salony w wielu miastach europejskich, galerie o profilu handlowym. Konieczna jest nasza stała obecność na światowych rynkach sztuki. Nie umiem skonkretyzować moich marzeń, ale wiem, iż musimy się jak najszybciej nauczyć trudnej sztuki — handlowania obrazami.

— Na krajowym podwórku coś się ruszyło. Warszawskie Targi Sztuki miały na ogół dobrą prasę, przyniosły niezłe pieniądze, jakkolwiek nie brakowało na nich ciężkich kiczów, firmowanych notabene legitymacją Związku Artystów Plastików...

— Sama idea targów zasługuje na pochwałę i rozpowszechnienie. Jest to krok w stronę demokratyzacji sztuki, demokratyzacji odbioru, kontaktów społeczeństwa z twórczością plastyczną. Zamiast ekskluzywnego salonu, w którym gość wręcz bał się zapytać o cenę obrazu — wielkie targowisko propozycji, mód, gustów. Do niedawna malarze rumienili się i nabierali wody w usta, gdy zaczynało się mówić o kupnie-sprzedaży. Myślę, że nasz dostoyny i hojny przecież mecenas — państwo — musi znaleźć nowy sposób przenikania sztuki do prywatnego odbiorcy. Marszand bardzo się artysty przydaje. Lecz tylko wtedy jest on dobry, gdy na głowie staje, by wylansować swojego mistrza. Przestaje mi on jednak odpowiadać, gdy mówi: „mistrzu, maluj tak a tak, bo to ludzie kupią i boję się, że nowiej formy nie zaakceptują”.

Tak postępujący marszand staje się osobą nader kłopotliwą i nawet groźną, ponieważ zaczyna przeszkadzać rozwojowi sztuki. Jak sobie wyobrażam praktycznie działanie mecenatu państwowego? Być może, ekonomiści mnie wyśmiejają, ale myślę tak: mecenas, Ministerstwo Kultury, ma pewien kapitał, za te pieniądze zakupuje u artystów dzieła, by następnie sprzedawać je poprzez gęstą sieć galerii i salonów, sklepów i stoisk — na bardzo dogodnych warunkach ratalnych. Dobra rzecz musi kosztować sporo. Tzw. szary człowiek chętnie ją nabędzie, jeśli tylko nie będzie się go zmuszało do jednorazowego poważnego wysiłku finansowego. Powiedzmy: raty po 50, 100 zł. Płatność rozłożona nawet na dwa, trzy lata. Ręczę, iż propozycja chwyty z miejsca. Ceny obrazów są wysokie, muszą być wysokie. Nie mam serca namawiać kogoś do kupna mojego obrazu, gdy domyślam się, iż ów klient nie ma jeszcze pralki, lodówki czy radia. Jestem jednak przekonany, że po spełnieniu wyżej wyluszczonej

zasady handlowej, skłonię go do wejścia w posiadanie wartościowego dzieła sztuki.

Jeszcze jedno: trzeba bezwzględnie zadbać o staranniejszą selekcję, zastosować surowsze kryteria towarzyszące kwalifikowaniu obrazów do sprzedaży. Nie ukrywamy bowiem: wiele „obrazków” ma wprawdzie pieczęć przerożnych komisji, lecz są to twory, które należałoby raczej sprzedawać na bazarach i odpustach. Długośmy walczyli o poprawę gustów publicznych, wyszliśmy okrutnie tandetę i hochsztaplerstwo. I co? Teraz je, o dziwo, nobilitujemy, co widać było na targach. To mnie boli. Natomiast duch imprezy był bardzo słuszny. Zbyt długo artyści traktowali swoją działalność bezinteresownie. Odzwyczajono nas od myśli (i czynów), że to można sprzedawać, że z tego można żyć.

— A czy w Polsce można na sztuce zarobić? Czy można z niej żyć?

— Na pewno tak. Wielu artystów żyje z niej całkiem nieźle. Nie mówię, że zawsze żyją oni ze sztuki, często raczej — z malowania obrazów. Co — jak wiadomo — niekoniecznie musi iść w parze. Proszę też pamiętać, że artyści naprawdę nie potrafili chodzić wokół swoich spraw, są zaskakująco bezradni i niepraktyczni.

— Proponuję na koniec rozmowy podjąć inny wątek. Jest Pan znankomitym malarzem, ale nadto zajmuje się Pan również działalnością pedagogiczną jako docent warszawskiej ASP, jako dziekan Wydziału Malarstwa i Grafiki tej uczelni. Z ASP jest Pan zresztą związany od 1951 roku, przeszedł Pan wszystkie szczeble awansu akademickiego. Panie Dziekanie, co Pan sądzi o swoich wychowankach? W jakich barwach widzi Pan ich przyszłość?

— Zmusza mnie pan do wynurzeń delikatnej natury, nie szkodzi. Praca w Akademii daje mi wiele zadowolenia. Lubię obcować z młodymi ludźmi, nie jestem zresztą starszym, urodziłem się w 1928 roku. Staram się młodym pomagać. Moi studenci są ciekawi i utalentowani. Czego ich uczymy? Sprawności technicznej tylko, bo niczego innego nauczyć nie możemy. Nie nauczyć talentu. Ale możesz nauczyć sprawności ręki i oka. Żeby potem to nie przeszkadzało w realizacji zamierzenia. Świat wyobraźni jest większy, niż oglądamy... Wiem, że oni będą, inni niż ja, i to jest dobre. Mają swój świat. Nie wolno go niszczyć egzaminem. Powiada pan z nutką niepokoju: 8 tysięcy artystów! No, i cóż z tego? Uważam, że jak na 33-milionowy kraj to jeszcze... zbyt mało. Natomiast niedobre są propozycje branżowe, niepokoi nierównomierne rozmieszczenie geograficzne. Selekcja — naturalna wszak w tym zawodzie — nie odbywa się tak, jak należy. Oczywiście, mamy w sprawach socjalno-bytowych takie same prawa jak wszyscy obywatele Rzeczypospolitej. Nie może być jednak pełnej demokratyzacji w sztuce. Darmozjad, beztalencie, ale z legitymacją, wydeptuje ministerialne korytarze i gabinety, by wreszcie wypłacać stypendium dla siebie. Przeciwnie takim praktykom stanowczo protestuję. W sztuce nie ma równych. A losy absolwentów? Jestem spokojny o przyszłość tych najbardziej utalentowanych. Proszę z tego nie wyciągać wniosku, iż Dominik mniej utalentowanych skazuje na zagładę. Program Akademii jest ułożony z uwzględnieniem nadrzędnej idei, która głosi, iż każdy absolwent dostaje fach do ręki. Człowiek z wykształconą wyobraźnią nie zginie z głodu, nie musi też popełniać samobójstwa. Bierzemy odpowiedzialność za przygotowanie fachowe, jednak oni sami muszą zrozumieć, że nie jest przeznaczeniem wszystkich robienie marnych obrazków, lecz — upiększanie Polski. Kształtowanie wrażliwości i wyobraźni społeczeństwa.

Rozmawiał: BOGDAN MACIEJEWSKI

Andrzej Twerdochlib, autor książek: „Małe punkty”, „Gwiazda sezonu”. „Z braku dowodów”, „Temat”, „Cztery w lesie”, „Godzina za godziną” — pisze także filmowe scenariusze. W 1970 r. ukazał się film Andrzeja Piotrowskiego „Znaki na drodze”; napisał do niego scenariusz według własnej książki „Gwiazda sezonu”. 17 stycznia odbyła się premiera filmu „Na niebie i na ziemi” Juliana Dziedziny, ze zdjęciami Sobocińskiego. Scenariusz do tego filmu o współczesnym polskim lotnictwie napisał na podstawie książki Jerzego Korczaka „Jak na niebie, tak i na ziemi”. W realizacji jest „Godzina za godziną”; ten scenariusz, według własnej powieści, napisał wspólnie z Romanem Załuskim i Bohdanem Ziółkowskim. Wspólnie z Julianem Dziedziną napisał dla zespołu „Panorama” scenariusz marynistyczny według książki Stanisława Goszczurnego „Koniec najdłuższego rejsu”. Film ten będzie reżyserował współautor scenariusza, Julian Dziedzina. Obecnie pisze scenariusz do serialu w 7 odcinkach, o Porcie Północnym, dla telewizji. Serial przypuszczalnie będzie reżyserował Roman Załuski.

„Litery” zadały pisarzowi kilka pytań na temat współpracy z filmem.

— Jak wygląda w tej chwili w Polsce status człowieka piszącego dla filmu. Czy można mówić o specjalności, o zawodzie scenarzysty filmowego?

— Zespół filmowy „Panorama”, kierowany przez Jerzego Passendorfera, z kierownikiem literackim Leonem Bachem, wystąpił z inicjatywą, żeby zatrudniać w zespołach filmowych etatowych scenarzystów. Wniosek ten jest rozpatrywany przez instancje nadrzędne i można mieć nadzieję, że wejdzie w życie. W takim wypadku pisanie dla filmu przestałoby być sprawą przypadkową, stałoby się zawodem.

Taki scenarzysta nie tylko pisałby scenariusz na określony temat, ale mógłby także od samego początku współpracować z ludźmi, którzy będą ten film robić — z reżyserem, jego asystentem, operatorem... W zespole „Panorama”, z którym stale współpracuję, obiecujemy sobie 3, 4 ludzi piszących. Do tej chwili współpraca, dyskusja nad scenariuszem przebiegała na zasadzie stałych recenzentów i doradców ministra, którzy wydawali opinie.

Jednocześnie, poza sprawami warsztatowymi, uregulowałyby to sprawy materialne. Takie rozwiązanie byłoby usankcjonowaniem stanu faktycznego.

— Pisze Pan scenariusz o budowie Portu Północnego, która jeszcze trwa. Podjął Pan ten temat, żeby ukazać sprawy produkcji — „temat pracy”. Czy też raczej, żeby podjąć

problemy moralne związane z ceną, jaką płacimy za cywilizację, za technikę. Przykładowo, czy pójdzie Pan drogą, jaką wy-

PISANIE DLA FILMU

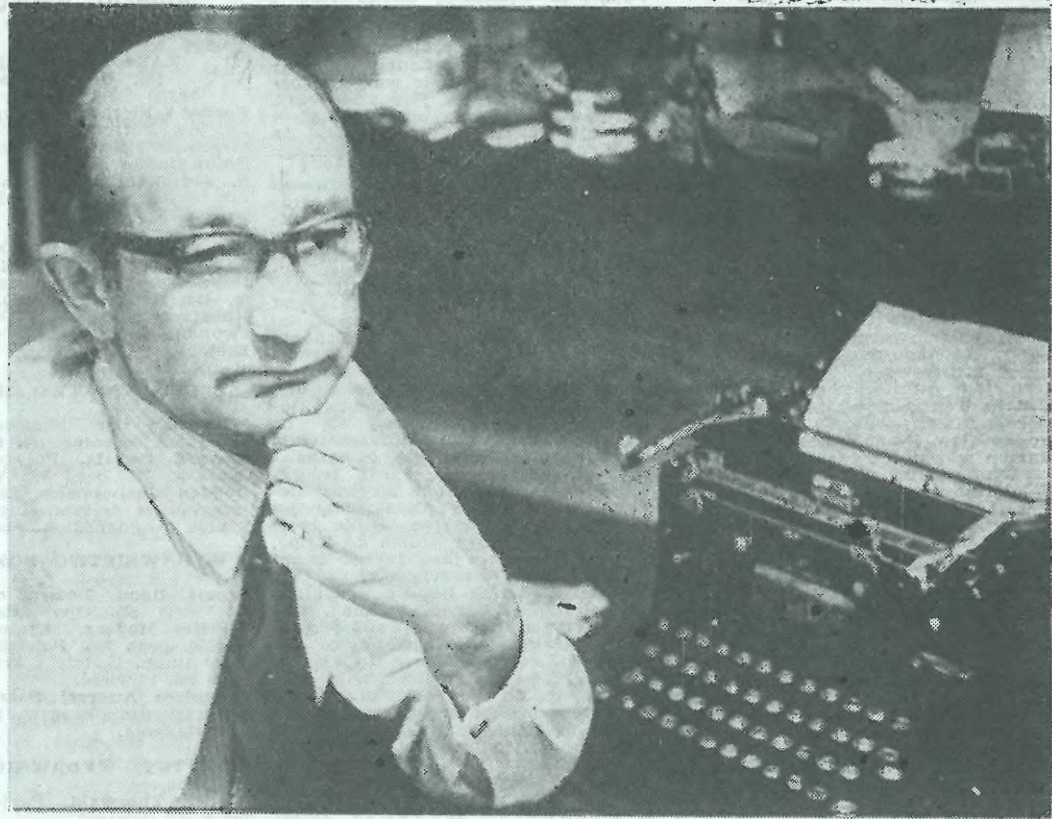
brał Julian Kawalec traktując metaforycznie wielką budowę w swojej powieści „Przypłyniesz rzekę...”?

— Inicjatywa filmu o Porcie Północnym narodziła się w czasie zeszłorocznego lutowego spotkania twórców na terenie budo-

wy (organizowanego przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki i „Hydrobudowę 4”). W zespole „Panorama” inicjatywę tę podjęto, a ja podjąłem się napisania scenariusza. Zachęcili nas do tego „twórcy” tej wielkiej inwestycji: dyrektor Stachurski do tego pomysłu odniósł się bardzo życzliwie, nie szczędził czasu dla wprowadzenia nas w fachowe sprawy. Inżynier Frydychowski jest kronikarzem budowy, nie tylko pisze, ale robi filmy, slajdy. W swojej pracy będziemy się opierać na jego kronice.

Ten port dokumentację będzie miał wystarczającą, my chcemy przedstawić sprawy budowy poprzez fabułę, fikcyjną oczywiście, ukazującą jednak prawdziwe sprawy ludzi. Port w tym serialu będzie przedstawiony dokumentalnie, ale jako tło. Nie mamy pretensji do zrobienia dokumentu; na początku filmu będzie też tradycyjna formułka, że wszystkie postaci są zmyślane.

Ten film będzie się składał z siedmiu odcinków godzinnych, będzie więc mógł mieć kilku głównych bohaterów. W tym co





Fot. Jerzy Hajdul

piszę nie posługuję się uogólnieniem, nie będzie wątpliwości, że tu jest konkretna budowa, właśnie Portu Północnego.

Zamysł nasz, nie będę tego ukrywał, jest afirmatywny wobec tej wielkiej inwestycji. To założenie jest ogromnym utrudnieniem dla piszącego. To ciężka sprawa, będę się jednak starał, żeby w tym scenariuszu nie było samego lakieru.

Na szczęście w zespole, z którym współpracuję, jest dobry zwyczaj, że od początku pracuje się wspólnie nad filmem; już od etapu scenariusza. Współpracujemy już nad tym z Romanem Załuskim i Leonem Bachem.

— W swojej powieści „Czterej w lesie” przedstawił Pan współpracę pisarza z filmowcami w sposób tyleż dowcipny, co... jednoznaczny. A Pana pogląd w życiu?

— Rzeczywiście, trochę inaczej o tym myślę. Dawniej myślałem, że sam scenariusz jest bardzo ważny, że jest podstawą. Dziś już sobie zdaję sprawę, że jest tylko „podkładką”. Wszystko zależy od reżysera, który zresztą film podpisuje i firmuje i rzeczywiście jest jego prawie wyłącznym autorem.

To wprawdzie jest bardzo przykre, ale już się z tym pogodziłem. Wolę w pracy nad scenariuszem dyskutować i pomagać, niż kłócić się i upierać przy swoim. Zawsze przystaję na zmiany proponowane przez reżysera.

Kiedy zaczynałem swoją współpracę z filmem, panował pogląd, że w Polsce nie opłaca się myśleć o zawodzie reżysera. Robiono wtedy 20 filmów rocznie. Natomiast w tej chwili sama telewizja robi ogromną ilość filmów, chyba 300 proc. w porównaniu z poprzednim okresem. I choćby dlatego czas już o tym poważnie pomyśleć. ■

Rozmawiała: EWA MOSKAŁOWNA

Wacław Szczepkowski

Z GODNOŚCIĄ PODJAĆ LOS...

Dziewiętnastowieczny pisarz, zarazem oficer marynarki angielskiej Frederick Marryat, jedną z najlepszych swoich powieści oparł na starej i powszechnie znanej legendzie morskiej o Latającym Holendrze*. Z całą pewnością jest to książka powieścią romantyczną, możemy odnieść do niej również określenia — romans awanturniejszy i powieść marynistyczna, romans grozy i powieść sentymentalna, ponieważ autor mistrzowsko łączył najpopularniejsze ówczesne gatunki i tendencje. Te historyczno-literackie konsekwencje utworu i źródła leżące u jego podstaw legendy analizuje Maria Janion w wyjątkowo jasnym i przejrzystym wstępie, do którego odsyłam zainteresowanych.

W tę typowo marynistyczną powieść — bo morze rzutuje na wszystko, co tu się dzieje, swoją bezwzględnością i obcością, przeraża tajemnicą, pozwala się eksplloatować, ale żąda za to najwyższej ceny, z obojętnością przyjmując każdą ofiarę — wpisany jest dramat losu człowieka. Jak w greckiej tragedii, jak w romantycznym dramacie przeznaczanie obarcza bohatera wielką misją. Filip musi dostarczać ojcu na widmowy statek relikwie, aby uwolnić go od przekleństwa morza — wiecznego pływania, niezaznania lądu, miłości i śmierci. Syn, decydując się na odkupienie win rodzica, wie, że wybiera drogę cierpienia, ale nie mamy tu pokornego poddania się losowi, tak jak nie mamy świadomej czy ślepej z nim walki. Wyz-

wanie rzucone przeznaczeniu, to wyzwanie o realizację swego losu z zachowaniem świadomości i konsekwencji oraz najwyższej ludzkiej godności. Dlatego Filip, mimo wielkiej misji, pozostaje do końca człowiekiem, jest uczciwy, ale waży się narażać życie innych, jest szlachetny, ale potrafi być okrutnie mściwy, w sytuacji skazańca decyduje się na przyjęcie i ofiarowanie wielkiego uczucia.

Dramat miłości w tej powieści wrasta w miarę upływu czasu coraz integralniej w dramat losu. „Anielska”, czarnowłosa Amine, która ofiarowała Filipowi piękne i wierne uczucie, zaczyna niepostrzeżenie wysuwać się na plan pierwszy. Jej godność w reakcji przeznaczenia jest moralnie jakby jeszcze czystsza, bo jej los to jedynie miłość ukochanego i konsekwentne tego uczucia spełnienie. „Jestem tylko biedną, słabą niewiastą, której serce bije miłością i oddaniem dla ciebie, która dla ciebie odważyłaby się na wszystko, która z miłości odmieniła swoją naturę, stała się odważną i zuchwałą. I odrzuca każdą religię, która by jej zabraniała wzywać niebios, ziemię albo piekło, aby jej pomogło zatrzymać przy sobie życie jej duszy” — mówi Amine do Filipa, a zasługą autora jest, że nie brzmi to papierową literackością.

Ponad 130-letnia bariera dzieli nas od powstania „Okreću widma”, szalone przygody Filipa odrobinnie spłowiły, groza może tracić nieco naiwnością, na legendę o Latającym Holendrze patrzymy wyłącznie literacko, ale do każdego przemówią postacie powieści, z najwyższą godnością przyjmujące i spełniające swój los, z godnością przeżywające piękną miłość, jak każdego pociąga wieczna tajemnica morza. ■

*) Frederick Marryat, *Okreću widmo*. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1973, s. 480, cena 30 zł.

KSIĄŻKI NADESŁANE

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Formy literatury popularnej. Z Dziejów Form Artystycznych w Literaturze Polskiej (s. 238, cena 42). Zbiór studiów.
S. Jodłowski i W. Taszycki, Słownik ortograficzny (wyd. 8, s. 556, cena 40).

POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE

Irena Turska, Przewodnik baletowy (s. 412, ilustr., cena 50).
Konstanty Regamey, Próba analizy ewolucji w sztuce (s. 44, cena 15). Esej.

WYDAWNICTWO MORSKIE

Władysław Lam, Miasteczko nad Neretwą (s. 168, cena 10). Opowiadania.
Edward Gubała, Przygoda mojego życia (s. 338, cena 30). Wspomnienia.
Bogdan Justynowicz, Nabrże malarzy (s. 84 + tabl. ilustr., cena 12). Szkice o gdańskich plastykach.

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Albert Dam, Siedem obrazków (s. 170, cena 20). Opowiadania.
Vilhelm Moberg, Krajina zdrajców (s. 270, cena 26). Powieść.
Olav Duun, Ludzie i żywioły (s. 228, cena 24). Powieść.
Eugeniusz Andrzej Daszkowski, Marynarski widnokrąg (s. 228, cena 18). Opowiadania.

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX”

Jürgen Thorwald, Pacjenci (s. 615, cena 70). Powieść.
Julien Green, Inny (s. 274, cena 30). Powieść.

Jon Cleary, Tygrysy (s. 288, cena 30). Powieść.
Jean Cayrol, Słysz go jeszcze (s. 254, cena 26). Powieść.
Michel Huriet, Znak króla (s. 142, cena 15). Powieść.
Henry Viscardi, List do Jima (s. 143, cena 15). Powieść.
Anna Domańska, Los w rękach twoich (s. 226, cena 25). Powieść.
Jadwiga Korczakowska, Pałac pod gruszą (s. 223, cena 20). Powieść.
Henryk Czyż, Ucieczka spod klucza (s. 179, cena 15).
Anna z Działynskich Potocka, Mój pamiętnik (s. 495, cena 70).
Marcio Moreira Alves, Chrystus wśród generałów (s. 238, cena 30).

PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA MUZYCZNA W GDAŃSKU

50 lat ZSRR. Przyczynki do historii kultury muzycznej (s. 110).
Tadeusz Szeligowski. W 10 rocznicę śmierci kompozytora (s.118).

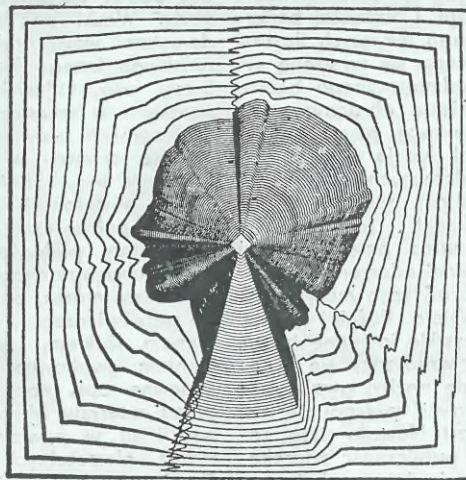
INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN

Biuletyn Polonistyczny (z. 49, s. 184).
Biuletyn Polonistyczny (z. 50, s. 118 + Noty informacyjne).
Wydawnictwa Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk 1948–1973 (s. 132).

Książki

Znowu jest noc, Puma. Jedna z tych wspaniałych nocy miłosnych, kiedy nie pragnę zasnąć u twego boku, lecz trwam do świtu zgarbiony nad maszyną do pisania. Śpisz nakryta kwieciastą kołdrą, skromna a zarazem wyzywająca w swoim nagim zniecierpliwieniu, poruszasz się od czasu do czasu leniwymi ruchami, zmieniasz pozycję ciała, mówisz coś do mnie swoim długim, zaledwie słyszalnym w przerwach między zbyt głośnymi tyknięciami budzika oddechem. Jesteś obecna w swoim śnie, a także w śnie, który na dobrą sprawę stanowi moja opowieść o tobie. W dwóch snach: jednym tajemnym, drugim jawnym. Przyglądając się tobie, Puma, mimowolnie pytam siebie, po co tu wprowadziłem widmo Luizy w-pożal-się Boże-sukienice? Przecież nie po to, żeby cię nią podrażnić czy rozjątrzyć? To już u mnie minęło. Mniejsza o to! Widocznie tak musiało być, a twoim zadaniem będzie jakoś to przelknąć, co przyjdzie ci tym łatwiej, im mniej będziesz zwracała sobie tym głowę. A zatem zostajemy w T.! Miasto rozwija się jak na drogach, ma już cudowną, srebrzącą się w słońcu drabinę strażacką sięgającą do szczytów najwyższych gmachów i ludzi przygotowanych do działania na tych napawających lękiem wysokościach. Ma odlany w brązie, pokryty patyną a jednocześnie nowoczesny w swoim wyrazie posąg Heliosa. Ma wymurowaną z ciemnych cegieł kulę, a na niej miedziane tarcze słonecznego zegara z cyframi godzin. Ma parki, ma skwery, ma wyasfaltowane alejki i wysokie, dziesięciopiętrowe latarnie uliczne, w świetle których można zupełnie swobodnie czytać gazety i dowiadywać się z nich, co też się dzieje na szerokim świecie? Może rzeczywiście jest to miasto słynnych cukierników, jak je kiedyś nazwał Ryszard w swoim poemacie o hulającej po ogrodzie szarańczy, skoro na każdym niemal rogu masz sklep ze słodyczami i oblanymi czekoladą piernikami? Może rzeczywiście jest to starodawna perła w nowoczesnej koronie czy obramowaniu, jak je w porównaniu ewidentnej i trącejącej z lekka grafomania przesady określił jeden z moich niespożytych kolegów po fachu? Może rzeczywiście jest to jedyne, godne nas miejsce na globie i może naprawdę dobrze zrobimy, nie wynosząc się stąd do jakiejś hałaśliwej, zagonionej i denerwującej samym faktem swojego istnienia metropolii? Prawda, że z zaopatrzeniem jest tu krucho i po głupie buciki dla ciebie trzeba wybierać się aż do Warszawy, ale gdzie znajdziesz za to ulicę Trofima Łysenki, owego bohatera mojego dzieciństwa, za którego dobry w końcu i mający, jak okazało się później, również nosa w sprawach agrobiologii stolarz Ziemiński poszedł na jakiś czas do paki? A tu masz! Wsiadasz sobie jak gdyby nigdy nic w autobus linii numer „11”, dojeżdżasz do petli przy nowo zbudowanym i otoczonym starymi drzewami szpitalu, cofasz się do Grunwaldzkiej, za warsztatami technikum samochodowego i klasztorem redemptorystów skręcasz sobie najspokojniej w prawo, wędrujesz wyżywaną drogą stanowiącą północną granicę rozbrabanego jeszcze miasteczka uniwersyteckiego i po dojściu do skraju podmiejskiego lasu już jesteś na ulicy nazwanej imieniem gościa, który negował rolę genów w dziedziczności i powstawaniu gatunków. Jeśli się nie mylę, mieści się tu tylko malowniczo położone sanatorium wad wymowy i nic więcej. Kiedyś, kiedyś nie było tu drzew i krzewów szumiących do wstrętu wietrzakom polnym. Łysą golizną świecił wzgórek, jak czaszka wybielała kościotrupa, a na szczycie wyciągała swe żądne ofiar ramie szubienica, z daleka widoczna, groźne memento dla wszelkiego rodzaju opryszków, którzy ośmielili się pogołgować swym skłonnościami na obszarze królewskiego miasteczka T. Tak było, Puma. Stolarza Ziemińskiego, gdyby tu ni stąd ni zowąd przyjechał, mogłyby pewne rzeczy nieco rozdziablić, ale to jeszcze nie powód, by zmieniać nazwę tej peryferyjnej, nurzącej się w wydeptanym lesie ulicy. Chociaż? Faceci z komisji nazw, bo niewątpliwie przy miejscowej radzie narodowej taka istnieje, winni oberwać trochę nie za Trofima Łysenkę, lecz za aferę, jaką urządzili na dział-

MARZEC KWIECIEŃ



MAJ

Wojciech Roszewski

kach najpocześniejszego spośród świętych – świętego Józefa. Cholera przecież człowieka bierze, gdy idąc wśród parterowych domków ulicą Wiosenną w stronę okalających lotnisko lasów, mijając kolejno: Jaśminową, Irysową, Agrestową, Owocową, Spokojną, Czystą, Wesołą, Cichą, Porzeczkową, Truskawkową, Malinową, Jagodową i dochodzi w końcu do Orzechowej. Warto byłoby za to napaść na nich Ryszarda. On umie takie rzeczy załatwiać. Jeden felieton w „Miesięczniku” i z głowy. Ciekaw też jestem bardzo, jaką ulicę w przyszłości faceci z komisji nazw przemianują na ulicę Puma? Ulica Pojednania nie wchodzi w grę, bo pewne, zadawnione zresztą pretensje może do niej rościć Luiza. Zobaczymy? Czas pracuje dla nas, a my dla niego – jak poinformowano mnie kiedyś w zadymionej, mimo stanowczego zakazu palenia papierosów piwiarni na roku Żeglarskiej i Kopernika, tuż obok ogromnego i ocienionego wysokimi lipami maszywno kościółka Świętego Jana, na wieży którego wisi milczący, ważący sto czterdzieści cetnarów dzwon Tuba Dei. Jak sądzisz? Czy wybudują nam tu kiedyś kino szerokoformatowe? Takie, jak w Słupsku, gdzie latem oglądaliśmy brzydką, antypatyczną Barbrę Streisand wyśmienicie śpiewającą „Hallelujah”? Z wielkim ekranem i dźwiękiem wędrującym wraz z aktorami? Z dużą, obliczoną na tysiąc widzów, skośnie nachyloną widownią? Z miękkimi fotelami, powleczoneymi czerwonym płótnem, w których można się swobodnie i rozkosznie zagłębić? Trochę to jeszcze potrwa, Puma, ale czuję, że w końcu będziemy mieli to kino szerokoformatowe. Kupimy sobie również z czasem jakiś przyzwoity, szybki samochód i w piątek czy w sobotę będziemy rozjeżdżać nim po okolicy, gdzie jest przecież wiele do zobaczenia. Dwa rowery, które mamy, długo bowiem nie pociągają. W moim wysiadła już zupełnie przetrutka, twój, jak dla ciebie, jest – co tu dużo gadać – za mało efektywny. Czy kadrowa z Instytutu nie nazywa cię damą? Czy mało mi naszeptano do ucha, że jesteś niesłychanie ele-

gancka i masz gust co się zowie? Teraz jeszcze patrz na to przez palce, ale za kilka lat nie wybaczą nam, że nie mamy samochodu. Już obecnie, gdy zbiorą się razem, tylko o tym jednym potrafią mówić, a co się będzie działo w przyszłości – strach pomyśleć! Wytrzymamy jeszcze kilka lat, a później porośniemy w piórka i prędzej czy później ulegniemy naciskowi coraz bardziej zadowolonego z siebie otoczenia. Ja będę z sentymentem wspominał czasy, kiedy to stolarz Ziemiński za opowiadanie dowcipów o słynnym agrobiologu, musiał na pewien czas zawiesić swoją stolarską działalność, ty będziesz się rozczulała, myśląc o pięknych chwilach, jakie spędzałaś marząc samotnie w niewielkim pokoiku przy ulicy Pojednania i będziemy jakoś żyli w dobrze urządzonym świecie. Od czasu do czasu zjawia się u nas trawiony gorączką życia facet w typie Ryszarda, Bartosza czy Szymona, poubolewa nad tym, że minął bezpowrotnie nasz czas burzy i naporu, wypije trochę wódki, przekąsi coś, prześpi się i nazajutrz czmychnie gdzie pieprz rośnie, pozostawiając nas z naszymi niełatwymi rozwiązanymi problemami. Później, po kilku latach, zaczną się między nami jakieś trudne do rozszyfrowania niesnaski, coś tam zatrzęszyć w szwach, coś pęknie na dwie połowy, coś rozleje się jak krew ze świeżo otwartej rany, będziemy się oddalać od siebie coraz dalej i dalej, aż wreszcie pewnego pięknego dnia wybierzemy się do najbardziej wykwintej restauracji i powiemy sobie z satysfakcją nie pozbawioną wszakże pewnego sadyistycznego od-cienia, że mamy siebie szczerze dość. I tak – elegancko, higienicznie i kulturalnie – nasza historia się rozwije. Niedoczekanie, Puma! Wcale nie mam zamiaru z założonymi rękami czekać na wszystkie te wspaniałości i słodycze. W końcu w każdym z nas – w tobie, we mnie, w nich – jest ta szczypta szaleństwa i wiary, której możemy zawierzyć. Pamiętasz ten koncert? A, prawda! Nie było cię wtedy ze mną. Pokłóciliśmy się o coś i wyjechałaś przeanalizo-

wać problem do rozslonecznionego Nakła. Kompozycja-nalot, kompozycja alarmowa, kompozycja ostrzegawcza. Wyprowadzona z najciemniejszego zakamarka ciszy, z głębi zagraconej sceny, na której jeszcze przed kilkoma minutami leżały bezwolne, puste, porzucone instrumenty. Interferencje, tak to się nazywało. Ktoś, zdaje się kobieta w białej bluzce, szepnęła mi do ucha: „Jak w trzydziestym dziewiątym. Zupełnie jak w trzydziestym dziewiątym”. Rozgrzewali się, pocili, po kilka łyków wódki wypitych tuż przed koncertem doprowadziło ich do furii. Chudziutki perkusista, gdy przeszli już do partii mających ilustrować lęk Kordiana skradającego się w stronę sypialni cara, przypominał siedmiorożnego bożka, miał to trzy, to cztery wściekle obracające się głowy. Po którejś z rzędu solówce, przestał właściwie być widoczny, jak ci ludzie na starych, nie dostosowanych do współczesnych projektów filmach, zabawnie przebiegający nogami w groteskowych gonitwach po ulicach i placach. Do stał zasłużone brawa, a zaraz potem włączył się swoimi głuchymi, nerwowymi uderzeniami kontrabas, poskramiany przez brodatego muzyka jak stawiająca zaciekły opór kobieta. Później trąbka, później puzon, wreszcie wszystkie instrumenty zabrzmiały znowu wspólnie i wznoszący się coraz wyżej i wyżej, oddalający się nazbyt gwałtownie od swoich źródeł gmach muzyki, rozsypał się nagle jak dom wznieiony z kart. Nastąpiła cisza, zapalono światła, a odurzona publiczność odczekawszy kilka sekund w milczeniu i w spokoju zaczęła oklaskiwać instrumentalistów. Dlaczego o tym wspominam? Dlatego, Puma, że przeżyłem wówczas chwile lęku i ekstazy, rezygnacji i namietności, ciszy i zgłębku. Zawahałem się, ale także nabrałem pewności. Wróciłem do domu i ze wzmoczoną wiarą oczekiwałem na twój powrót z nadnoteckiego, zatopionego w jesiennym słońcu miasta. I pisałem, Puma. Pisałem, jak piszę teraz, z tą tylko różnicą, iż nie było ciebie przy mnie i nie śniłaś o czymś oddalona za ledwie o kilka metrów. Pisałem opowiadanie, które miało następnego dnia nas pojednać, a jego przewrotność, zresztą niezamierzona, polegała na tym, że stanowiło ono gruntowny opis naszego definitywnego i ostatecznego rozstania. Nie było ono znowu aż tak tragiczne. Dałem mu tytuł „Łagodne oko błękitu” i – na dobrą sprawę – w trakcie lektury można się było także zdrowo pośmiać z jego bohatera, a po części także i bohaterki. Cokolwiek sądziłbyśmy o literaturze, Puma, w tym wypadku spełniła ona aż z nadmiarem swoje zadanie. Może przesadzam? Może wróciłaś z zamiarem pojednania się ze mną i Bogiem a prawdą obyły się bez żadnego opowiadania? Może? Niezależnie od tego, jak miały się sprawy, nie żałuję jednak, że je napisałem.

*

Obliczem każdego miesiąca jest pogoda, Puma. Zdałoby się, że nie ma rzeczy bardziej nietrwałej, kapryśnej i zmiennej, a jednak idę z tobą o zakład, że nawet wówczas, gdybym stracił wszelką rachubę czasu, wszelką świadomość upływu dni, tygodni, miesięcy i lat, wprowadzony jak ślepiec we wnętrza tego porzywistego, kwietniowego dnia, rozpoznałbym go nieomylnie właśnie jako kwietniowy. Nie potrafiłbym ci może wyjaśnić, w jaki sposób to uczyniłem, ale rozpoznałbym. Kwiecień to to, co pozna się poza poznaniem, Puma. Takie przyplwy i odpływy rozkapryszonego wiatru, takie fale ciepła, za którymi posuwają się bezlitosne poddmuchy chłodu, takie niebo sine, z buszującymi po nim chmurami o różnych kształtach i nieodgadnionych zamiarach, to wszystko, Puma, przynależać może oczywiście do każdego innego miesiąca, a jednak, gdy rzecz należyście rozważyć, przynależy wyłącznie do kwietnia, miesiąca nie będącego miesiącem okrutnym, lecz raczej zwodniczym. Szliśmy więc poprzez ten kwiecień... Człowiek ścinający szerokim nożem wikliniarskim dwuletnie, wyrastające wprost z na-

syconego wilgocią piachu pędy wierzbowe, pozostawił wiele odrósł, o które się potykałaś. Za nami był rozdziwiony most, a my sami staliśmy pośrodku dziwnych budowli, przypominających szernie i powiększone do monstrualnych rozmiarów sżtygi zboża, wzniesione z przerstających nas znacznie pęków faszyny. Przypominało to zbiorowisko skleconych na prędce szałasów i przez chwilę mieliśmy nawet wrażenie, że wkroczyliśmy na teren opanowany przez jakieś kocownicze plemię. Do środka jednego z tych szałasów prowadził ciemny otwór, w którym się bez obawy zagłębiłaś, a ja poszedłem w twoje ślady. Wąski pas ustalej, poprzestanej wodorostami wody oddzielał nas od prawego, to-ruńskiego brzegu Kępy Bazarowej, podczas gdy brzeg lewy, kujawski, ukryty był przed naszym wzrokiem w szczelnej gęstwinie zazieleniających się czarnych bżów, leszczyn i zdziaczalych grusz. Wielkie drzewa- wierzy, czarne topole, osiki- dożywały swoich dni. Wiele z nich leżało wśród zieleni powalonych po prostu przez starość, inne rozłupał zesłany z niebios piorun, jeszcze inne zostały podpalone przez nocnych zcicieli Kępy, owych zrozpaczonych nomadów każdego wielkiego miasta, poszukujących w płataninie jego peryferii czegoś, co dla innych jest po prostu domem, łóżkiem, stołem, pościelą, muzyką, momentem gwałtownej ekstazy. Interesujący byłby zapewne opis nocy miłosnych na Kępie. Czyż przed czterystu blisko laty kat miejski nie przypędził tu w pewien lipcowy dzień dwudziestu trzech, nierzetelnych, jak je określono, kobiet? Czy każda z nich nie siedziała na osle, z twarzą zwróconą ku ogonowi zdumionego zwierzęcia ze słomianym wieńcem włożonym jak Bóg dał na pohańbioną głowę? Czyż obecność tych kobiet na Kępie nie natchnęła nocą kilku, co bardziej przedsiębiorczych mężczyzn do przeprowadzenia się łodziami na drugi brzeg wezbranej może nawet nieco od letnich deszczów Wisły i zażycia z nimi grzesznej rozkoszy? A i dziś przecież coś się tutaj musi dziać pod osłoną nocy. Wyobraź sobie prostego żołnierza w zwężonych nieco przez samego siebie spodniach i w zgnilizielonym szynelu. Ponaglany niemiłosiernym terminem upływu ważności przepustki, po długim wahaniu, zaciepiał pod gmachem Banku, obok posągu Heliosa tłustawą dziewczynę w niemodnym, ortalionowym płaszczu sprzed kilku lat, podkróconym ostatnio sztucznie o kilka centymetrów i odsłaniającym czerwoną spódnice i przytęgie nogi w cienkich pończochach. Zaciepiał ją, a ona nawet mu nie odpowiadała, przyglądała włosy i już jest właściwie gotowa pójść dalej obok niego. Właściwie niewiele mają do powiedzenia, wybierają na powitanie pierwsze lepsze, niewyszukane zupełnie słowa. Po chwili ruszają przed siebie raczej z musu, niż z wewnętrznej potrzeby. On nie zna miasta i nie wie zupełnie gdzie pójść, ona, bardziej obznajomiona z terenem, wie gdzie go dyskretnie w stronę mostu, na którym mijają ich raz po raz rozpędzone, wypełnione ludźmi tramwaje. Właściwie wolałaby może pójść najpierw na wino, ale nie jest pewna, czy żołnierz z tak niską rangą ma pieniądze. W połowie drogi, Puma, lecz wciąż jeszcze na moście, biorą się za ręce. Idą nie oglądając się na światła wytyczające w ciemności spadzistą linię nowego bulwaru. Po drewnianych, znanych tylko dziewczynie stopniach, schodzą w dół. Po omacku, bowiem latarnie zostały daleko za nimi, odnajdują syki grunt. Są na Kępie. Wyszukują ścieżkę i potykają się na niej o tors mężczyzny, który jeszcze kilka minut temu pił tu samotnie denaturat, a teraz śpi, śniąc jakieś poszarpane, nie układające się w żaden ciąg, napawające go lekkiem snem. Mężczyzna ciska ciężkie przekleństwo pod ich adresem i przewraca się na drugi bok. Idą dalej. Przeraziła banalność tej wędrówki pod prąd zginającego wierchołki krzewów nocnego wiatru, wędrówki napelniającej ich oboje wzburzającym z każdą chwilą pożądaniem, czyni ją czymś wzniosłym. Tak jak idą oni, mogą iść tylko bohaterowie tragedii. Teraz już wiesz, do cze-

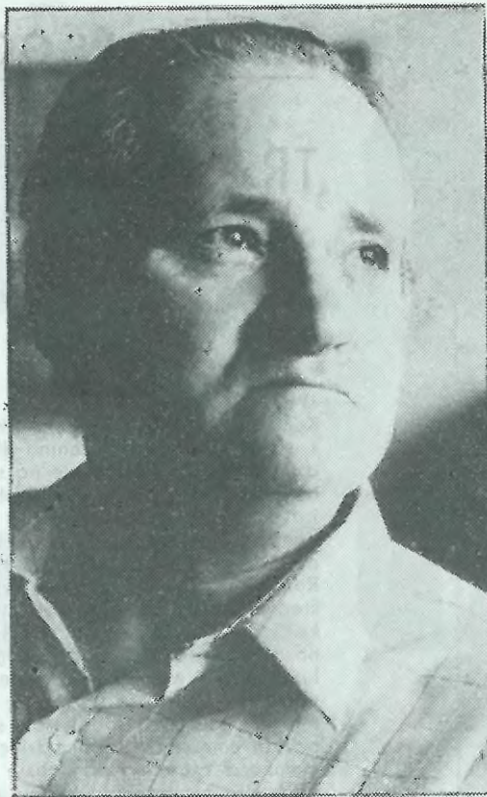
go zmierzam, Puma. Kiedy się wreszcie kładą w wyrudziałej, pokrytej nocną rosą trawie, kiedy on jedną ręką odkłada starannie czapkę, a drugą wypycha jej nieporadnie pod pończochę, a ona układa się starannie na ziemi i zadziera nieco uda, by mu ułatwić zadanie, nie są od nas lepsi, ani gorsi. Podobnie jak my, stają się parą kochanków, a reszta... Nie wiem, może to właśnie on, po raz pierwszy w życiu w ten sposób zaspokojony, a więc tym bardziej nienasycony, zrywa się i – by jej cokolwiek zaimponować – wyszarpuje z kieszeni zapalnik i z trudem podpala pień nadpróchniałego drzewa. Ktoś, kto stoi po drugiej stronie rzeki lub przechadza się powoli po eleganckim bulwarze, dostrzega nagle ten płomień. Nie wie jeszcze dobrze o co chodzi, ale jeśli ma naturę rzeczywistą męską, porywa go on. Z nieomylną łatwością odgaduje, że mimowolnie, za pośrednictwem tego chybotliwego, odbijającego się w smolistej wodzie sygnału, staje się świadkiem czyjegoś zwycięstwa lub przegranej. Później niech dzieje się co chce. Niech żołnierz, skoro to jest mu konieczne potrzebne, wyrzeza nawet szczyrykiem na powalonym pniu drzewa, nieforemny, kłamiwy napis: „Byłem tu z jedną kurwą z T. Rznąłem ją sześć razy raz z razem. St. szer. Waclaw S. (Zorro) z Wierzbowa pow. Łosice”. Tak najprawdopodobniej, Puma, do wielkiej i bogatej księgi dziejów Kępy, został dodany jeszcze jeden werset. Czyśmy nie odnaleźli go mijając przystań wioślarską? Czy nie odczytaliśmy go, dziwiąc się po jakie licho ludzie takie rzeczy wypisują? Oczywiście można tego człowieka uznać za zwykłego wandalę, a nawet oskarżyć go z powodzeniem o świadome niszczenie przyrody. Można, ale my, Puma, nie tylko dlatego, iż nie wiemy kim on jest, ale z wielu innych, znacznie ważniejszych i aż nadto zrozumiałych dla ciebie dla mnie względów, nie uczynimy tego. Po wszystkim bowiem musi pozostać ślad, choćby kaleki. Z pewnego punktu widzenia, który zresztą znasz i podzielasz, Puma, moja opowieść jest równoważna z ordynarnym zapisem tego żołnierza. Wynika to stąd, iż jedni w drodze do miłości idą po piasku i zostawiają za sobą niezliczoną ilość drobnych śladów, inni po prostu wbijają nóż w pień drzewa, a jeszcze inni, jak ty, wtykają tylko wiklinowy kijek między nadrzeczne gałęzi. Naczyński zła, które złem nie było i nigdy nie będzie, wstają oboje, strzepując z siebie trawę i wyruszają w skomplikowaną drogę powrotną. Nad przerzuconym ponad Starą Wisłą i zarwanym przez wielotonową ciężarówkę mostem nie pali się żadna lampa. Z najwyższym trudem przechodzą po nadłamanych balach na drugi brzeg. W okolicach dworca głównego, żołnierz spogląda na widoczną z daleka tarczę zegara, stwierdza, że ma jeszcze trochę czasu. Niewiele, bo niewiele, ale ma. Proponuje dziewczynie piwo w bufecie kolejowym. Ta przystaje na to z ochotą. Ciągąc już to piwo, żołnierz, mimo wyrzeczanych na pniu epitetów, zastanawia się, czy nie zagadnąć dziewczyny o zdjęcie i adres? Może spodobał się jej? Może poszłaby z nim w następną niedzielę? Brak mu jednak odwagi. Dochodzi do wniosku, iż wystarczy, jak opowie kolegom w kosharach całe wydarzenie. Dotąd tylko słuchał tego rodzaju opowieści. Teraz sam ją wygłosi. Z boku przysuwa się do nich z niedopitym kufem jakiś starszy, pijaniusiński facet. Zagaduje ich. Żołnierz wolałby może, żeby sobie lepiej poszedł, ale dziewczyna zdaje się być zadowolona z obrotu rzeczy. Pijaniusiński facet stawia po piwie sobie i im. Później dziewczyna wysupluje z portmonetki jakieś grosze i kładzie je przed żołnierzem. Ten dokonuje zakupu przy bufecie, ale orientuje się, że czas najwyższy wracać. Nie wie jak pożegnać się z dziewczyną. Wie już, że nie ma ona zbyt wielkiej ochoty pojechać z nim tramwajem. Pijaniusiński facet częstuje ją papierosem, mówi coś do niej. Wszystko jest jasne. Żołnierz macha im ręką na pożegnanie i odchodzi na przystanek. Niezłą naukę dostał tego dnia.

Prawdziwie interesujące chwile w życiu wiążą się dla mnie z jakąś wodą. Z rzeką, jeziorem i przede wszystkim z morzem. Powinienem być urodzić się pod znakiem Wodnika, urodziłem się pod znakiem Strzelca, chociaż nie lubię strzelania w tym samym stopniu jak lubię wszelką wodę. Nie wybiera się sobie znaków Zodiaku i w ogóle mało rzeczy wybiera się sobie w życiu. Raczej jest się wybieranym. Tylko nieliczni zdobywają to co sobie postanowili, a i oni czują w końcu, że ich trud był daremny jak świadczy o tym wypadek doktora Fausta. W młodości myślałem, by zostać marynarzem. Nie tylko dlatego, że tak bardzo pociągało mnie morze i dręczyło pytanie: co jest za każdym następnym horyzontem? Od najmłodszych lat dręczyła mnie też nieustająca chęć, aby przenieść się możliwie daleko od miejsca i chwili, w których się właśnie znajdowałem i to bez względu na to, czy były one pomyślne, czy nie. Ale wszystko ułożyło się inaczej, ponieważ należę do tych licznych, którzy są wybierani a nie do tych nielicznych, którzy sami wybierają.

Czasem zawiedzione nadzieje nie pozostawiają gorzkiego smaku klęski. Przeciwnie ozdabiają życie szczególnym urokiem. Dobrze jest móc marzyć, myśleć o czymś, co nigdy się nie stało, ale mogło się stać. O czymś, co pozostaje zawsze świeże i nieporuszone zawałanym palcem rutyny dnia powszedniego. Wiadomo i nie ma się co nad tym rozwodzić, że to o czym się marzy jest inne od tego, co się spełnia. Niekoniecznie gorsze. Inne. Dlatego dalszy ciąg spraw, które zaczęły się dziać w życiu, a potem działy się już tylko w wyobraźni, jest czymś jedynym w swoim rodzaju. Wiele ludzi jak gdyby formalnie jednak nadaje urzędową moc temu, co roi sobie wyobraźnia i po upływie cennego czasu przestaje dokładnie rozróżniać, co działo się naprawdę, a co się sobie potem wymyśliło i takich nazywa się mitomanami. Nie zawsze słusznie. Zresztą, co komu przeszkadzają mitomani? Każdy jest w gruncie rzeczy trochę mitomanem i każdy czuje potrzebę przyozdobienia swojej biografii. Jeżeli nie ma celu wyłudzenia, oszukania czy materialnego zysku, jest to naprawdę nieszkodliwe. Ludzie mają o nas fałszywe pojęcie, przypisują nam cechy charakteru, których nie mamy i wymyślają sobie nasz temat rzeczy, których nie tylko nie zrobiliśmy, ale nawet nie jest prawdopodobne, ażebyśmy zrobili. To nawet nie chodzi o to, aby to było coś złego lub uwłaczającego. Jesteśmy jednak źli. Jesteśmy źli, że bierze się nas za kogoś innego, a nie za nas samych. Jeżeli ten ktoś, za kogo nas biorą, jest lepszy od nas, to też nie zmienia sytuacji.

Chcemy być sobą a nie kimkolwiek innym, choćby lepszym od nas. JA jest jedyną rzeczą, którą naprawdę posiadamy. Dlaczego wścibscy natręci chcą nam TO odebrać? I wtedy zdajemy sobie sprawę, że to tylko nasza wina, że przez długie lata powodowani próżnością, obawiliśmy się sztucznymi ozdobami i nosiliśmy order, których nikt nam nie dał, a teraz za późno, by to komukolwiek wytłumaczyć, za późno, by pochwalić się światu zupełnie własną, niesfałszowaną identycznością. Nie ma co, powtarzam, przejmować się tym wszystkim za bardzo. Człowiek i tak wychodzi niezbyt cało ze wszystkich awantur spotkanych na drodze życia i wielu pod koniec tej drogi oddałoby duszę diabłu, aby tylko czas się cofnął i raz jeszcze wszystko z odpowiednimi poprawkami można by było przelecieć. Ale nikomu nie przychodzi do głowy, że w gruncie rzeczy jest zdeterminowany swoimi cechami wrodzonymi i nabytymi i gdyby raz jeszcze się urodził, musiałby mniej więcej powtórzyć te same głupstwa. Postąpić inaczej mógłby tylko ten drugi ON, wymyślony przez próżność i przez instynktową i niezupełnie wytłumaczoną chęć ustawicznego wprowadzania w błąd wszystkich dokoła.

Jednakże myślenie o tym co się mogło stać, a nigdy się nie stało, nie ma związku z mitomanią, ani żadnego związku z tym drugim, wymyślonym JA. Drugiego JA wymyśla się dla in-



Fot. Krzysztof Grossman

STANISŁAW DYGAT

FANTAZJA

i

RZECZYWISTOŚĆ

nych i biurokratyzując je zaczyna wierzyć się w coś, co nigdy się nie zdarzyło. Myśli się o tym, co mogło się stać, a nigdy się nie stało, wyłączając dla siebie, fantazja zostaje fantazją, nie jest pociągana do żadnej urzędowej odpowiedzialności wobec trybunału codzienności i ma prawo cieszyć się pełną swobodą, korzystać z praw autentyzmu w sposób znacznie bardziej uprzywilejowany od jakże podejrzanych i dwuznacznych faktów, tak zwanych faktów z naszego oficjalnie uznawanego życiorysu. I dlatego częstokroć to co nie stało się, a mogło się stać i zostaje urzeczywistnione tylko w fantazji, zostaje znacznie lepszym i prawdziwszym materiałem literackim od tego, co wydarzyło się naprawdę.

Piszę o tym wszystkim, ponieważ redakcja „Liter” prosiła mnie, abym powiedział parę słów o mojej, zapowiadanej od niedawna powieści

„Chińska Dzielnica”. I czy to prawda, że ta powieść związana jest z Wybrzeżem. Prawda. Nie lubię mówić o tym, co piszę albo napisałem, ponieważ kiedy czytam wypowiedzi pisarzy o sobie i o swoich dziełach zawsze dochodzę do wniosku, że oni sami najmniej są powołani do tego, by wypowiadać się na ten temat. Nawet najwybitniejsi krytycy nie napisali nigdy tylu błyskotliwych głupstw o pisarzach, co pisarze o sobie samych. Wszystko, co pisarz ma do powiedzenia, powinno zawierać się w książce, a poza tym nie ma o czym gadać. Ale świat dzisiejszy polega w bardzo poważnej części na tym, że jedni drugim każą ustawicznie odpowiadać na jakiegoś pytania i trudno przed tym umknąć. Jednak to, w jaki sposób umknąć, staje się dla pytanych często równie ważnym problemem, jak dla pytających w jaki sposób zapytać. Może dlatego napisałem tutaj taki długi wstęp, a odpowiem na istotne pytanie zwięźle.

Akcja „Chińskiej Dzielnicy” rozgrywa się w Gdyni przed wojną i na Wybrzeżu po wojnie. Dziś już mało kto, wie, co to była Chińska Dzielnica. Chińską Dzielnicą nazywano dzielnicę knajp, typowo marynarskich przy ulicy Portowej, częściowo przy św. Piotra i Żeromskiego. Pod Orłem, Pod Dębem, Renaissance, Savoy, Blue Bird, Bombaj, Karioka. To co zapamiętałem i co przypomnieli mi inni. Starzy gdyńianie, którzy mieszkali przed wojną w dzielnicy portowej, twierdzą z całą stanowczością, że to nie nazywało się Chińska Dzielnica i że w latach trzydziestych, o które mi chodzi, Chińska Dzielnica dawno nie istniała. Formalnie mają rację. Chińska Dzielnica, złożona z drewnianych pałatek, mniej więcej na wschód od Portowej, zamieszkiwana była przez biedotę, drobnych rzemieślników, rybaków.

Chińską Dzielnicę zlikwidowano w 1928 roku, w miarę jak rozbudowywał się port i portowe tereny. Ale ta nazwa zaczęła się koryżyc z dzielnicy portowych knajp. W każdym razie dla ludzi ze śródmieścia, które zresztą nie było wcale tak bardzo oddalone, bo zaczynało się już właściwie od placu Kaszubskiego. I tak ja nazywali moi przyjaciele, młodzi oficerowie marynarki, których poznałem w czasie wakacji w roku 1937. Czasem, przebierali się w cywila i szli do Chińskiej Dzielnicy. Mnie nigdy nie chcieli ze sobą zabrać. Byłem dużo młodszy od nich i twierdziли, że nie mogę się sprawdzić w bójce, która w knajpach Chińskiej Dzielnicy zawsze wisiła w powietrzu. Raz, kiedy spiętrzyły się dramatyczne wydarzenia związane z pewną dziewczyną nazwaną Hanka Krążownik, wpadłem w rodzaj determinacji i szaleństwa. Wiedziałem, że muszę pójść do Chińskiej Dzielnicy i narobić strasznych rzeczy. Aby mnie od tego uchronić, Pablo zamknął mnie w baraku żeglarskim przy basenie im. Generała Żarskiego i kazał mnie pilnować starszemu marynarzowi Modrakowskiemu. Oni wszyscy poszli do Chińskiej Dzielnicy, a mnie udało się zmylić czułość starszego marynarza Modrakowskiego i pójść za nimi. Skończyło się to dla mnie fatalnie i jeszcze po wielu, wielu latach, jeszcze w zeszłym roku ścigały mnie konsekwencje tamtej letniej, gdyńskiej nocy w Chińskiej Dzielnicy.

Jak jednak było naprawdę? Czy starszemu marynarzowi Modrakowskiemu udało się mnie upilnować i to co opisałem w „Chińskiej Dzielnicy” jest tylko fantazją na temat, co by się stało, gdybym mu uciekł, czy też wszystko to stało się naprawdę, a dziś staram się dla uspokojenia starych niepokojów, które niady mnie nie opuściły myśleć, co stało by się dalej, gdyby starszemu marynarzowi Modrakowskiemu udało się mnie rzeczywiście upilnować. Ale to już jest moja sprawa prywatna i nikomu nie będę się z tego dalej zwierzał.

Źle robią ci, którzy starają się postawić wyraźną granicę między tym, co podsuwa im fantazja, a tym, co rzekomo wydarzyło się naprawdę. W rzeczywistości bowiem sprawy ludzkie i międzyludzkie tak bardzo się poplątały, że taka granica praktycznie nie istnieje.



Stanisław Gola (ur. w 1942 r.) pochodzi z Bielska-Białej, ze środowiska robotniczego. Ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zdobył szereg nagród literackich, m.in. I nagrodę w Warszawskiej Jesieni Poetyckiej w 1973 r. oraz kilkakrotnie w Łódzkim Maju Poetyckim. Píše wiersze i opowiadania. Wydawnictwo Literackie wydało jego pierwszy tom wierszy pt. „Aż po rękojeść”. Wydawnictwo „Iskry” przygotowuje tom jego opowiadań pt. „Tam na bezdrożu Lobo”. Wiele z tych opowiadań inspirowanych jest tematem morskim.

STANISŁAW GOLA

TRZY ESEJE NA TEMAT SEZONU

Waldemarowi Mystkowskiemu

(fragment)

Kukułka wystrzeliła do obłoków prosto
z wakacji wraca noc ciemna długa tyka czas
dzieciństwa przeziębili się na stare lata
ody z młodości przeszły do historii
już tylko bólą zęby trzeba ster zmienić
pegazowi światło kruszy się w ślepiach
pogadajmy z ludźmi lato się kończy
Robinson przy kozie mówi o życiu człowieka w kosmosie
średniozamożni deptają kapustę na zimę
księżyc już się przelamał po zbliżeniu z ziemią
nowy rodzaj cholery ściął z nóg pięć tysięcy
ludzi martwi wciąż walka o nieznany pokój
pod koniec sierpnia kruszą się widoki
z głowy powietrza spadły loki światła
bocian emeryt z ostatnim dzieckiem trafił w płot
ciemności czernieją przy guzie księżycza
odchodzą nie najlepiej długie pocałunki
pękły banie z poezją i lotne pegazy
wzięto jak zwykle na mięso do jatki
można sobie spokojnie patrzeć w telewizor
na krawędzi lata z szuflad widnokregu
wypadają pierwsze wiewiórki jesieni
chłopcy po żniwach w Chile potracili głowy
jakaś junta wypruła z nich weselny dzwon
lato się poszerzyło o porę umierania
co wynika ze wszystkich szczelin w jarzębinach
między chmurami z łysiny powietrza
chlód jak fryzjer się ślizga aż do tego sznura
gdzie wisi całe tegoroczne pranie
i lato skostniałe w dalekich kampingach.

Andrzej Nowakowski

Z A B A W Y

1

Było drzewo. Wierzba. Długimi, sękatymi korzeniami wchodziła do wody, a one, przy samym dnie splecione z wodnym zielskiem, tworzyły rudą, rozwichrzoną czuprynę. Korzenie nad powierzchnią zaczynały obrastać korą, pęczniały i tyły, wyginały się cudacznie i wraz z szerokim u nasady pnem wyglądały jak ława. Świeżo, delikatnie, ledwie ulistnione gałęzie zastaniały to siodełko dokładnie w potowie. Chłopiec, który tam siedział, miał prawy policzek zaczerwieniony od słońca i początki opalenizny na prawej nodze. Na włosach, nieokreślonej barwy, opadających na ramiona, miał na-

ciągniętą plastikową siatkę po cebuli. Chude, owłosione nogi wychodziły z obciętych przy kolanach, wystrzępionych dżinsów. Miał na sobie jeszcze luźną bąjecznie, trochę w murzyńskim stylu, kolorową koszulę. Siedział i patrzył na wodę. Obserwował zanurzające się w wodzie witki wierzbowe, taniec cierników między wrakami gałęzi, koła, jakie robi rzucony kamień, i uśmiechał się do siebie, a w oczach błyszczały mu tły z nadmiaru radości.

Rzucony kamień sprowokował idących brzegiem mężczyzn. Skręcili z drogi i podeszli nad samą wodę. Obaj w białych, nylonowych koszulkach z podwiniętymi rękawami, nieśli na ramieniu kurtki „ka-

nadyjki”. Wyższy miał włosy ostrzyżone niemal przy samej skórze i wielkie czerwone dłonie. Niższy był lepiej zbudowany, szerszy. Uderzaty w nim przede wszystkim ręce — długie niemal do kolan, o przeżartych smarem dłoniach.

— Chodź tu! — krzyknął wyższy do chłopca znad wody. Chłopiec wstał i zbliżył się powoli.

— Czego rzucasz kamieniami? — odezwał się drugi i uderzył otwartą dłonią. Chłopiec zachwiał się, z nosa puściła mu się krew.

— przecież ja nic nikomu nie robię! — był tylko zdziwiony.

— Patrz, stary, jeszcze się stawia?

— Właśnie, małe to, obrośnięte i jak takiego nie stuknąć? — drugi cios zadany z większą siłą i precyzją rzucił chłopca do wody. Wstał (woda sięgała mu do kolan) i zaczął niezadarnie gramolić się na brzeg. Wdrapał się i ciężko dysząc ocierał twarz. Wyższy postanowił dotączyć się do zabawy. Ciosem w żołądek nachylił chłopca i wtedy uderzeniem kolana w twarz ponownie wrzucił go do wody.

— Takiego nie warto bić, nawet ci nie odda — odchodzili, obaj wyraźnie rozczerowani. Chłopiec wyszedł na brzeg i ze schyloną głową powłókł się na poprzednie miejsce. Siedział z opuszczonymi rękami.

CHAOS dyskusji czyli głosy o iluminacji K. Zanussiego

Prezentujemy fragmenty dyskusji, która odbyła się 22 listopada 1973 roku w Uniwersytecie Gdańskim, po projekcji filmu "Iluminacja" K. Zanussiego. Projekcje i dyskusję dla środowiska akademickiego Gdańska zorganizowały: redakcja "Liter", Wydział Humanistyczny UG i WDK w Gdańsku.

Głos I: Z filmu bije chłód w stronę tych, którzy poszukując prawdy, nie mają w sobie pokory. Rozmowa z prostym człowiekiem daje więcej radości życia, więcej prawd utrzymujących w równowadze psychicznej, niż rozmowa z człowiekiem wąsko wyspecjalizowanym, który zastrasza. I czym zastrasza? Teoriami niesprawdzonymi.

Głos II: Czy Franek Retman cokolwiek wybrał? Mnie się wydaje, że chciał wybrać, ale nic nie wybrał. Jego los się potoczył.

Ważno w tym budzą wypowiedzi o elicie. Co to jest elita, czy rzeczywiście pojmowana ona być może, jako grupa biorąca

na siebie odpowiedzialność za losy społeczeństwa? Czy uczeni kwapią się do tego? Wreszcie, czy to jest możliwe i dobre by było, gdyby uczeni zechcieli wziąć na siebie odpowiedzialność za los społeczeństwa? To są problemy niebywale dyskusyjne.

Jestem pełen podziwu dla reżysera, który potrafił swojej filozofii całkowicie podporządkować i fabułę, która jest w tym filmie mało ważna i formę filmu. Zanussi buduje sceny oparte na kontrastach, na naturalizmach, na czym nie tylko, ale jednocześnie daleki jest od prób epatowania widza.

Nie dziwię się, że Jury Ekumeniczne

przyznało Zanussiemu nagrodę za ten film. Pokazał, że Człowieka, jako osobowość niepodzielną, zwartą — można znaleźć jedynie tam. Tam, gdzie istnieje prawo do wyłączenia, do samotności. Budujące, wręcz optymistyczne były dla mnie obrazy tych przed wiekami pochowanych.

Ideowa wymowa filmu jest dyskusyjna, ale jestem pełen podziwu dla Zanussiego, że jej podporządkował całość.

Głos III: Czy to jest film optymistyczny, czy pesymistyczny? Sądzę, że optymistyczny! Dlaczego? W filmie tym nie ma pewników, nie ma aksjomatów, wszystko jest względne. To prawdopodobieństwo, to że



Zdjęcia: Stefan Figlarowicz

nie ma absolutnej prawdy, jest bardzo optymistyczne, bardzo materialistyczne.

Pojęcie elity jest jednoznaczne; to grupa, która wyalienowała się ze społeczeństwa. Niedobrze jest, gdy rządzi elita. Lepiej, gdy elity — jeżeli można tak powiedzieć — zmieniają się.

Głos IV: W filmie tym występują banały sytuacyjne. Gdy bohater nie zgadza się z kierowcą, każe zatrzymać samochód i wysiada, trzaskając drzwiami. Gdy jest wściekły i nie może sobie poradzić z czymś, tłucze cokolwiek. Artystka, oczywiście, okazuje się kurwą, natomiast czystą bohaterkę można poznać tylko w górskim plenerze. Nie wiem, czy można cieszyć się z tego, że Zanussiemy niby tak nie zależało na stronie formalnej filmu.

Głos V: Gdyby ten film nie miał tylu

nagród, zobaczylibyśmy, ilu na tej sali byłoby malkontentów. Brak w finale filmu czegoś, co można byłoby nazwać iluminacją.

Głos VI: To jest film socrealistyczny (śmiech na sali), ale dobry. Banały są w pełni realistyczne, a skąd owe soc-? Stąd, że w filmie rozpatruje się konkretnie społeczeństwo, nie indywidualistyczne, a kolektywistyczne, w którym pewne grupy biorą odpowiedzialność za los całości społeczeństwa.

Głos VII: Nadajemy pojęciu banał znaczenie pejoratywne. Istotnie, Zanussi skleił swój film z banałów, ale skleił w coś, co już banałem nie jest. W pewnych momentach śni się Zanussiemu pegaz, metafora — mamy powiew wielkiej sztuki w stylu Wajdy, Hasa, ale Zanussi jest znacznie lepszy

tam, gdzie poza banał nie wychodzi. Chwyta w tym wszystkim kawał prawdy, nie tylko o życiu przeciętnego człowieka, ale o życiu owej elity.

Zauważmy, jak nieudolnie mówią o swojej odpowiedzialności społecznej owi przedstawiciele elity, jak im się rozłazi wypowiedź. Jak pięknie natomiast potrafią mówić o historii filozofii, w ogóle o wszystkim, co jest historią. Jak nie potrafią mówić o tym, co jest współczesnością.

Nie odważyłbym się nazwać tego filmu ani optymistycznym, ani pesymistycznym. On jest nierozstrzygnięty. Nauka nie daje żadnej odpowiedzi, a poszukiwanie odpowiedzi indywidualnej, ucieczka w świat pustelni i gór, również nic nie daje. Zanussi pokusił się o zbudowanie pewnej syntezy wiedzy, czy filozofii współczesnego inteli-

genta, ale nie wiadomo, czy to się jemu udało.

Głos VIII: Film ten kojarzy mi się z dwoma innymi: w pierwszym rzędzie z „Krajobrazem po bitwie”, a na zasadzie antytezy, jeżeli można tak powiedzieć, z „Hubalem”.

Głos IX: „Iluminacja” umożliwia pozbycie się pewnych kompleksów, które określam mianem reakcji pozorowanych. Reakcje pozorowane, to np. nadgorliwa uprzejmość ze względu na wrogość, która występuje u nas, wobec kogoś. Film jest autentycznie szczery. W normalnym losie bohatera, w jego rozterkach, mamy szansę razem z nim przeżyć siebie. Film jest ogromnie pozytywny.

Głos X: Nie ma silnych w tym filmie. W „Iluminacji” nie uzyskujemy odpowiedzi zupełnych, to nie jest film o kulturystach. Film jest czysty; daje raczej odczucie, niż propozycje. Odczucie czego? — tej miazgi, która powstaje z „albumu z pamiątkami”. To jest film o metabolizowaniu rzeczywistości.

Głos XI: Przyszliśmy na tę salę po to przede wszystkim, aby przeżyć dzieło filmowe, a nie dyskuse. Starałem się śledzić dzieło, tok myśli reżysera poprzez dzieło i mogę stwierdzić, że jest to dzieło realistyczne, o pewnych skłonnościach naturalistycznych. Film przypominał mi w pewnym momencie, że zbyt rzadko chodzę do kina, na przedstawienia teatralne dlatego, że zbyt dużo czasu poświęcam na studiowanie literatury. Człowiek z tego filmu natomiast nie poznaje życia przez kontakt kulturowy, duchowy, ale przez kontakt fizyczny. Przez cały czas coś przekłada, mierzy — nie ma ani momentu, w którym czytałby książkę, przeglądał gazetę, słuchał radia. Owszem, radio jest obecne wtedy, gdy bohater wysłuchał przez nie komunikatu o zamieszkach na Uniwersytecie Warszawskim.

Nie wiem, czy Zanussi świadomie wprowadził swojego bohatera, fizyka, jako człowieka, który nie ma kontaktu z kulturą (okrzyki: Precz z polonistami!)? Wiem, że w rzeczywistości bywa inaczej, gdyż do teatru najczęściej chodzą matematycy, fizycy.

Głos XII: Trzeba raczej mówić o pewnych schematach tego filmu: literackim, filmowym — ale nie określałabym ich mianem banałów. To nie schematy, które należałoby ujmować pejoratywnie, one są niezbędne w ogólnej koncepcji filmu. Nie można czasami pokazać odcienia się człowieka od czegoś, jak przez trzaśnięcie drzwiami.

Czy to jest socrealizm? Ten schemat nie jest socrealistyczny w sensie: białe-czarne. Nie ma tutaj tej charakterystycznej polaryzacji, które spełnia się np. w literaturze sensu stricto socrealistycznej. Jest to film oparty o pewną technikę realizmu, ale na tym jego sens się wyczerpuje.

Nie widziałabym osiągnięć tego filmu w jego realizmie, ale w pewnych jego pytaniach. Te pytania są dla mnie konsekwentne. To są pytania o odpowiedzialność człowieka wobec własnej rodziny, wobec początku przez niego życia, odpowiedzialność wobec nauki i zawodu, który uprawia i wreszcie odpowiedzialność wobec społeczeństwa. W tych kategoriach odpowiedzialności widziałabym problematykę filmu. Nie ma w nim jednak jednoznacznych odpowiedzi i całe szczęście, że nie ma. Problem odpowiedzialności jest, powinien być problemem, który każdy z nas rozstrzyga na swój własny sposób. Pytanie o odpowiedzialność człowieka jest naczelnym problemem filmu; jego realizm służy postawieniu tego pytania.

Głos XIII: Nie jest proste, jaką drogą należy pójść. W tym gronie nie ma chyba ludzi, którzy nie interesowaliby się tym, jak iść przez życie. Naukowcy stawiają pytania niepostawione. Wiedza, jako droga do zdobywania prawdy, skłania czasami do te-

go, że stawia się ją nadrzędnie do innych celów i poświęca się nie tylko rodzinie, ale zdrowiu, własne życie.

Głos XIV: Dziełem socrealistycznym ten film chyba nie jest; jak ktoś zauważył, bohater nie czyta gazet (śmiech).

Zastanawiałem się nad tym, co jest treścią iluminacji, jakiej doznaje pod koniec bohatera filmu? Cały film, to, jak gdyby perypetie człowieka myślącego, który szuka punktu archimedesowego. Punktu, na którym mógłby się oprzeć, aby ogarnąć całość i dokonać jakiejś syntezy życia, syntezy nauki. Takiego punktu nie może mu dostarczyć fizyka, był przecież Heisenberg ze swoją zasadą nieoznaczoności, może więc biologia, majstrowanie w genach umożliwiłoby znalezienie tego punktu?

Powracając do tej iluminacji wydaje się, że chodzi niejako o wyhamowanie rozpędu, o dokonanie syntezy tak, żeby się nie zarzynać. Nie wolno prowadzić celebracji umysłowych kosztów kultury, czy nawet kosztów ciała.

Głos XV: Jest to, używając terminu prof. Kotarbińskiego, film o postawie spolegliwego opiekuna, który nie może znaleźć dla siebie miejsca w naszej, polskiej rzeczywistości. Jest to film o niemożności, a jego bohater nie ma siły przebicia. Grzebie się pod pokrywką tego wrzącego tygla, jakim jest życie. Może pan Zanussi był, w czasie realizacji filmu, na świeżo po przeczytaniu „Ferdydurke” Gombrowicza? Człowiek, który mógłby być w zasadzie wzorem, nie karierowicz, jest ciągle upupiany. Nawet przez własne ciało w końcu, zniszczone w walce. Film jest bardzo pesymistyczny, ale poruszył mnie.

Głos XVI: Co by się stało, gdyby film wg tego scenariusza zrobił nie Zanussi, ale ktoś inny? Podejrzewam, że byłoby to wypracowane na temat. Byłoby to rzeczywiste zespół schematów, zespół banałów. Może nawet byłaby pointa, ale nie mielibyśmy tego, co tutaj odczuwam.

Zanussi, i za to go cenię, za to chyba ot-



rzymuje nagrody, a nie za to, że użył schematu nr 4, czy tekstu nr 5 — z wielu ludzkich zachowań potrafi wyłowić te, nawet bardzo skromne, które jednak decydują o życiu.

Głos XVII: Jestem studentką pierwszego roku i muszę przyznać, że wystartowałam do studiów z podobnymi zapałami, jak Franciszek Retman. Zdaje sobie sprawę z niemożności spełnienia moich marzeń.

Nie ma chyba znaczenia to, poprzez jaką naukę dąży się do poznania prawdy. Bohater filmu chce ogarnąć całość, chce ogarnąć życie z góry i w tym momencie dotykamy istoty sprawy — niemożności poznania wszechstronnego. Taki odbiór filmu ułatwia jego forma, te właśnie sklejone obrazki, a także maksymalna obiektywizacja wyrażanych treści.

Film rodzi jeszcze jedno pytanie, bardzo osobiste, które chciałabym zadać. Czy jest na sali ktoś z naukowców, kto mógłby śmiało powiedzieć: „Osiągnąłem to, co zamierałem, rozpoczynając studia. Naprawdę poznałem to, co co poznać chciałem”?

Głos XVIII: Dla mnie film to drobne akcydensy, obrazki, natomiast jego sens jest głębszy. Stawia przed nami, materialistami podbudowanymi nauką, zasadnicze zagadnienie: zastanówmy się! Dla mnie to nie tylko logika. Humanizm daje odpowiedzi na sens życia tylko w tym życiu, ale unicestwienie indywidualne stawia nas przed problemem, który każdy musi rozstrzygnąć. W tej sferze znacząca się staje eschatologia.

Pesymizm tego filmu pęglebia jego realizm. Najpierw było mieszkanie za drogie, bez wody. Potem jest mieszkanie z krzesłem zamiast stołu, wreszcie doktorat, w trakcie którego zostawiliśmy naszego bohatera, za 1950 zł. Cóż nam pozostało? — ogładać ptaki, wodę i błękitne niebo. W końcowej scenie bohater stoi po kolana w wodzie, lecz dalej nie idzie, takie tam jest zanieczyszczenie. Wróćmy, od czasu do czasu, do głębokiej wsi białostockiej. Polecam „Konopielkę”.

Głos XIX: Film jest jednak dokumentem pewnej rzeczywistości, w której się znajdujemy. Pokazuje pewien przypadek człowieka, który uwarunkowany jest swoją kondycją psychofizyczną, możliwościami intelektualnymi, bardzo szerokimi i bardzo rozproszonymi. Nad człowiekiem, który ma tak szerokie zainteresowania i który jednocześnie dąży do syntezy — musi być, że strony jego opiekunów, roztoczona specjalna opieka.

Głos XX: Film jest potrzebny, ale trafia chyba do ludzi, którzy mają poziom akademicki. Pokazuje się w tym filmie pewną gradację intelektualną społeczeństwa, która siłą rzeczy, wbrew ogólnemu upowszechnieniu myśli i nauki, występuje pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi.

Głos XXI: Filmy Zanussiego są zrealizowane bardzo sprytnie. Zawsze można w nich spotkać: rację-antyrację, wybór; rację — antyrację, wybór. Jest to bez przerwy banał.

Ja nie mówię, że to jest banał; to jest prawda. Ale prawda z którą mogą się utożsamiać wszyscy, prawda schematyczna, będzie prawdą banalną. Zanussi na tym etapie, na którym dzisiaj go spotkaliśmy, doszedł do kryzysu swojej metody twórczej.

Zanussi organizuje swoje filmy bardzo sprytnie, na starciu prawd schematycznych. Nie mówi o nas, ale o schematach, które nas niejako organizują. Zmusza nas do utożsamiania się z bohaterami i sytuacjami, które tworzy. Jest to metoda perfidna, budząca wiele dyskusji, dająca wiele pokłasku reżyserowi. Zanussi żeruje na ludzkim zaniłowaniu do dyskusji.

Robienie filmów, w których zadaje się jedynie pytania — i to robienie czterech pod rząd — jest po prostu zbrodnią. Zanussi powinien udzielić w końcu jakiejś odpowiedzi.

Krzysztof
Teodor
Toeplitz

FILOZOFIA PLAYBOYA

szczęście w zabawie



Żadne z wielkich pism ludzkości nie obiecuje człowiekowi szczęścia na ziemi. Biblia i Talmud, Koran i pisma Tao, a także manifesty o charakterze bardziej praktycznym, jak na przykład „Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela” albo „Manifest Komunistyczny” utrzymują, że szczęście może pojawić się jedynie w formie nagrody — a więc bądź to jako nagroda za życia skromne i cnotliwe, albo jako rekompensata za śmierć, poniesioną dla szerzenia wiary, wreszcie jako rezultat krwawych zmagających społecznych, których efektem stanie się społeczeństwo sprawiedliwości i dobrobytu. Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest „Deklaracja Niepodległości Stanów”, gdzie mówi się o prawie człowieka do szczęścia, ale „Declaration of Independence” jest owocem ducha protestanckiego, w myśl którego Bóg nie jest tak nierychliwy, jak na przykład w doktrynie rzymskiej i, niczym dobry kupiec, reguluje swoje zobowiązania na bieżąco; tak więc szczęście, o które mamy prawo się ubiegać, jest tu również zapłatą za cnotę, tyle tylko, że uiszczaną natychmiast. Zresztą, jak komentuje ten problem amerykański tygodnik „U.S. News and World Report”, „tacy historycy, jak Daniel J. Boorstin i nie żyjący już Arthur Schlesinger, sr., wskazują, że Ojcowie Narodu widzieli w „pogoni za szczęściem” nie indywidualne rzucanie się w wir uciech, lecz praktyczną działalność na rzecz materialnego dobrobytu, dostatku i przetrwania”.

Jak długo reguły, wyznaczone przez wielkie doktryny teologiczne stanowiły wyraźny drogowskaz postępowania dla ogromnej części ludzkości, dopominanie się o szczęście nie było głosem tak powszechnym i tak donośnym, jakim jest obecnie. Jerzy Andrzejewski w jednym ze swych felietonów przytacza przykład chorej umysłowo chłopki-cyklofreniczki, która — na okazywane jej objawy współczucia — odpowiadała: „Ja się z Panem Bogiem nie umawiałam, że mi w życiu lekko będzie”. Wypowiedź ta w ujęciu autora wcale nie przekreśla domniemania, że osoba, o której mowa, mimo swego upośledzenia, mogła być również na swój sposób szczęśliwa. W jej dum-

nym zdaniu bowiem zawarta być może również ta definicja szczęścia, która będąc bliska całej niemal moralistyce dotychczasowej, zdaje się pozostawać w jaskrawym kontraście z odczuwaniem szczęścia coraz częściej współczesności. Różnica polega bowiem na tym, że o ile szczęście dawniej pojawiało się jako nagroda, albo jeszcze dokładniej — jako pewien produkt oboczny wysiłku, zasługi lub cnoty, więc łączyło się z pewną trudnością życia (Ewangelia mówi wyraźnie o trudnościach, jakie czekają bogacza, a więc człowieka żyjącego łatwo, na drodze do królestwa niebieskiego; podobnie Mickiewicz w „Dziadach”, wychodząc od wierzeń ludowych, przedstawia zjawę, która nie może dostąpić zbawienia, ponieważ nie zaznała gorzkości ziemskiej), obecnie jako stan szczęścia odczuwany jest pewien stan łatwości, lekkości, przyjemności życia. Człowiek, żyjący w niedostatku, a w dodatku przygnieciony ciężarem pracy ponad siły, mógł jeszcze przed stu i mniej laty — zwłaszcza, jeśli był człowiekiem religijnym — powiedzieć o sobie, że jest na swój sposób szczęśliwy. Dzisiaj większości uczestnikom współczesnej cywilizacji stwierdzenie podobne nie przeszłoby przez gardło. „Trudne szczęście” jest coraz częściej odświętnym zwrotem z pedagogicznych, umoralniających opowieści, coraz rzadziej zaś należy do praktycznych form odczuwania szczęśliwości na co dzień.

I

Przemiana, której zarysy staram się tu zaznaczyć, ma oczywiście swoje różnorakie i skomplikowane źródła. Najoczywistsze z nich wskazał kiedyś w lapidarnej formie francuski socjolog Edgar Morin, pisząc w książce „L'Esprit du Temps”, że cywilizacja współczesna jest jedyną ze znanych dotychczas formacji cywilizowanych „pozbawionych przedłużenia transcendentnego”. Brak owego „przedłużenia” powoduje sytuację, kiedy człowiek pragnie zrealizować wszystkie swoje cele — a więc również cel dostąpienia szczęścia — tu i teraz, nie oczekując na oddalające się nagrody.

Ta koncepcja znajduje swoją praktyczną realizację w społeczeństwie konsumpcyjnym. Społeczeństwo konsumpcyjne staje się bowiem tą formą, której nadrzędną wskazówką jest zaspokajanie coraz to nowych potrzeb materialnych swoich uczestników. Być może że sprawa ujęta w ten sposób zakrawa na paradoks, którym jednak nie jest, a mianowicie o ile dawniej wizję tego, co nazywamy szczęściem, wyczytać można było z pism filozofów, o tyle obecnie, w ramach społeczeństwa konsumpcyjnego, dowiedzieć się możemy tego w sposób o wiele prostszy — przeglądając stronicę poświęconę reklamom w wielkich magazynach ilustrowanych.

Świat reklam jest bowiem bez żadnej przesady, obrazem współczesnego raju. Obejmuje on, oczywiście, rozmaite szczeble wtajemniczenia, a więc od reklam poszczególnych przedmiotów użytkowych, które są nam potrzebne lub mogą się nam przydać, do całociowych wizji życia szczęśliwego, opracowanych w każdym detalu i uosabiających w sobie nie tylko obiekt, do którego chce się nas zachęcić, ale także szeroki kontekst, w którym obiekt ten staje się elementem znacznie gruntowniejszego odczucia szczęścia, a przynajmniej jednego z jego rodzajów. Tak więc na przykład reklama papierosów „Marlboro”, zamieszczona w „Playboyu”, zamiast prezentować same papierosy, pokazuje rozległą dolinę wśród lasów, oświetloną srebrzystym światłem księżyca. Dnem doliny, gdzie wśród obalonych konarów płynie po żwirowatym dnie płytka strumyk, jedzie kilku konnych. Opakowanie „Marlboro” jest jedynie nadrukowane na ten pejzaż, w innej skali i innej barwie. W ten sposób posłanie inseratu reklamowego staje się jasne: papieros nie tylko zaleca się własnym smakiem i jakością — ważniejsze jest, że otwiera on ścieżkę do pewnej koncepcji szczęścia, dzikiego, romantycznego, związanego z przyrodą, a równocześnie na tyle cywilizowanego, aby „Marlboro” był tu pod ręką.

Jeszcze bardziej perswazywne są reklamy, które łączą kilka wybranych produktów konsumpcyjnych w osobliwy „collage”, w którym jeden element konsumpcyjnego szczęścia pociąga za sobą następny. A więc człowiek, palący papierosa — o który chodzi w tej reklamie — wsparty jest równocześnie o maskę samochodu, w którego wnętrzu, przetrzucone miękkim welnianym pledem, widzimy produkty, przygotowane do pikniku i zwieńczone butelką wyborowego wina; opodal bawi się, uciechony myślą o wycieczce, pies rzadkiej rasy, z głębi zaś nadchodzi z uśmiechem dziewczyna, bezbłędnie ubrana na tę okazję, niosąc w ręku mały, przenośny telewizor. W obrazku tym mamy nie tylko wskazówkę, że papieros danej marki wiedzie do szczęścia, lecz także pouczenie, z czego owe szczęście składać się ma ponadto. Jest w nim również implikacja, jak człowiek naprawdę szczęśliwy spędzać powinien czas (piknik), jest także jego portret jako miłośnika zwierząt, przyrody, dziewcząt, jedzenia i nowoczesności (telewizor, samochód).

Cóż innego czynili filozofowie, kreśląc swoje portrety ludzi szczęśliwych i dostarczając wskazówki, jak znaleźć się w ich liczbie?

Ujmując sprawę skrótowo, można by więc powiedzieć, że ta wizja szczęścia, która wygląda ku nam z reklam jest — w przeciwieństwie do wizji szczęścia tradycyjnego, będącego pochodną wyrzeczenia, służby i obowiązku — pochodną dobrobytu i zabawy. Aby być szczęśliwym należy być zamożnym, choćby na miarę przeciętnego sukcesu w nowoczesnym społeczeństwie konsumpcyjnym. Jest to warunek konieczny, ale nie wystarczający jednak, ponieważ może się zdarzyć — i zdarza się często — sytuacja, kiedy człowiek, posiadający niezbędne warunki materialne, nie potrafi jednak wykorzystać swojej szansy. Dzieje się tak dlatego, że w postawie jego brakuje niezbędnego czynnika zabawy.

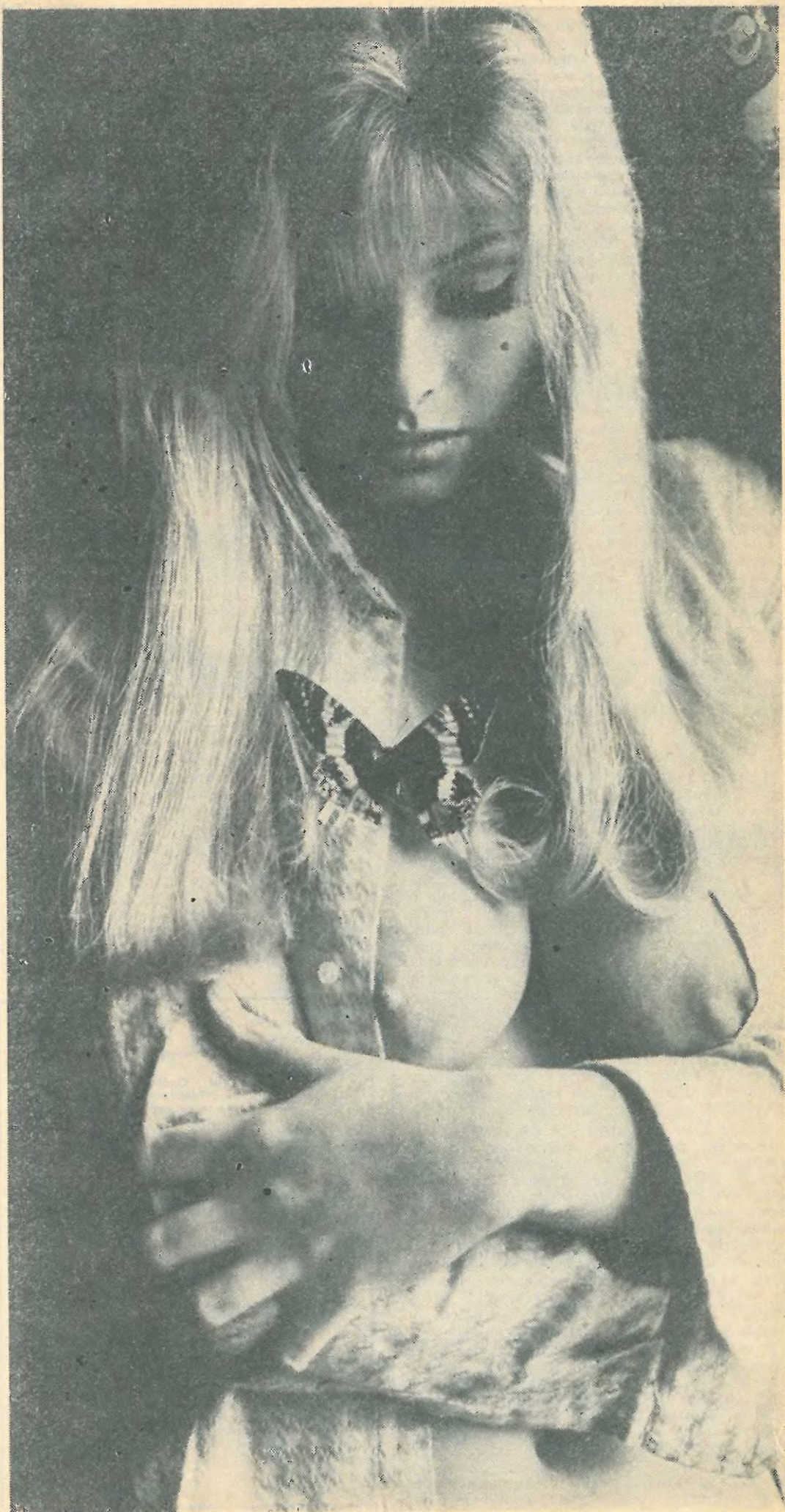
„Playboy”, pismo wydawane przez Hefnera, istotę swojej filozofii, będącą zarazem istotą jego sukcesu, zawarło już w swoim tytule. Spotykają się tu bowiem ów „boy” — chłopiec, którego karierę współczesną omówiliśmy uprzednio, oraz „play” — zabawa, jako ten element, który egzystencji chłopca nadaje barwy, koloru, blasku. „Zabawa” jest w tym układzie elementem dynamicznym, który ożywia egzystencję, zbliżając ją do obrazu życia szczęśliwego.

Jednakże — i jest to punkt ogromnie ważny, stanowiący kto wie, czy w ogóle nie klucz do sytuacji współczesnej — owe utożsamienie szczęścia z zabawą mieści w sobie szereg niespodzianek. Główną z nich jest fakt, że szczęście tradycyjne, rozumiane jako nagroda, mogło tak czy inaczej przyjść samo, zjawiało się jako uboczny — choć najwyższy — rezultat działalności lub życia godziwego. Szczęście rozumiane jako zabawa musi być przedmiotem nieustannej pogoni. Praca, obowiązek, obligacje wobec otoczenia, są nie dającym się uniknąć rezultatem samego faktu życia, natomiast zabawy, odprężenia, przyjemności, trzeba poszukiwać. Tak więc ludzie, którzy zdecydowali się odejść od tradycyjnego pojęcia szczęścia w stronę szczęścia, które zdobywa się poprzez zabawę, wydali się tym samym, chcąc tego lub nie chcąc, na łup nieustannej pogoni. Jeszcze raz odwołajmy się do świadectwa amerykańskiego tygodnika „U.S. News and World Report”, który pisał w roku 1973:

„Nigdy jeszcze tak wielu obywateli jakiegokolwiek państwa — w przeszłości czy obecnie — nie realizowało za swego życia tak wielu marzeń. To, co niegdyś było przywilejem wybrańców — dziś jest udziałem większości, która ma własne domy, szerokie możliwości podróżowania i zdobywania wiedzy. Nigdy jeszcze tylu ludzi nie wydawało tak ogromnych pieniędzy (w roku bieżącym około 115 miliardów dolarów) na odpoczynek i przyjemności, od najwymyślniejszego sprzętu kwadrafonicznego poczynając, a na własnych basenach i innych rozrywkach sportowych kończąc. A jednak dla wielu Amerykanów te najlepsze z czasów zaczynają wydawać się najgorszymi” — konkluduje pismo.

Dzieje się tak dlatego, że wszystkie owe przyjemności i sposoby wypoczyniania, oparte na wzmożonej konsumpcji, prowadzą, prędzej czy później, do znużenia i przesytu. Nie chodzi tu o pocziwe moralizatorstwo i tłumaczenie, że życie w dobrobycie i nieróbstwie i wśród przyjemności jest życiem bardziej nużącym, niż życie w niedostatku, wśród ciężkiej pracy i braku wytchnienia; apoteoza owego „zbożnego trudu”, przeznaczanego jako godziwa formuła życia dla klas pracujących, stanowi od bardzo dawna argument z arsenału ideowego klas posiadających, będąc moralistycznym parawanem dla wyzysku. Rzecz w tym jednak, że każda zabawa i każda forma przyjemności raz zrealizowana staje się formą spożytą, skonsumowaną nieomal w sensie dosłownym, a więc spożywszy ją należy natychmiast rozglądać się za formą następną, aby zaspokoić nowy głód.

Kultura konsumpcyjna zarówno stymuluje ten nieustanny pościg za coraz nowymi formami „szczęścia”, które można kupić, jak też jest przygotowana na jego zaspokojenie. Cały mechanizm produkcji, aparat reklamy, handel, ustawiony jest w ten sposób, aby przez dostarczanie coraz nowych produktów stwarzać wrażenie coraz nowej dostawy świeżego szczęścia. W kulturze amerykańskiej, dodatkowo, owa charakterystyczna struktura rynku konsumpcyjnego, wsparta jest o wskazania pedagogiki (żeby nie powiedzieć moralistyki) społecznej, wywodzącej się z lat Wielkiego Kryzysu w 1929 roku. Wielki Kryzys będący jak większość kryzysów kapitalistycznych kryzysem nadprodukcji, wyzwolił postawę, upatrującą antidotum na ewentualny nowy kry-



zys w przyspieszonej konsumpcji, a nawet niszczeniu rzeczy po to, aby kupować nowe. Tak więc człowiek, który kupuje, zużywa lub niszczy, działa nie tylko dla swego dobra, ale zachowuje się również w sposób poprawny społecznie, ponieważ ożywia gospodarkę narodową i odsuwa od niej widmo nadmiaru towarów przy niedostatecznym popycie. Temu samemu celowi służy także — tym razem uprawiane przez system reklamowy — tak zwane „wymuszanie zużycia moralnego towarów”, to znaczy zabieg perswazyjny, na skutek którego człowiek, posiadający całkiem jeszcze dobry samochód, lodówkę lub aparat telewizyjny sprzedaje go i kupuje nowy, ponieważ posiadany przez niego przedmiot jest już niemodny, nieelegancki, nie najnowszy, słowem — „zużyty moralnie”).

„Playboy” jako pismo stoi całkowicie po stronie opisanego wyżej świata nieograniczonej, radosnej konsumpcji. Wystarczy przejrzeć dział reklam w tym piśmie, zapoznać się z jego propozycjami w zakresie mody, sprzętu elektronicznego, napojów czy podróży, aby nie mieć co do tego żadnej wątpliwości. Także potężna, obejmująca cały niemal świat sieć „klubów Playboya”, do których każdy z zarejestrowanych członków otrzymuje specjalny, symboliczny klucz, stanowi propozycję typowo konsumpcyjnego spędzania czasu wolnego, nowoczesnego relaksu. Jednakże prawdziwym wynalazkiem „Playboya”, tym, co odróżnia to pismo od tysięcy podobnych, poświęconych reklamie i propagandzie tysięcy sposobów poszukiwania konsumpcyjnego szczęścia — a więc pism poświęconych ogrodnictwu, wędkarstwu, sportom wodnym, urządzeniu domu i tak dalej itp. — jest wynalazek seksu jako produktu konsumpcyjnego. Właśnie w takim ujęciu sprawy zawiera się klucz do osobliwości tego pisma.

II

Panuje, zwłaszcza u nas, całkowicie fałszywa tendencja, aby zestawiać „Playboya” z rzędem ukazujących się na świecie pism pornograficznych. W roku 1973 Wiktor Osiatyński w „Kulturze” starał się nawet, odwołując się do przykładu „Playboya”, pisać o zaznaczającym się zmierzchu publikacji pornograficznych na świecie. Trudno o bardziej jaskrawe nieporozumienie. Istotą „Playboya”, pisma, które niewątpliwie oparło część swego sukcesu na fotografiach pięknych, nagich dziewcząt, zdobiących każde wydanie miesięcznika, nie jest z pewnością pornografia, nawet gdyby termin ten traktować w sposób najbardziej purytański (nie mówiąc już o tych skrajnościach, do jakich doprowadziły tę dziedzinę wydawnictwa skandynawskie lub niektóre tzw. „porno-filmy”). Istotą „Playboya” jest natomiast włączenie seksu do rzędu zabaw i rozrywek społeczeństwa konsumpcyjnego.

Już w tym jednym kryje się rewolucyjny charakter posunięcia, dokonanego przez Hefnera i jego ekipę. Oczywiście nie ulega żadnej wątpliwości, że od początku świata seks był dziedziną rozrywki, zabawy, terenem poszukiwania rozkoszy. W kulturze mieszczańskiej jednakże istniał w tym względzie bardzo wyraźny przedział pomiędzy dziedziną zabaw i uciech podniosłych i godziwych, oraz uciechami niskimi i wstydliwymi; uciechy związane z picią należały zdecydowanie do tych drugich.

Epoka mieszczańska dokonała potężnego regresu w stosunku do poprzedzającej ją epoki sprzed Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wystarczy poczytać „Niebezpieczne związki” De Laclos, — nie mówiąc już o pismach markiza De Sade — aby odkryć w nich — wcale przecież nieodosobnione w owej epoce podobne pojęcie gry seksualnej jako źródła rozkoszy, zabawy, a także pewnej finezji intelektualnej, do tego, z którym coraz częściej spotykamy się

obecnie — w literaturze nowoczesnej lub właśnie na kartach „Playboya”. Jeśli zaś cofniemy się jeszcze bardziej do czasów, które opisuje Homer lub Biblia, zorientujemy się bez trudu, że korzystanie z rozkoszy płci nie było wówczas niczym wstydliwym lub zdrożnym. I dopiero epoka mieszczańska, wiek XIX, nałożyła na tę dziedzinę tak surowe rygory, dopuszczając do swojej pedagogiki miłość jako uczucie idealne, natomiast potępiając miłość fizyczną jako czynność wstydliwą. Ataki wschodzącego mieszczaństwa na murszej gmach feudalizmu często posługiwały się argumentem rozpadu etycznego klasy panującej, wytykając jej dekadencję i rozwiązłość seksualną; w tym świetle jedynie można zrozumieć, dlaczego np. tak jaskrawy melodramat, jakim jest „Don Carlos” Schillera, był w swojej epoce manifestem politycznym o ogromnym rewolucyjnym znaczeniu.

Mieszczaństwo jednak, spychając seks w regiony wstydlive i tajne i odmawiając ludziom prawa do rozkoszy cielesnej — co między innymi łączyło się z tendencją do ochrony legalnej rodziny jako instytucji, służącej związkowi majątkowemu i spadkowemu i co Marks określił jako „zalegalizowaną prostytucję” — nie obyło się i tutaj bez właściwej temu systemowi dwulicowości i zakłamania. Na straży bowiem legalnej rodziny oraz cnoty panien na wydaniu postawiono, oprócz nakazów moralnych, również cały system urządzeń, służących jako rodzaj „kłapy bezpieczeństwa” — od wszelkiego rodzaju „półświatków” poczynając, a na prostytucji kończąc. Rzecz w tym jednak, że ów „półświatek” — wynalazek moralności mieszczańskiej — pokryty był zasłoną wstydlivosti, mówiło się o nim w „cafe-szatanie”, ale nie w salonie, korzystało się z niego chyłkiem, z poczuciem głębokiej winy. Rodząca się opozycja wobec takiego stanu rzeczy, zawarta została w dowcipnej formule polskiego satyryka, który w okresie międzywojennym pisał w imieniu młodych buntowników, że „my w domach prywatnych robimy publicznie to, co wyście w publicznych robili prywatnie”.

Manewr obyczajowy, którego symbolem stał się „Playboy”, jest właśnie podchwyceniem tej maksymy i uczynieniem z niej przedmiotu masowego kolportażu. „Playboy” dokonał też jeszcze jednego, jakby ubocznego odkrycia. Spostrzegł on mianowicie, że pośród wielu produktów konsumpcyjnych których „zużycie moralne” postępuje, jak się rzekło dość szybko, seks jest towarem

o stosunkowo najdłuższej trwałości, jest dziedzina, gdzie „pościg za nowością” nie powoduje szybkiego zaspokojenia, ale przeciwnie, stymuluje coraz to nowe poszukiwania. „Playboy” wprowadził więc na rynek konsumpcyjny towar, którego atrakcyjność nie da się porównać z żadnym innym produktem.

Pozostaje jednak pytanie, do jakiego stopnia „Playboy” istotnie traktuje rynek potrzeb — a także rynek zaspokojenia — seksualnych, jak towar? Jeśli by tak bowiem było istotnie, to w gruncie rzeczy nie istniałaby żadna różnica pomiędzy filozofią tego pisma, a filozofią dawnego „półświatka”, czy też wręcz handlu żywym towarem.

Otóż tu przyjdzie zauważyć że „Playboy” wynalazł formułę, której osobliwa przewrotność niedaleka jest od geniuszu. Seks więc w wydaniu „Playboya” równocześnie jest i nie jest towarem, jest i nie jest dziedziną doznań „niższych” i wstydliwych. Żeby to zrozumieć, należy przyjrzeć się dokładnie zdjęciom dziewcząt, zdobiących stronicę tego pisma, które każdy numer „Playboya” eksponuje w formie niemal plakatowej, nadającej się do wyjęcia i przywieszenia na ścianie, opatrząc je równocześnie odpowiednimi komentarzami.

Uderzającą ich cechą jest absolutna doskonałość fizyczna prezentowanych piękności. Mówiąc o doskonałości mam tu nie tylko na myśli długość nóg, wymiary biustów czy cienkość talii, a więc te tradycyjne niejako wymiary kobiecej piękności — ale także rodzaj doskonałości materialnej. Dziewczyny z „Playboya” mają kształty pełne, jakby idealnie nadmuchane sprężonym powietrzem, a powlekające je skóra jest gładka i lśniąca, bez jednej zmarszczki lub fałdki, niczym idealne tworzywo. Ich włosy są idealnie puszyste, twarze idealnie piękne i bez wyrazu. Barwy, w jakich „Playboy” fotografuje swoje piękności, również mieszczą się w ramach wystudiowanej estetyki — obowiązkową opaleniznę skóry przenika delikatny odcień różowości. I oto nagle, po pewnym zastanowieniu się, zdajemy sobie sprawę, że stoimy tu w obliczu ciała, które jest równocześnie czymś w rodzaju doprowadzonego do perfekcji wyrobu przemysłowego — z plastyku, gąbki, tworzyw sztucznych. Zdjęcie dziewczyny z „Playboya” w niczym w istocie nie różni się od sąsiadującego z nim zdjęcia jachtu, nowego typu kamery filmowej, nowego modelu ubrania z naturalnej skóry.

Jeśli mówimy o pornografii, jednym z ciągle reształ chwiejnych kryteriów, służących jej identyfikacji, jest demonstracja fizyczności fotografowanego, filmowanego czy malowanego obiektu. Pokaz pornograficzny kładzie nacisk na realność ciała, jego materialność, niejako dosłowność. Ów efekt „dosłowności”, absolutnej realności, autorzy przedstawień pornograficznych osiągają zazwyczaj przez wprowadzenie elementów pewnej dekompozycji, nieprawidłowości, pewnego rodzaju skazy lub „brudu”. Zdjęciom naprawdę pornograficznym towarzyszy więc często nie dość zachęcająca czy estetyczna bielizna, element potu, fałdy ciała, czegoś bezwstydnego. Te skazy mają tu określone działanie — chodzi mianowicie o urealnienie, uwiarygodnienie przedstawianego obiektu, uczynienie go w możliwie największym stopniu cielesnym, a więc dalekim od pomnikowego ideału. Utożsamianie pornografii z pokazem bezwstydnego cielesności wydaje się tropem trafnym, a znakomity krytyk francuski, André Bazin, szedł nawet tym tropem tak daleko, że nie wahał się nazywać pornograficznymi scen rozstrzeliwań, pokazywanych na filmie, widząc w autentycznym rozstrzelaniu właśnie pornograficzny pokaz zdekomponowanego ciała ludzkiego.

Modelki z „Playboya” są w tym rozumieniu zaprzeczeniem pornografii, ponieważ są zaprzeczeniem realności, materialności, cie-

Teatr Jednego Aktora

Jury VIII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora przyznało nagrody i wyróżnienia aktorom Pomorza Zachodniego. Drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) otrzymał Mirosław Gruszczyński (Szczecin) za spektakl „Dlaczego?”, a czwartą Jan Młodawski (także Szczecin) za monodram „Pociągi pod specjalnym nadzorem”. (res)

Zespół Muzyki Dawnej

Przy Towarzystwie Muzycznym im. H. Wieniawskiego w Szczecinie istnieje od dziesięciu lat, Zespół Muzyki Dawnej. Z okazji jubileuszu zespołu odbył się koncert w Zamku Książąt Pomorskich, w ramach którego odbyło się m.in. prawykonywanie Canzona na solo sopran, dwoje skrzypiec, wiolonczelę i fortepian Juliusza Łaciuka, napisanej specjalnie na jubileusz. (res)

lesności. Cała sztuka fotografów tego pisma polega na tym, aby przedstawić ciało kobiece jako idealny wyrób rynku konsumpcyjnego — boginie z plastiku i tworzyw sztucznych. Jeśli zastanowić się nad głębszym sensem tego zabiegu, okaże się on całkiem jasny — chodzi tu mianowicie o łatwe przetrzucenie się wyobraźni odbiorcy z obiektów znanych mu i aprobowanych jako normalne obiekty konsumpcyjne — aparatów, urządzeń, modeli ubrań, słowem owych wszystkich niewinnych i aprobowanych przez społeczeństwo „zabawek dla dorosłych” i przedmiotów „zabawy godziwej” — na obiekt dotychczas zakazany i otoczony anatema — kobietę, traktowaną jako „zabawka erotyczna”. „Playboy” stara się, aby to przetrzucenie się wyobraźni dokonywało się gładko i bez oporu.

Jest to wszakże tylko jedna strona formuły „Playboya” — przedstawienie kobiety jako wyrobu konsumpcyjnego. Druga strona tej formuły — niezbędna, aby cała koncepcja mogła funkcjonować — polega jakby na jej zaprzeczeniu. Otóż dziewczęta z „Playboya” nie są — w odróżnieniu od modelek z pism pornograficznych — jedynie anonimowymi obiektami erotycznymi. Pismo, prezentujące ich zdjęcia, kładzie nacisk na prezentowanie także ich osobowości. Każda z dziewcząt, pokazujących swoje wdzięki na łamach pisma, przedstawiana jest z imienia i nazwiska, pisze się o jej charakterze, aspiracjach, hobby, trybie życia. Przeważnie „Playboy” zapewnia także, że jego dziewczęta — jeśli nie są „bunnies”, „króliczkami” z licznych „klubów Playboya” — to studentki, absolwentki college’ów lub aspirantki do karier filmowych. Angielski tygodnik satyryczny „Punch”, przedstawiając w r. 1972 wydanie, będące parodią „Playboya”, zamieścił na stronie rozkładowej nagie zdjęcie Hefnera pisząc, że jest to jedyna z dziewcząt „Playboya”, która nie ma wyższego wykształcenia, w czym trafnie wykpiła została tendencja pisma do przedstawiania swoich modelek jako dziewcząt z towarzystwa, a także, jak to określają Amerykanie, dziewcząt „next door”, to znaczy takich samych, jak córki mieszkającego drzwi w drzwi sąsiada...

Ta formuła personalizacji bohaterek pisma, którym nadaje się miano „playmates” — „towarzyszek zabawy” — pozornie sprzeczna z koncepcją „towarową”, jest w istocie jej uzupełnieniem. Chodzi bowiem o to, żeby nie tylko — usuwając wstydlivość — przedstawiać seks jako jeden ze zwyczajnych produktów konsumpcyjnych lub zwyczajnych form zabawy, ale także wydobyć go z podejrzanych i dwuznacznych zakamarków, pokazując jako zajęcie godziwe, uprawiane przez normalnych, przeciętnych ludzi, którzy nie mają zamiaru się tego wstydić lub się z tym ukrywać.

III

O ile przedstawiając seks jako towar „Playboy” jest częścią cywilizacji konsumpcyjnej, o tyle apelując o zalegalizowanie seksu jako rozrywki godziwej daje on świadectwo co najmniej dwóm wielkim przemianom cywilizacyjnym, które zrewolucjonizowały tę dziedzinę w ostatnich dziesięcioleciach.

Pierwszą z nich jest przemiana w dziedzinie metod zapobiegania ciąży, a więc słynna „pigułka”. Medycyna współczesna opracowała szereg mniej lub bardziej skutecznych metod unikania niepożądanego ciąży. „Pigułka” jednak, preparat niekłopotliwy, przyjmowany doustnie, o gwarantowanej skuteczności (choć ciągle jeszcze nie dość zbadanych skutkach ubocznych i długofalowych) stała się czymś w rodzaju triumfalnego zwieńczenia tych wysiłków, u których początków umieścić by wypadało słynny kalendarz Ogino-Knaussa. Nie wdając się też dalej w medyczny aspekt sprawy wypadnie powiedzieć, że działania społeczne „pigułki” stało się punktem zwrotnym w historii do-

rywczych, przelotnych, słowem — pozamażeńskich związków seksualnych.

Do tej pory jako przestroga przed podobnymi związkami stały dwie groźby: groźba chorób wenerycznych i groźba niepożądanego ciąży u kobiet. Otóż pierwszą z tych groźb wyeliminował — przynajmniej w odczuciu szerokich warstw społecznych — wynalazek penicyliny już w latach czterdziestych. Druga pozostała jednak ciągle realna, stwarzając nierówne szanse partnerstwa dla obu płci, uczestniczących w grze seksualnej. Tak więc mężczyzna był tym, który podejmował ową grę bez ryzyka — który „zdo-

amerykańskich, prowadzą ich do wniosku, że wyraża się w nich przekonanie iż „ekonomiczne i seksualne wyzwolenie młodych kobiet pracujących podważa ich przekonanie o potrzebie świętego małżeństwa” (Dr Paul Glick).

Przekonanie to wspiera coraz wyraźniejsza perswazja ze strony masowych środków przekazu. Tak więc na przykład jeszcze przed półwieczem ważnym motywem świata filmu były małżeństwa — a także rozwody i ponowne małżeństwa — słynnych gwiazd filmowych. Dzisiaj większość najpopularniejszych aktorek, to przeważnie osoby wolne,



bywał”, namawiał, uwodził czy „podrywał” — podczas kiedy kobiecie obyczaj, oparty na wielowiekowej świadomości podejmowanego przez nią ryzyka niepożądanego macierzyństwa, nakazywał postawę obronną. I dopiero w ostatnich latach „pigułka”, dając gwarancję bezpieczeństwa tak ważnego, zwłaszcza w krajach, gdzie sztuczne przerywanie ciąży zakazane jest przez prawo, urealnia wizję partnerstwa seksualnego opartego na rzeczywistej równości prawach obu płci. Zwrot „playmate”, lansowany przez „Playboya”, dopiero w tej sytuacji tracił począł swoje fałszywe i często cyniczne brzmienie, zbliżając się ku rzeczywistości.

Myślę, że skutków tej przemiany, naruszającej przecież układ, w którym ludzkość tkwiła przez wieki lat, nie jesteśmy jeszcze w stanie ocenić. Jej rezultatem najdalejszym stanie się niewątpliwie koniec świata, zdominowanego przez mężczyzn, i powstanie sytuacji całkiem nowej, o konsekwencjach nieprzewidywalnych. Natomiast konsekwencją doraźną, dającą się już zaobserwować, jest stopniowe powstawanie całkiem nowej formacji obyczajowej, którą tygodnik „Newsweek” nazwał niedawno „The Singles Society” — „społecznością samotnych”.

Otóż, według danych, zgromadzonych przez ten tygodnik, w roku 1973, spośród 48 milionów samotnych Amerykanów, 12,7 miliona to ludzie w wieku lat 20—34. Cyfra ta oznacza wzrost tej grupy o ponad 50 proc. w porównaniu z rokiem 1960. Również ilość osób poniżej lat 35, które rozwiódły się, ale nie zawarły ponownie związków małżeńskich (wynosząca w roku 1973 jeden milion trzysta tysięcy) jest dwukrotnie większa, niż analogiczne dane sprzed lat dziesięciu. Dane te, rozpatrywane przez demografów

co z kolei nie znaczy, że nie pokazujące się na premierach czy przy innych okazjach towarzyskich w asyście kolejnych przyjaciół. W nowej elicie tzw. „jet set’s”, bogatych, popularnych i wspaniałych gwiazd świata sukcesu, pojawiło się zjawisko nowe — a więc dziewczyna samotna, samodzielna, kierująca się w swoim życiu wolnym i niczym nie krępowanym kaprysem. Opadać zaczęła również anatema wokół osoby niezamężnej, zaliczając ją jeszcze nie tak dawno do wstydlivej kategorii „starych panien” to znaczy osób niechcianych. Dziś są to coraz częściej osoby, które same nie chcą trwałego, zalegalizowanego związku, nie rezygnując przy tym ze swobody życia seksualnego. Można tu zacytować zdanie psychologa, dra Pollo Maya, z książki „Miłość i wola”:

„W epoce wiktoriańskiej mężczyzna czy kobieta czuli się winni, jeśli mieli za sobą przeżycia erotyczne. Obecnie czujemy się winni, jeśli ich nie mamy”.

*) Nawiasem mówiąc na tym tle dopiero można zrozumieć właściwie ten stan osłupienia, w jaki wprowadziło społeczeństwo amerykańskie pojawienie się ruchu hippie, odziedziczonego się demonstracyjnie od wszelkich dóbr konsumpcyjnych, zamilowanego w bylejakości, szmatach, łachmanach i starzyźnie; ruch ten stał się polickiem nie tylko dla ideologii społeczeństwa konsumpcyjnego, ale dla samych podstaw amerykańskiej etyki społecznej. W tym kontekście także należy rozumieć głębię przeobrażeń psychicznych społeczeństwa amerykańskiego, które pod wpływem hasła ochrony środowiska, ratowania przyrody, a także pod wpływem konieczności takich, jak na przykład kryzys energetyczny, wywołany przez wojnę na Bliskim Wschodzie w 1973 roku, zaczyna powoli rehabilitować hasła oszczędności surowców i materiałów, umiarkowania spożycia, wstrzemięźliwości konsumpcyjnej.



Stanisław Srokowski

NIEPOKOJE MŁODEGO TEATRU

Jeszcze do niedawna obserwowaliśmy w światowym studenckim ruchu teatralnym procesy, które można by określić procesami dezintegracji artystycznej, anarchizmu formalno-estetycznego, prowadzący prostą drogą do nowej organizacji przestrzeni scenicznej, nowych układów wartości, czy nawet — idąc konsekwentnie — do całkowitego przeobrażenia funkcji i zasad istnienia sztuki teatralnej. I teatr konwencjonalny z dużą uwagą śledził owe procesy, bardzo często wykorzystując doświadczenia młodego pokolenia twórczego we własnej praktyce artystycznej. I było to zjawisko ze wszech miar naturalne. Bowiem młode zbuntowane grupy aktorów, reżyserów, scenografów, często opuszczających studia, rezygnujących z profesjonalnej kariery, niesione ambicjami przemodelowywania życia kulturalnego, społecznego i politycznego społeczeństw, rzucały kontestacyjne hasła, nie godząc się ani na dotychczasowe realizacje zawodowych teatrów, nawet jeżeli to były realizacje najwybitniejsze, ani nie hołdując istniejącym programom i tendencjom w światowej technice teatralnej. Ta sytuacja, jak zdażyłem się ostatnio przekonać, uległa w minionych czterech czy pięciu latach dość zasadniczej zmianie. Zauważa się tu zjawisko paradoksalne. Nastąpiło odwrócenie pewnych proporcji i wartości w ruchu teatralnym. O ile do niedawna obserwowaliśmy antagonistyczne, buntownicze postawy wobec teatru zawodowego, to obecnie można mówić o dość znacznym, żeby nie powiedzieć zasadniczym wpływie pewnego gatunku teatru zawodowego na teatr studencki, czy szerzej rzecz nazywając, teatr młodego pokolenia.

Świadomie mówię o pewnym gatunku teatru zawodowego, a nie o jego całości. W ub. roku, w czasie IV Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Teatru Otwartego we Wrocławiu (21—28 X), wyraźnie zaznaczył się cień Jerzego Grotowskiego na wie-

lu przedstawieniach studenckich. A jak wiadomo, Grotowski to teatr zawodowy. Ogromny wpływ mistrza nowej formuły teatru, zwanego przez czas jakiś teatrem ubogim, zaważył decydująco na kształcie i kierunku ruchu studenckiego. Inaczej mówiąc, festiwal stał pod znakiem Grotowskiego. I nie tylko dlatego, że nieustannie mówiono o nim, że na niego powoływano się w czasie rozlicznych dyskusji, że wreszcie odbyło się wielogodzinne spotkanie z mistrzem nowej sceny, ale dlatego przede wszystkim, że osobowość twórcza Grotowskiego niebezpiecznie i — rzekłbym — niszcząco wpłynęła na niektóre poszukiwania teatrów zachodnio-europejskich i amerykańskich. Teatry owe, nie dysponujące wystarczającym bagażem uzasadnień teoretycznych, wielokrotnie powielały drugorzędne i najmniej istotne cechy teatru Laboratorium.

Podpatrzone techniki, tropy, pierwiastki metodyczne dawały w inscenizacjach wspomnianych teatrów żałosne wyniki. Niewiele mogły wyjść poza powierzchowne i stylizatorskie wartości. Trzy z nich proszą się o wymienienie. Triple Action Theatre z Londynu, Theatre de L'Home z Kanady i Odin Teatret z Danii. Każdy z nich na swój sposób zapożyczył się u Grotowskiego. Może najbardziej oddalił się od wzorów mistrza teatr duński, prezentując konsekwentnie w linii interpretacyjnej, sugestywne w wyrazie, polemiczne nieco wobec Laboratorium przedstawienie, zresztą jedno z ciekawszych w przeglądzie. Widowisko oparte na motywach z Dostojewskiego, sięga najgłębszych substancji ludzkiego ducha, ujawniając najciemniejsze jego zakątki. Jest to więc teatr wielkich pytań egzystencjalnych i niepokojów moralnych rodzaju ludzkiego. Przy dość widocznych wpływach Grotowskiego, trzeba to powiedzieć, Odin Teatret wypracował odmienną technikę i zaproponował bardziej analityczną, zracjonalizowaną strukturę spektaklu.

Gorzej było w przypadku Kanadyjczyków i Anglików. Teatr z Londynu przywiózł do Wrocławia „Króla Leara”, a właściwie to nawet nie „Króla Leara”, ale widowisko niezwykle rozhisteryzowane, luźno związane z tekstem, widowisko rozkrzyczane, pustawe, efekciarskie i w sumie nudne. Aktorzy tarzali się po ziemi, wyli, jęczeli, miotali się w konwulsjach, to znikali za kotarami, to zjawiali się w blasku świateł, nieraz tworząc zresztą ładne scenki zbiorowe, jednak bez głębszej logiki i bez żadnego porządku estetycznego. I w tym miotaniu się po scenie, ten sprawny przecież technicznie zespół z dużymi możliwościami kreacyjnymi, poniósł klęskę artystyczną, jakkolwiek był tu i ówdzie chwalony przez bardziej humanitarne umysły. Niczego dobrego nie mogą także powiedzieć o Kanadyjczykach, poza tym, że okazali się bardzo sympatyczni i mili.

Cień mistrza kładł się w różny sposób na realizacje sceniczne młodzieży akademickiej, zresztą nie tylko akademickiej, bowiem do Wrocławia zjechały także zespoły półzawodowe czy zawodowe (w sumie 19), ale mieszczące się w formule teatru młodego. Zupelnym przeciwstawieniem koncepcji estetycznych Grotowskiego okazał się zespół japoński, którego reżyser, Shui Terayama, buduje absolutnie odmienną wizję teatru, teatru wielkiego, potężnego, wykorzystującego wszystkie dostępne środki techniczne, podporządkowującego reakcji odbiorcy wszelką, dostępną materię teatralną: światło, mrok, ciemność, ruch, dymy, bogactwo dźwięków, rekwiizytornie przypominającą wielki magazyn handlowy, efekty, będące zbiorem dotychczasowych doświadczeń teatru światowego, słowem, buduje teatr roziskrzanej, szerokiej wyobraźni, gdzie pierwiastki fantastyczne splatają się z realistycznymi i gdzie duch metafizyki krąży nad głowami widzów. O tym teatrze słów parę napiszę dalej.

Wróćmy do Grotowskiego. Cóż jeszcze można było zauważyć w jego koncepcji? Stosunek twórców do tekstu, do materiału literackiego. Otóż teatr coraz bardziej oddala się od tekstu, od literatury, od znaku słownego.

Coraz bardziej w teatrze gra ciało, ruch, przestrzeń, milczenie, światło, ciemność, coraz większy udział w rozwijaniu siatki znaków, sensów, wartości, w kształtowaniu idei przedstawień, w materializacji piękna — ma gest, mimika, dźwięk. Emocje znajdują znacznie ostrzejsze środki wypowiedzi, niż konwencjonalny tekst. Ból, radość, niepokój, gniew, owe gwałtowne reakcje nie mieszczą się już w układach słów; język coraz bardziej poddawany jest kompromitacji, prześwietlaniu, podpatrywaniu, w czym zresztą teatr nie przewodzi. Spóźniony o wiele lat, idzie drogą, którą pewien nurt poezji, zwanej lingwistyczną, dość dawno poszedł. I taką lingwistykę teatralną uprawia krakowski zespół „Pleonazmus”, nasycając przedstawienie asocjacjami wieloznacznymi, migotliwą, ulotną materią skojarzeń, błyskotliwością i subtelnością językowych struktur. Tak więc, teatr znajduje się na rozdrożu.

Teatr choruje na zaburzenie mowy. Jedni lekarze odwołują go od języka, czyli od własnych źródeł, inni wskazują na niewyczerpane możliwości języka, wymagającego jednak uzdrowienia, jako że jest chory, boleje, ma gorączkę, nie oddaje więc stanu rzeczy, dlatego wymaga gruntownej kuracji. Czy sztuka teatralna zdolna jest go wykurować — nie wiadomo. Dobrze, że rozpoznala chorobę, dobrze, że zdobyła prawidłową diagnozę, resztę dowiedzie praktyka lekarska. Tak czy inaczej, stosunek do języka staje się dzisiaj częstą miarą nowoczesności wypowiedzi, umiejętności dokonywania przewartościowań nie tylko postaw estetycznych, ale przede wszystkim postaw społecznych i politycznych. Bowiem nowy język estetyki tworzy nową, gatunkowo świeżą rzeczywistość społeczną. I zdaje się, że w tym względzie najdalej zaszli Polacy.

Nie wspominałem o wpływach na studencki ruch teatralny innego proroka współczesnej sztuki, Petera Brooka. A jest on znaczny, choć nie tak znaczny, przynajmniej w tych realizacjach, jakie widziałem, jak Grotowskiego.

Bunt studenckiego ruchu teatralnego, jeśli można mówić o buncie wobec starego teatru konwencjonalnego, z tradycyjną sceną, ze staroświeckimi reflektorami, z całą rekwizytornią zamkniętą w pudełku przesłoniętym kotarą, obejmuje takie zjawiska, jak usytuowanie akcji, czyli plan przestrzenny przedstawienia, i sposoby wykorzystania widowni. Najdalej na minionym festiwalu posunął się w tym względzie Tenjo Saiki z Japonii, który właściwie opanował całą dostępną przestrzeń w teatrze i poza teatrem. Moglibyśmy powiedzieć, że już skądś to znamy. Oczywiście znamy nieśmiałe próby przenoszenia sceny, rekonstrukcje miejsca wydarzeń artystycznych, szczególnie w wydaniach happeningowych, ale nie w takim układzie, jaki obserwowaliśmy w przypadku japońskim, nieraz się pojawiały w naszym polu widzenia. Japończycy potrafili nasycić atmosferę miejsca spotkań szczególnymi napięciami. Powstała przestrzeń emocjonalna, która w części zdezorientowała widownię, w części zaniepokoiła.

O Japończykach, że wtrącę motyw anegdotyczny, słyszeliśmy znacznie wcześniej, zanim oni do nas przyjechali. Legenda owiała ich występy, a „Polityka” nawet nas straszyla Japończykami. Nic więc dziwnego, że sale Teatru Polskiego w czasie występów gości wręcz pękały od tłumów. Wielu moich znajomych tworzyło koła samoobrony, ponieważ niosła się wieść, iż Japończycy napadają. Wprawdzie nie było żadnych napadów, choć tu i ówdzie zdarzały się małe in-

cydenty, to jednak grupie aktorów z kraju kwitnącej wiśni udało się stworzyć klimat wielkiej fascynacji. Spektakl rozgrywał się prawie w absolutnej ciemności, jeśli nie liczyć latarek, świec, wybuchów dymnych, czy bardzo ostrych i wąskich reflektorów, zwanych przez nas laserami, które tak niezwykle robiły wrażenie. Trudno w tym przedstawieniu określić miejsce wydarzeń. Już przed występami, Japończycy z fujarkami i kukłami, zajmując centralne miejsca przed teatrem i w szatni, zwracali na siebie uwagę, budząc zastanowienie i refleksje natury nie tylko estetycznej.

A po rozpoczęciu przedstawienia, kiedy na chwilę rozblysnęły światła zauważyliśmy, że nie tylko jesteśmy otoczeni przez aktorów ale i to zauważyliśmy, że aktorzy są wśród nas, przy nas, obok nas, nad nami, na balkonach, zauważyliśmy, że zwisają z balustrad, że chwytają nas za ramiona, świecą w oczy latarkami, opierają się o nasze głowy. Zauważyliśmy, że to my znajdujemy się na scenie, jeśli tu można mówić w ogóle o scenie, a Japończycy oplatają nas siecią niejasnych związków, okrażają, jakby stawiając nas w sytuacji ludzi, którzy się znaleźli w pułapce. Poczucie zagrożenia psychicznego, nowa sytuacja, przy równoczesnym rozprzestrzenianiu się miejsca akcji, wszystko to nie od razu było łatwe do zaakceptowania. Goście pokazali nam przykład teatru stereofonicznego, w wielu planach równocześnie rozgrywającego wydarzenia, tworzącego jednak pewną wspólnotę emocjonalną, układającego porządek artystyczny według śmiałych, ale i czytelnych prawideł estetyki. Zaprezentowali teatr, który w przeciwieństwie do teatru Grotowskiego, można nazwać teatrem bogatym, wzięwszy pod uwagę złożoność, wielopiętrowość i wielokierunkowość działań, sytuacji, sposobów reakcji, różnorodność tonacji, umiejętność cie-

niowania i pomnażania nastrojów. U Japończyków wszystko grało. Wszystko, co było w zasięgu ich ręki. Japończycy rozprawiali się z samą instytucją teatru, z istotą fikcji, zde-maskowali funkcję anegdoty, niszczyli istniejące konwencje, budowali nowe, na oczach rozsypanych w gruz idee, którym przed chwilą jeszcze służyli, wciągali nas w misterium, w obrzęd iście egzotyczny, ale też przekonywający sprawnością aktorską, koncepcją dramatyczną, rozmachem wyobraźni. Otoczyli nas iluzją i tajemnicą. To był przeciwny biegun teatru ubogiego. „Zapiski ślepeca”, czyli przeklęty musical, pozostały w pamięci wrocławian jako jedno z ważniejszych wydarzeń festiwalu, jako jedno z najbardziej kontrowersyjnych przedstawień.

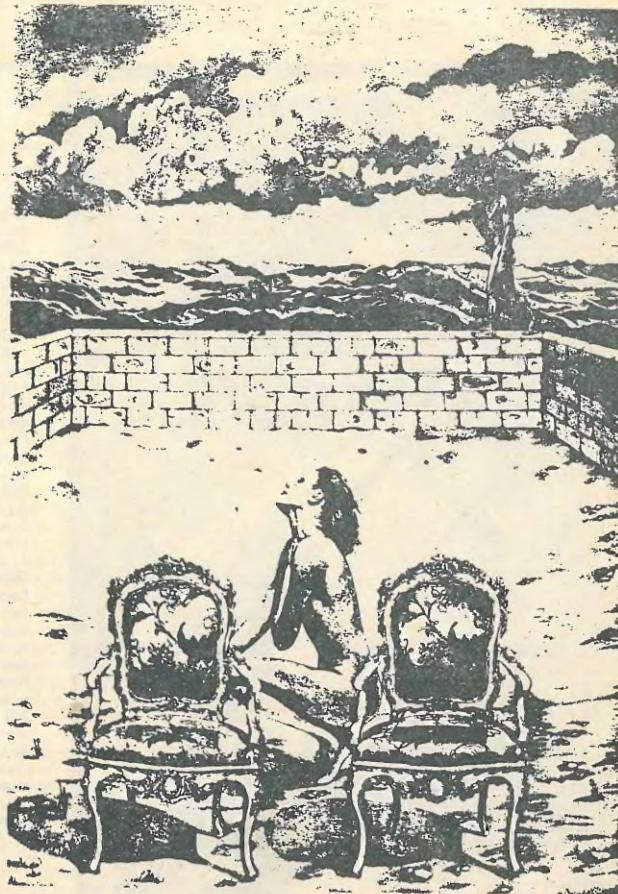
Przesuwanie sceny w kierunku widowni staje się zjawiskiem nagminnym. Ma dowodzić, że teatr poprzez zbliżenie do człowieka pragnie go mocniej wciągnąć do prawdy, którą głosi.

Próby takie czynili Niemcy z NRF (Freies Theater z München), Portugalczycy z Lizbony (Teatro a comuna), Polacy, Węgrzy (Teatr Uniwersytecki) i Szwajcarzy. Tylko nieliczne zespoły pozostawały w klatce scenicznej, co wcale nie dowodzi, że były to zespoły gorsze. Często, coraz częściej pantomima wkracza w arkany sztuki aktorskiej. Portugalczycy, Argentyńczycy, częściowo Węgrzy zademonstrowali najwyższy poziom w tym względzie, zdobywając wysokie opinie u publiczności.

Kult nagości nadal święci triumfy, choć nie w takim stopniu, jak przed laty, niestety, nadal bez większych uzasadnień, zwykle traktowany mechanicznie lub ilustratorsko. Może tylko zespół argentyński potrafił wyłamać się z tego szablonu, dając przejmujący obraz tortur człowieka przeobrażającego życie społeczne swojego kraju. Na ogół na scenie panowała estetyka szarości i barw

MŁODA GRAFIKA

W Biurze Wystaw Artystycznych „Arsenal” w Poznaniu odbyło się 12 listopada otwarcie trzeciej Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Grafiki, połączone z koncertem studentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Wystawa prezentuje dorobek twórców, którzy ukończyli uczelnie w ciągu ostatnich czterech lat. Spośród nadanych 523 grafik, jury pod przewodnictwem Jerzego Osadczego, zakwalifikowało na wystawę 278 prac 62 autorów. Wystawa młodej grafiki była czynna do 6 grudnia. (ehm)



ciemnych, choć były też, dla przeciwwagi, spektakle pełne barw (Brazylia — Grupo Once Al Sur, Włochy — C.U.T., Portugalia, Bułgaria — Studentina...), światła, rytmów, tańca, muzyki i śpiewów, dających popis żywiołowych karnawałów, wdzięku kobiet i harmonii ruchu.

Idee? Przekonania światopoglądowo-artystyczne? Dominował teatr polityczny. Szczególnie reprezentujący kraje Ameryki Południowej, teatr protestu społeczno-moralnego, niezgody na odradzające się tendencje faszystowskie. Z dużym ładunkiem protestu społecznego przyjechali Argentyńczycy, pokazując piękne, plastyczne i niezwykle dramatyczne przedstawienie. Gniewne, nałado-

wane emocjami niezgody na bezprawie, tortury, męczeństwo człowiecze przedstawienie zaprezentowali Węgrzy, opierając strukturę widowiska na tekstach Sandora Pefőiego, przypominając wydarzenia 1848 roku, Wiosny Ludów. Problemy egzystencjalne, konflikty moralne jednostki, napięcia między kulturą a naturą, stały się początkiem drogi twórczej Rosjan (Studio-Leningrad), Duńczyków, Portugalczyków. Także badania układow formalno-estetycznych, zjawisk artystycznych, dawały nieźle rezultaty sceniczne.

Manierą natomiast załatwywały różne dymy, kadzidła, świeczki, nie uzasadnione wycia, tarzania, fałszywe ekspresje.

W sumie, młody teatr świata, teatr naj-

częściej pozazawodowy, nadal nie ma spokojnej twarzy. Nadal pokazuje gniewne i zbuntowane, ale i dojrzałe oblicze, nadal intensywnie przełamuje stare bariery i unika jak może modnych fraków, eleganckich garniturów i efektownych krawatów. Powiedziabym, że młody teatr studencki wyzwolił się (i na szczęście) z kabaretowo-opretkowej stylistyki, wyteżając wzrok za kostiumami skromnymi, ale funkcjonalnymi. Czuje się, że jest to teatr, który nie tylko krzyczy, ale i dyskutuje, rozważa, poszukuje partnera. Niejeden teatr zawodowy mógłby się przyjrzeć z powagą temu, co robią młodzi. I może by to mu wyszło na zdrowie.

NA SKRZYŻOWANIU

Ozdoba naszej krytyki literackiej, Piotr Kuncewicz, zламаł niedawno obojczyk i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien zbieg okoliczności. Otóż na drugim krańcu Polski, nad jesiennym, wzburzonym morzem, szukający natchnienia poeta Mieczysław Czychowski potknął się o wystającą muszlę i również zламаł obojczyk. Można by przejść wobec tych jednoczesnych niemal wypadków obojętnie, gdyby nie kolejna przerażająca seria wybitnych osobistości łamiących obojczyki. W Poznaniu poeta i krytyk Ryszard Danecki, w Krakowie Tadeusz Sliwiał, we Wrocławiu młody po-

etycki gniewny Janusz Styczeń, w Łodzi autor proroczego tomu „Przypowieść” Józef Henryk Wiśniewski.

Co za okrutny los, jakie fale telepatyczne zawazyły na tym trudnym do wytłumaczenia zjawisku.

Jestem gotów uwierzyć, że krąży po kraju złośliwy satyr, ironiczny kobold, zagniewany bóg. Zjawia się nieoczekiwanie, aranżuje pozornie przypadkową sytuację i jednym ciosem zatawta podstawową kość pracy pisarskiej (może raczej: jedną z podstawowych kości). A może to robota Erosa zniecierpliwionego uczuciową stabilizacją wyżej

wymienionych? Może wdychające pośród książek nimfy, nie mogą już dłużej znieść lekceważącej obojętności dostojnych mężów?

Sytuacja jest w każdym razie intrygująca, a zanurzeni w gipsie czołowi adepci literatury, cierpią na chroniczną i uzasadnioną bezsenność.

Wszystkich wyżej wymienionych znam osobiście, toteż uważam za wskazane złożyć im wyrazy współczucia. Jakież było moje zdziwienie, gdy wszyscy kolejno komunikowali mi szepem, że tu nie obojczyki są najważniejsze, to tylko wygodny pretekst. W rzeczywistości sprawy są daleko bardziej skomplikowane: to złośliwi i zawistni koledzy podcięli im skrzydła, które właśnie zaczęły pączkować i już miały przebić skórę i wystrzelić na zewnątrz. Co za kłeska...

Teraz z paromiesięcznej perspektywy — kiedy kometa Kohoutka (może to jej wina?) jest już za nami, a potamami przyjaciele zdrowi i cali trenują judo i karate na łamach niektórych czasopism — ogarniają mnie pewne wątpliwości. Z tymi skrzydłami datem się zdrowo nabrać. Wiedzieli, że kilka lat wcześniej również zламаłem obojczyk i opowiadałem wtedy (co dopiero teraz sobie przypominam) o eliksirze, który wynalazł Jerzy Leszcin von Koperski na porost skrzydeł. Skarżyłem się wtedy, że skrzydła podciął mi Gąsiorowski... Koledzy porozumieci się telefonicznie, uzgodnili wersję opowieści, a ja naiwny jak zawsze uwierzyłem...

To, zupełnie tak, jakbym np.:

— zobaczył w barze Cybernetyk, jak Wiktor Woroszyński całuje Andrzeja Szymańskiego i po kolejnej wódce mówi mu: mów mi Wiciu i dziel się dzwonkiem śledzia nad numerem Więzi...

— spotkał Jasia Himilbsbacha z białą liliją w dłoni, udającego dziewicę w procesji Bożego Ciała...

— dowiedział się, że Mieczysław Jastrun wysłał swój ostatnio napisany poemat do redakcji Poezji z serdeczną dedykacją dla nowego zespołu...

— przeczytał na pierwszej stronie Trybuny Ludu apoteozę twórczości Bohdana Chorażuka,

pióra niezastąpionej Kiry Gałczyńskiej...

— dowiedział się, że KTT dopełnił sturkuszową powieść historyczną — sagę o rycerzu Krzysztofie ze Szpili i przestał pisać felietony...

— usłyszał, że Edward Stachura osiągnął górne C w śpiewie na antenie programu III Polskiego Radia i dowiedział się w końcu, co na pewno nie jest pozęją...

Wszystko to jest identycznie nierealne, jak załazki skrzydeł w złamanych obojczykach. Choć kto wie: tyle dzieje się ostatnio na ziemi i w kosmosie spraw niezwykłych i tajemniczych. Życie każdego z nas obfituje w zagadki. Chociażby sny...

Młody, doskonale zapowiadający się krytyk, znawca Eliota, Andrzej K. relacjonował mi ostatnio swój powtarzający się od kilku tygodni sen. Śni mu się prof. dr Artur Sandauer. Stoi w białym kitlu na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej z czerwonym lizakiem w dłoni. Wywija zawzięcie: jednych zatrzymuje, drugich puszca, trzecim sprawdza ciśnienie w oponach, wymierza mandaty, filuternie grozi palcem... Cały ruch jest podporządkowany jego sprawnym gestom — gustom. Nad nim wysoko w górze, na tle sennego pejzażu, piętrzy się potężny granitowy drogowskaz, do którego przymocowane są tabliczki z wieloma napisami, np.: do Kafki, do Gombrowicza, do Białoszewskiego, do Witkatego, do Mrożka, do Herberta, do... Niektóre tabliczki są jeszcze puste, nazwiska na innych zostały wymazane. Na szczycie obelisku, wysoko w chmurach, stoi również Artur Sandauer odlany ze spizu... A wokół trwa nieprzerwany ruch...

Młody krytyk prosił mnie o wytłumaczenie tego snu. Poradziłem mu, aby zwrócił się do osoby wysnioniej, która przecież na pewno nie obrazi się za sen tak uroczy i symboliczny. Nie był z tego zadowolony i oświadczył, że nie ma zamiaru przyskładać swojemu mistrzowi w pracy nad przekładem Biblii. Sen pozostanie więc nie wyjaśniony.

HORATIO



Rok temu zginął tragicznie **MARIAN STRZELECKI**, absolwent gdańskiej PWSP. Należał do najbardziej aktywnych artystów Wybrzeża. Rezultaty swej pracy twórczej eksponował w kraju oraz Bukareszcie, Berlinie, Montrealu, Nowym Jorku, Göppingen. Łączył pasję tworzenia z pasją społecznika, pełniąc funkcje wiceprezesa ZO ZPAP oraz przewodniczącego sekcji plastycznej GTPS.

Skąd ten gwizd? To w uszach mi tak gwizda. Oddycham: jest tlen w powietrzu. Tam go prawie nie było. Widzę: ulica, tramwaj, samochody... Już mi nie błyska w oczy stroboskop. Ulga. Po co starałem się słuchać? Tego się nie słucha. To się odbiera całym ciałem. Skórą. Kośćmi. Flakami. Zanim wsiedzę do samochodu, muszę się przejść. Tak będzie bezpieczniejsze. Dałem się na tę wizytę namówić, ale nie żałuję. Gdańsk nie jest przecież wyjątkiem.

Studenci zaprosili mnie do klubu. Klub się nazywa „Rudy Kot”. Pokój ma nie więcej niż 50 metrów kwadratowych. W jednym kącie jest bufet (kawa, ciastka, wino), w drugim — estrada z dyskoteką. Na środku kilkanaście stolików.

Dyskoteka pracuje. Prezenterka zapowiada „utwór z nowego longu pleju, który dopiero dziś zdobyliśmy”. Łomot. Dwie słupowe kolumny głośnikowe walą dźwiękiem, który przykrywa wszystko, jak wodosпад. Przepona podskakuje. Dzwoni szklanka na stoliku. Dygot. Z sufitu zwiesza się kilka kłosów wiklinowych. W każdym czerwona żarówka, taka jak w ciemni fotograficznej. Tłok. Trudno przejść. Taniec między stolikami, to podrygiwanie w miejscu. Nie można podnieść szklanki do ust bo wytrąca, nie można zapalić papierosa, bo się kogoś oparzy. Porozumiewanie się jest możliwe tylko metodą „ucho — usta”. Mam głos jak Stentor, ale po paru minutach chrypnę.

I po co oni tu przychodzą? Nie widzą się. Nie słyszą się. Nie mogą tańczyć. Na trzystu mieszkańców domu akademickiego ta salka klubowa jest za mała, ale nie tylko o to chodzi. W tej salce może działać kabaret. Mogą być spotkania i dyskusje. Mogą być wieczory autorskie. Mogą być piosenki. Nie ma nic.

Jest dyskoteka. Przez dwie godziny magluje tych spoconych ludzi nawałnica dźwięku i rytmu — tak samo w Gdańsku, jak i w Warszawie czy w Olsztynie. Jaskinie rozpusty? Orgie? Spelunki? Cóż za bzdury! To są po prostu izby tortur. Zmaltretowany, ogłuszony i wyżęty z energii młody człowiek, po dyskotecie nie ma już przeżycia na nic ochoty. Mieszkam w pobliżu dysko-

teki i nieraz obserwuję wychodzących. Rozróbek nie widziałem. Dochodziły mnie echa zająć w innych dyskotekach, ale na ogół były to zwykłe chuligańskie rozróbki, wszczynane przez podpiętych osobników, którzy w tym celu tam przychodzili.



Andrzej Wróblewski

Powie ktoś: muzyka przyciąga chuliganów. Tak, to jest prawda. Chociaż nie o chuliganów tutaj chodzi. Ten rodzaj muzyki — łatwej, rytmicznej, hałaśliwej — odpowiada przede wszystkim naturze prymitywnym, bo działa na naskórkową warstwę wrażliwości. Rytm i jazgot głośników są jak narkotyki, wtrącają w błogostan, w którym można nie myśleć i zredukować funkcję istnienia do najprostszych czynności fizycznych. Ruchy pod wpływem tej muzyki są sennie i zwolnione, reakcje leniwe a życie zaczyna się opóźniać, jak gdyby się toczyło w zgęszczonym powietrzu.

Obserwuję rozwój dyskotek bez zadowolenia. Sam się o nie dopominałem, uważając, że mogą one spełnić dobrą rolę w organizacji rozrywki dla młodzieży. Bronięm dyskotek przed zarzutami, że deprawują uczestników i szerzą demoralizację. Powtarzam: nie o to chodzi. Uważam, że mogą być przydatne, jako tło do zabawy, do tańca, mogą tworzyć nastrój potrzebny do odierwania się od codzienności, ale nie mogą być

jedyną formą działalności kulturalnej. W klubach studenckich często zastępują one wszystkie inne, ongiś bardzo żywe, przejawy działania. Jazgot, zaprawiany piwkiem lub „Bikawerem” nie tylko zwalnia od trudu myślenia. W okrzykach disc jockey'ów wiele jest zachwytu dla tej muzyki, którą prezentują, a wśród tych utworów nie ma muzyki polskiej. To znaczy bywa, ale wtedy, gdy trzeba udowodnić, że jest. W ten sposób tworzy się atmosferę serwitutu, że i Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, bo w zasadzie gra się tylko hard rock i tylko hard rock się uznaje i tylko jego królowie znajdują akceptację słuchaczy, którzy są przekonani, że nasza muzyka tamtej do pięć nie dorasta, bo taka już jest zasada sprzężenia zwrotnego.

Nie chcę nikogo straszyć, nie chcę zniechęcać, istnieje jednak w dynamice dźwięku granica bólu, której przekroczenie można odczuć aż nazbyt dotkliwie na własnej skórze, czy na własnych uszach. Poniżej tej granicy — a tym bardziej powyżej niej — jest obszar szkodliwości fizjologicznej. Badania, prowadzone za granicą (i u nas, na Wybrzeżu — o czym było w swoim czasie głośno) wykazują takie konsekwencje jak przytępienie słuchu, obniżenie wrażliwości, zwolnienie reakcji itp. Podobno dłuższe przebywanie w strefie takiego hałasu sprzyja impotencji. Ładne rzeczy! Tak jak nie zgadzam się z opinią, że w Polsce wyrosło pokolenie głuchych w sensie przenośnym, tak się obawiam, że dyskoteki mogą wyhodować pokolenie głuchych impotentów.

Ale to już ich sprawa. „Mnie to nie dotyczy” — jak powiedział inwalida, którego pies ugryzł w protezę. Gorsze jest tylko to, że ta impotencja ogarnia przede wszystkim rejon intelektu. Tytu ich jest — smutnych, młodych ludzi, wykonujących ruchy, jak gdyby deptali kapustę w beczce, aż żal, że się tak męczą bez uśmiechu. Czy bez tego uśmiechu będą szli dalej w życie? Czy zamienią chęć tworzenia i zdobywania na rolę akumulatorów akustycznych lub masy dźwiękochłonnej? A więc o czym będziemy rozmawiali przy najbliższym spotkaniu? O tym, czy nie lepiej czerwone żarówki zmienić na żółte — albo odwrotnie?...

DEKLARACJA IDEOWA „GRYFA”

Najbardziej spornym dokumentem w rozpatrywaniu pomorskiego ruchu oporu z lat II wojny światowej, jest deklaracja ideowa Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Dziwne to pewnie, ale spory i namietne dyskusje toczą się wokół dokumentu, którego właściwie nie znamy, w każdym bądź razie nikt z historyków nie stwierdził do tej pory, czy w archiwach zachował się chociażby jeden wiarogodny odpis deklaracji ideowej największej organizacji podziemnej na Pomorzu. To co dotychczas przyjmowano w niektórych kręgach ludzi piszących za autentyczną deklarację, jest raczej wątpliwego pochodzenia tendencją: nie spisany dokumentem, mającym w przeszłości kompromitować pomorskich partyzantów, co zresztą i obecnie znajduje aprobatę w organie Instytutu Bałtyckiego.

Ostatnio w Biuletynie Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego „Pomerania” (1973, nr 3) Konrad Ciechanowski opublikował tekst deklaracji znajdujący się w Archiwum KW PZPR w Gdańsku — tekst przez publicystów raczej pomijany, chociaż — jak wnosi Ciechanowski — wiarygodny, przypuszczalnie obowiązujący przez cały okres działalności TOW „Gryf Pomorski” (*). Deklaracja ta pochodzi z lipca 1941 roku i we fragmentach opublikowana została w organie TOW „Gryf Pomorski” z 14 lutego 1944 roku. Słusznie zauważa Ciechanowski, że gdyby w tym czasie obowiązywała inna deklaracja, nie opublikowano by w roku 1944 starej, zdezaktualizowanej.

W deklaracji z lipca 1941 roku zasady ideowe „Gryfa Pomorskiego” zostały sformułowane w krótkim wstępie i 10 punktach. Biorąc pod uwagę warunki pomorskie i czas jej powstania, zawiera ona pozytywne sformułowania, które przeczą temu wszystkim, co w różnych opracowaniach wypisano, w sposób oszczerzy, na temat wstecznicstwa ideowo-politycznego pomorskiego ruchu oporu. Deklaracja głosi m.in., że TOW „Gryf Pomorski” skupiać będzie w swych szeregach „Prawdziwych Polaków, owianych ideą niepodległości ze wszystkich warstw społecznych”, że „Separatyzm dzielnicowy jest nam obcy, a jako najwięcej szkodliwy dla dobra państwa nie może być tolerowany, chociażby ktokolwiek chciałby nam go narzucić”. I dalej: „Obcy jest duchowi polskiemu szowinizm narodowy”; „W dążeniach naszych do przywrócenia wolnej i niepodległej Ojczyzny współpracować będziemy z tymi wszystkimi, którzy dążą do zniszczenia hordy hitlerowskiej”.

TOW „Gryf Pomorski” kierowała się dyrektywami rządu polskiego w Londynie i wodza naczelnego polskich sił zbrojnych, co jest zrozumiałe, gdyż będąc organizacją demokratyczną, nie była jednak organizacją — w znaczeniu klasowym — lewicową. Kierowała się etyką chrześcijańską, skupiała jednak w swych szeregach wszystkich pragnących walczyć z okupantem. Czynnikiem narodowy dominował więc nad wszystkimi innymi, cel zaś był jeden — walka o wyzwolenie Polski. Programu przyszłej Polski — poza jednym stwierdzeniem ogólnikowym, że ma ona być demokratyczna — nie formułowano, być może dlatego, że przywódcom zabrakło dalekosiężnej myśli politycznej, być może też, że pozostawiano tę sprawę kompetentnym politykom decydującym o losach przyszłej Polski.

Opublikowana przez Ciechanowskiego deklaracja ideowa być może jest tą wła-

ściwą, ale ostatnie słowo wciąż jeszcze należy do badaczy. Może uda się zebrać dodatkowe źródła, aby ostatecznie wyjaśnić jej właściwe brzmienie? Czas po temu najwyższy.

(T.BOL.)

*) Pomerania. Biuletyn Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, R.X, Gdańsk 1973, nr 3, s. 90, cena 10 zł.

DZIECI NIE MIEJCIE ŻŁUDZEŃ

PRZECZYTAŁAM książkę Stanisława Żałuskiego „Przerwany rejs Czarnych Piratów”. Książkę przeznaczoną dla nastolatków. Opuściłam krainę tego wieku wiele lat temu. Ktoż jednak z nas — dorosłych — stracił z nią kontakt bezpowrotnie? Tak więc „spóźniona” o wiele lat, z bagażem tych lat, czytałam książkę Żałuskiego.

Intryga w niej klasyczna: wyprawa po nieznaną i przeciwną temu codziennemu, ucieczka i powrót, doświadczenie i wnioski. Realia przygody Czarnych Piratów — współczesne: wielkie miasto, wielka technika, zamknięty układ ludzi i pracy; struktura doskonała.

Wychowana na Makuszyńskim próbowałam odnaleźć w sobie „tamte” — płynące z pierwszych lektur — wzruszenia. Nielatwie to zadanie przeszukać miniony czas, zawierzyć pamięci... Moja przygoda w czasie, spowodowana przez książkę Żałuskiego, nie była bezowocna. Z

remanentów wspomnień wyłonił się kształt niegdyś młodszej Przygody — górnej, rzewnej i bezpiecznej.

Książka Żałuskiego ostrzega przed przygodą. Zdaje się mówić — przygody nie ma. Jest praca, trud i drobne starania. W trybach wielkiej, świetnie funkcjonującej maszyny — miasta „tłucze” się maleńki nastolatek i jego wielka wyobraźnia. Tłucze się boleśnie. Dziecięca przygoda staje się gorzkim doświadczeniem, fantazją — niebezpieczeństwem. Pozostaje wrócić do domu — przyćmienie, przegasać, przeciekać... Jakaż w tym prawda o nas, dorosłych sprawcach „systemu” doskonałego — systemu, w którym nie ma szczeliny dla wyobraźni.

MARZENA WOŹNIAK

*) Stanisław Żałuski, Przerwany rejs Czarnych Piratów. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1973, s. 178, cena 17 zł.



MKL FORUM

Kto kierował „Gryfem”?

Przylącam się do protestu dr. K. Ciechanowskiego umieszczonego w 12 nr „Liter” z 1973 r.

TOW „Gryf Pomorski” miała poważne wpływy i była mocno rozbudowana w dawnym powiecie morskim, ale nikt do tej pory nie słyszał tu i nikt tego dowiedzieć nie może, żeby „Gryf Pomorski” miał w swych szeregach agentów hitlerowskich. Prawdą jest, że do TOW „Gryf Pomorski”, tej najważniejszej organizacji na Kaszubach, należeli prości wieśniacy, kierowani przez miejscową inteligencję, głównie nauczycieli, ale żeby ich bezpardonową walką kierowali agenci hitlerowscy, w to nikt nie uwierzy. Faktem jest, że wśród gryfowców znaleźli się ludzie, których wróg potrafił załamać (...), ale to nie znaczy, że „Gryf” był opanowany przez agentów hitlerowskich.

Widocznie pan Pirkko nie może pojąć specyfiki pomorskiego ruchu oporu, albo zna zbyt słabo działalność TOW „Gryf Pomorski”. Na naszym terenie, na Łésokach, działał w ramach Komendy Obwodu jeden z licznych oddziałów gryfowskich. Fragmenty jego działalności będą drukowane w „Pomeranii”. Pomimo, że dowództwo tego oddziału i większość partyzantów posiadała niemiecką listę narodowościową, tylko naiwny, nie znający miejscowych warunków człowiek, mógłby twierdzić, że kolekcjonistą oddział był opanowany przez hitlerowców.

Jednak to zastanawiające, dlaczego nie ustąpili, nawet przed mnóstwem w trudzie zebranych dowodów, pewni (w tym przypadku) krytycy. Od samego początku starano się na siłę zmieszać z błotem „Gryf Pomorski”, tę najbardziej regionalną, ludową, choć klerkalną organizację konspiracyjną Pomorza.

Jestem jednak przekonany, że prawda ta zwycięży.

BOLESŁAW BORK
Bojanowo
pow. Wejherowo

Powinno oburzyć każdego...

W „Literach” (nr 12) przeczytałem artykuł p. T. Bouldana pt. „Rewelacje wywrócone z fusów” oraz szczerzy protest p. K. Ciechanowskiego przeciwko recenzji p. Michała Pirkko, którą opublikowano w „Komunikatach Instytutu Bałtyckiego”, a dotyczącej pracy K. Ciechanowskiego „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim w latach 1939–1945”. Nie czytałem tej recenzji, ale z wypowiedzi p. „Liter” dowiedziałem się, że faktycznie p. Pirkko dokonał czegoś niezwykłego.

Należy się dziwić, że Instytut Bałtycki zezwolił na wydrukowanie takiej recenzji. Zresztą w naszych dziejach pi-

sarstwa niejedno głupstwo się już ukazało. Ale tutaj chodzi o coś bardziej ważnego i w skutkach brzemienne. Spotał się i ocenił cały wysiłek i kierunek działalności Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Myślę też, że w tej sprawie wypowiadają się ludzie kompetentni, znający dzieje tego ruchu wojskowego, który przecież powstał nie z ramienia Niemiec, a przeciwko Niemcom.

Zadaję sobie też pytanie, czy aby p. Pirkko zna chociaż trochę dzieje Pomorza, walkę ludu kaszubskiego i czy posiada w ogóle znajomość tragicznych lat okupacji na Pomorzu, gdzie inteligencję w większości wymordowano już na jesieni 1939 r. Pomawiając bojowników pomorskich i kaszubskich o sprzyjanie hitlerowcom, jest albo wielkim nieporozumieniem, albo głupotą i nieznajomością rzeczy, albo jakimś szalbierstwem zmierzającym do skłócenia narodu. Przecież żyją działacze z tamtego okresu, bojownicy i członkowie „Gryfa”, którzy powinni zabrać głos w tej sprawie. A co powie rzesza pomordowanych gryfowców i wszystkich zakatowanych przez Niemców? Co powiedzą ci, co wycierpieli w łobach gestapo i obozach koncentracyjnych.

Myślę, że Związek Bojowników o Wolność i Demokrację też zabierze głos w tej sprawie, aby wypowiedzieć p. Pirkko nie przeszła spokojnie do archiwum Instytutu Bałtyckiego.

STEFAN FIKUS
Łębork

Walczyliśmy z hitlerowcami

Z „Liter” (nr 12, 1973) dowiedziałem się, że p. Michał Pirkko ocenił b. Tajną Organizację Wojskową „Gryf Pomorski” o kolaborację z okupantem, młodszy, że na czołowych stanowiskach byli agenci hitlerowscy, że „Gryf” był wrogo ustosunkowany do ZSRR. Jako były członek tej organizacji występowałem pod pseudonimem „Maria”. Wstąpiłem do niej w 1941 r. i przez cały czas mego pobytu w oddziałach partyzanckich, których dowódcami byli kapitan Sztukowski i Walter Ciechański, nigdy nie słyszałem, by nasza organizacja była źle ustosunkowana do ZSRR, względnie by wśród członków naszej organizacji byli agenci hitlerowscy. Wspomnę tylko jedno zdarzenie.

W październiku 1944 r., w porze nocej, spotkałem dwóch żołnierzy radzieckich, którzy w polu kopali sobie ziemniaki. Zorientowałem się, że mamy do czynienia ze spadochroniarzami Związku Radzieckiego. Jeden z nich podał swoje nazwisko — Jasko Iwan, a drugi — Lewkoń. Jasko był w randze starszyny, a Lewkoń

lejtenta. Ja osobiście zaprowadziłem ich do naszego bunkra w lasach w Swarżynie. Udzielił im pomocy w postaci żywności, papierosów itp. W naszym bunkrze przebywali do 10 stycznia 1945 r. Wtedy pomogliśmy im przeprawić się do Malborka.

Nasza organizacja była skierowana przeciw hitleryzmowi, a nie przeciwko ZSRR.

JAN JACHIMOWSKI
Tczew

Szkodliwa recenzja

Pan Pirkko w recenzji pracy dra Ciechanowskiego „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim” nie daje — jak pisze — absolutu kierownictwu TOW „Gryf Pomorski” i posądza tę organizację o kolaborację z Niemcami.

Po tylu latach wolności, na łamach poważnego pisma wydawanego przez Instytut Bałtycki, który odegrał ważną rolę w nauce i krzewieniu polskości na Pomorzu przed wojną i po jej zakończeniu, ukazał się artykuł zięjący nienawiścią do kierownictwa TOW „Gryf Pomorski”. Zarzucano nam po wojnie różne przewręcenia... i nie zezwalano pisać o naszej organizacji. Sądziłem, że po tylu latach zrozumiano błędy i stosunek do nas się zmienił. Uważam, że recenzja Pirkki szkodzi interesom państwa polskiego i jego regionu — Pomorza...

Nie występuję do sądu przeciw fałszywym oskarżeniom, ale uważam, że kompetentne czynniki powinny zająć się recenzją p. Pirkki.

Byłem bliskim współpracownikiem prezesa TOW „Gryf Pomorski” oraz komendantów naczelnych: Koszałki, Formeli, Gierszewskiego, Wojewskiego, Arendta, Westphala i innych działaczy na kluczowych stanowiskach i mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że nikt nie był agentem hitlerowskim, ani wrogo usposobiony do ZSRR i PPR.

Po zaborstwie Lecha, Westphala i ja przejęliśmy kierownictwo organizacji. Nie byliśmy wrogo nastawieni do ZSRR i PPR. Wykonaliśmy instrukcje, jakie nam pozostawił Lech (i zef Dąbek), który w końcu 1943 r. nakazał wydawać legitymacje członkowskie z napisem: Rosja—Anglia—Ameryka jako dowód, że w/w państwa są polskimi sprzymierzeńcami. Wykonaliśmy też jego polecenie przygotowania się do walki na tyłach wojsk niemieckich, w związku ze zbliżającym się frontem ze Wschodu. Dambek przygotował narażenie wojenne w Sikorzynie, w remizie starego dworca, na które chciał omówić przygotowania zbrojne, chciał również przenieść swą kwatery na południe, w Bory Tucholskie. Poleciał on komendantowi naczelnemu, inż. Wojewskiemu, przebywającemu w okolicach Grudziądza, przygotowanie organizacji do działań wojennych przeciwko armii hitlerowskiej. Niestety Lech został zamordowany. Do narażenia nie doszło, ale Westphal i ja otrzymaliśmy instrukcje od Lecha i stosowaliśmy się do nich do końca. Propagowaliśmy również deklarację z lipca 1941r., z wyjątkiem pkt. 2 i 10.

Pan Pirkko zarzuca „Gryfowi Pomorskiemu”, że poddał się organizacji „Miecz i Plug”, że się z nią połączył. Jest to nieprawda. Podobnie jak TOW „Gryf Pomorski” prowadziła długie pertraktacje z ZWZ i AK, zakończone fiaskiem, tak samo było z „Mieczem i Plugiem”. Ponieważ byłem łącznikiem pomiędzy Lechem a Trągierem, mogę oświadczyć, że Trągier dużo dobrego uczynił dla nas. Otrzymaliśmy broń,

po którą byłem dwa razy w Bydgoszczy, instrukcje wojskowe i znaczki okolicznościowe.

Dążnością władz centralnych „Mieczy i Plug” było podporządkowanie TOW „Gryf Pomorski” Warszawie. W związku z tym — jak pamiętam — odbyły się dwa posiedzenia w Kamieniu Królewskim, które nie dały rezultatu. Lech długo rozważał deklarację ideową jak i samą ideę podporządkowania. Po zebraniach mówił do Westphala, że to wszystko jest podejrzane i bezcelowe. Byłem ostatni raz w Bydgoszczy u Trągiera z prośbą, by przyjechał do Lecha. Ze stacji kolejowej Mojusz doprowadził mnie do bunkra. Tam Dambek i Westphal w mojej obecności oświadczyli Trągierowi, że zrywają dalsze pertraktacje, gdyż Rada Naczelna TOW „Gryf Pomorski” sprzeciwia się podporządkowaniu „Mieczowi i Plugowi”.

Poza tym otrzymałem od Lecha polecenie odwiezienia Trągierowi otrzymanych od niego materiałów. Nie zdążyłem ich odwieźć, ponieważ dowiedziałem się, że mam być aresztowany przez gestapo po wpadnięciu naszej skrytki kontaktowej w nadlesnictwie Mirachowo i z tego względu zmieniłem plan wyjazdu do Bydgoszczy. Materiały zostały ukryte u członka TOW „GP” Bigusa.

Proszę redakcję „Liter” o wykorzystanie mojego protestu przeciwko p. Pirkce na łamach Waszego poczytnego pisma.

MARIAN JANKOWSKI
Lubaczewo
pow. Słupsk

Tylko oszczerstwo!

W czerwc 1943 roku, jako były podoficer Straży Granicznej, wstąpiłem do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i po przysiędę, którą złożyłem przed komendantem na miasto Tczew Kwaśniewskim, otrzymałem pseudonim „Gwiazda 9”. Byłem dowódcą grupy sabotażowo-dywerycyjnej w Tczewie, którą sam zorganizowałem. Na stawianie przez p. Michała Pirkko zarzuty o kolaboracji i antykomunistyczne bycie Tajnej Organizacji Wojskowej, mogę tylko odpowiedzieć, że są one niezgodne z prawdą a mianowicie:

1. W przysiędę złożonej na ręce Kwaśniewskiego przyrzekłem na każdym kroku szkodzić okupantowi, natomiast żadnej wzmianki o walce ze Związkiem Radzieckim nie było;

2. Osobiście widziałem młodzież polską, którą przymusowo wcielano do Wehrmachtu, na dworcu w Tczewie. Po przejściu do pociągu, gdzie przejęło ją wojsko, wszyscy śpiewali hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”, co spowodowało, że w późniejszym terminie młodzież polską odprowadzali Niemcy do wojska po kilka osób;

3. Komendant miasta Tczewa TOW „Gryf Pomorski” polecił mi, żeby — bez względu na zapartowania polityczne — o ile spotkam inne podziemne organizacje, wejść z nimi w kontakt i doprowadzić do połączenia z „Gryfem”.

4. W Tczewie przy ul. Gdańskiej (Malinowa) w stodole u Niemca Swarcza był obóz jeńców radzieckich, którzy byli bardzo źle odżywiani i traktowani. Obóz ten później został przeniesiony do Rokitek, pow. Tczew. Kwaśniewski polecił, w miarę możliwości, udzielać pomocy jeńcom radzieckim, co nie było łatwą sprawą. Za pośrednictwem gryfowców pomocy tej udzielała ludność

Tczewa w postaci żywności itp. W Tczewie były również dwa obozy jeńców angielskich, którym też pomocy też udzielano. Ja osobiście miałem kontakt z jeńcami angielskimi, gdyż do nich było łatwiejsze podejście.

W następnym dniu po zwolnieniu, burmistrz miasta Tczewa skierował mnie do pracy na kolei, gdzie (na starym dworcu) pracowałem w kolejowym sztabie radzieckim. Po objęciu kolei przez władze polskie, pracowałem jako dyżurny ruchu w Zajazdowie Tczewskim i Gdyni-Portcie Centralnym, następnie byłem dyspozytorem i starszym dyspozytorem ruchu w Oddziale Tczewskim i w Zajazdowie Tczewskim, skąd odszedłem na emeryturę. Przez pięć lat byłem prezesem Zarządu Powiatowego ZBoWiD w Tczewie i sześć lat przewodniczącym Komisji Rewizyjnej w tym samym oddziale. Jestem długoletnim członkiem PZPR. Za moją działalność społeczną i okupacyjną otrzymałem dużo dyplomów uznania oraz zostałem odznaczony Krzyżem Partyzanckim, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Odznaką Grunwaldu, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego oraz Medalem Siemsetlecia Miasta Tczewa. Zaznaczam, że wśród gryfowców, których znam, nie było żadnych nastawień antyradzieckich oraz nikt nie współpracował z hitlerowcami... Wszyscy gryfowcy, którzy żyją, pracują sumiennie dla Polski Ludowej. Rzucone oszczerstwo na członków „Gryfa Pomorskiego” przez p. Michała Pirkę, pozostaje tylko oszczerstwem.

STANISŁAW TRYKOSZ
Tczew

Pozostaje droga sądowa?

Szanowny Panie Redaktorze! Dziękuję serdecznie Panu Redaktorowi za zdecydowanie i ostre zareagowanie na niezrozumiałą również i dla mnie recenzję Michała Pirkki z pracy Konrada Ciechanowskiego pt. „Ruch oporu na Pomorzu Gdańskim”.

Jestem głęboko wstrząśnięty tą recenzją. Uważam, że M. Pirkko dał świadectwo tego, że sprawy Pomorza w czasie okupacji są mu zupełnie obce. Michał Pirkko nie wyczuwa ducha czasów okupacji na Pomorzu, nie zna skomplikowanych i specyficznych układów, które tu panowały, przytacza suche fakty, bez żadnego pokrycia, bez głębszej analizy, bez udokumentowania, wręcz zupełnie nieodpowiedzialnie.

To są sprawy zbyt poważne, żeby tak lekkomyślnie sobie pozwolić na te i inne stwierdzenia, jakie umieścił w swej recenzji Michał Pirkko, tym bardziej, że jest on współpracownikiem Instytutu Bałtyckiego. Recenzja ta jest czarną plamą w działalności Instytutu Bałtyckiego. Sądzę, że Instytut Bałtycki zrewiduje tę recenzję, bo inaczej nie ma innej drogi, jak sądowa...

Mgr Paweł Dambek
Gdynia

Szukanie dziury w całym

„Komu to potrzebne” — pod takim tytułem Tadeusz Bouldan udzielił odpłaty autorom

tomu „Wspomnienia działaczy kaszubskich”. Uczyliń to w sposób nieco złośliwy i dla tego proszę Redakcję o umieszczenie mej odpowiedzi na łamach „Liter”.

Wypowiedział się 18 autorów, podając własne przeżycia, pan Bouldan natomiast dopatrywał się bardzo mało wiarygodnych relacji we wspomnieniach autorów, prócz tych „związanych z kampanią wrześniową i ruchem oporu”. Nawet zdanie recenzenta, wybitnego znawcy Kaszubszczyzny, prof. dr. Andrzeja Bukowskiego, potraktował z lekceważeniem. Całość swej krytyki potraktował tak, jak gdyby chodziło o tendencyjne podważanie autentyczności przeżyć autorów, jest to po prostu szukanie dziury w całym. I to dlatego, że, zdaniem recenzenta, zbyt jasrawo obnażało się niedomaganie okresu międzywojennego. Było przecież dobrze, a autorzy — pamiętnikarze — twierdzą, że źle. Owszem, było dobrze — jednostkom, ogół jednak, ta masa nie dostrzegana przez władzę, a widziana przez dobrze sytuowanych od strony, co można by na niej zarobić, a nie jak by jej pomóc, żyła i tu i wszędzie w Polsce w warunkach godnych pożalowania.

Stawia mi się zarzut, że „mam żal” do Krzyżaków, Prusaków i szlachty (pan Bouldan dodał jeszcze ze swej strony — przybyszów). A co Pan sądzi, że zasługują na pochwałę? Tego chyba Pan nie zrozumiał, że w tym wypadku nie chodziło o osoby, lecz o ustrój, który zasłaniając się obłądą boskiego postanowienia, stanowczo bronił zasad niesprawiedliwości politycznej i społecznej. Czy wobec tego wybielaniem metod rządzenia możnych, znieczulonych na potrzeby ogółu, czy unikaniem konfrontowania takiego mętlaku moralnego z ideologią ludzi, którzy za lud i socjalizm zgnili w więzieniach i na szubienicach, czy to służy urabianiu świadomości socjalistycznej i umacnianiu założeń ideowych władzy ludowej? Czy przymykanie oczu i usprawiedliwianie tego, co nie było dobre, jest zgodne z zasadami wychowania ideologicznego?

Publicysta powinien oddziaływać na społeczeństwo, ale w sposób wychowawczy, a państwo socjalistyczne, tworząc nowy ustrój, ustrój humanitarny, inny od tych, jakie przez wieki kształtowały umysłowość tresowanych w duchu usługiwania się wybrańcom, ma pod tym względem szczególne wymagania. A z tym uciskiem klasowym odnośnie „Bedeke- ra”, to Pan słomnie przeholował. Zastosowanie takiego sofizmu, sztuczki z przodu i z tyłu, to chwyt poniżej pasa!

FRANCISZEK TREDER
Kartuzy

Sprostowanie

W artykule recenzyjnym „Komu to potrzebne?” („Liter”, 1973, nr 11) zdanie (6 spacja, 1 akapit): „Józef Gniech podaje, że po wkroczeniu hitlerowców do Wejherowa, aresztowano go i wraz z Prusińskim oraz Kowalskim wywieziono do Stutthofu”, powinno w zakończeniu brzmieć: do obozów koncentracyjnych. Józef Gniech osadzony został bowiem w Oranienburgu — Sachsenhausen, o czym pisze w swoim wspomnieniu. Za tę mylną informację przeproszam p. Józefa Gniecha i Czytelników.

Tadeusz Bolduan

Głód książki

W tekście dyskusji zamieszczonej w Waszym poczytnym piśmie „Wciąż jeszcze głód książki” (Liter nr 11/1973) ukazało się zdjęcie strony tytułowej książki pt. „Siatki czynności i ich analiza”. Podpis zamieszczony pod zdjęciem głosi: „Tej książki nie ma w bibliotekach”.

Pragniemy w związku z tym wyjaśnić, że na terenie m. Gdańska w sieci bibliotek publicznych posiadamy 6 egz. tej książki („Siatki czynności i ich analiza”, Gdynia 1967, Wydawnictwo Morskie).

Miejska Biblioteka Publiczna w Gdyni posiada 3 egz.; Miejska Biblioteka Publiczna w Sopocie — 2 egz., zaś wszystkie Powiatowe i Miejskie Biblioteki Publiczne województwa gdańskiego po 1 egzemplarzu.

MGR WERONIKA MARKIEWICZ
Kierownik
Działu Gromadzenia

Stanisław Herbst

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł prof. Mariana Biskupa „Stanisław Herbst i jego wkład w historiografię pomorską” w numerze 11 z ub. r. Waszego pisma „Liter”.

Autor wszechstronnie naświetlił ogrom pracy naukowej, niestrudzonego społecznika i szlachetnego człowieka, jakim był prof. dr Stanisław Herbst. Wielki i żarliwy był jego trud w szerzeniu i upowszechnianiu wiedzy historycznej o naszych Ziemiach Zachodnich i Północnych.

Autor wymienił kilka ośrodków historycznych, z którymi prof. Herbst utrzymywał żywe kontakty i którym służył radą i pomocą. Niestety nie wymienił on ośrodka historycznego w Słupsku. Jako prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego położył prof. Herbst wielkie zasługi dla tego ośrodka jako inicjator, prelegent i doradca przez szereg lat. Powstanie Stacji Naukowej PTH w Słupsku jest w wielkiej mierze zasługą profesora Herbst. Również dzięki jego poparciu powstały wydawnictwa „Biblioteka Słupska” i „Zapiski Koszalińskie”.

Dzięki tym wydawnictwom upowszechniono wiedzę historyczną oraz kulturalną i gospodarczą dorobek Pomorza Środkowego.

Myślę, że szczegółowe dane o działalności prof. Herbst na rzecz województwa koszalińskiego uzyskają Panowie od prezesa Oddziału Pol. Tow. Historycznego w Słupsku, ob. Iwo Malczewskiego.

Żywię nadzieję, że Szanowna Redakcja poświęci prof. Herbstowi oddzielny artykuł z podkreśleniem pionierskiej, ofiarnej pracy dla ośrodka historycznego w Słupsku i ziemi koszalińskiej.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

Nagrody

W konkursie „Kopernik jego życie i dzieło”, zorganizowanym przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Gdańsku, nagrody otrzymały: Halina Nastaly, Felicja Skalska, Halina Klein, Barbara Szuta i Helena Tymczyszyn.

JAN KOCIK
Złotów

(res)

Conradyci

29 listopada 1973 r. w sali Centralnego Muzeum Morskiego doc. dr Ewa Korzeniewska wygłosiła odczyt „Autobiografia i wspomnienia w twórczości Conrada”.

(ehm)

Katowicki finał

Festiwal Dramaturgii Radzieckiej odbył się w Katowicach w dniach 10—17 listopada ub. r. W dniach 16 i 17 Klub Krytyki Teatralnej zorganizował sesję wyjazdową, poświęconą współczesnej dramaturgii radzieckiej i jej recepcji w Polsce.

Przypomnijmy, że katowicki festiwal ma charakter finału ogólnopolskiego przeglądu. Pokazano następujące przedstawienia: „Tragedię optymistyczną” Wiszniewskiego (Teatr Polski z Warszawy), „Ten młoty, stary dom” Arbuzowa (Teatr Polski z Wrocławia), „Trybunał” Makajonoka (Teatr im. Węgierki z Białegostoku), „Człowieka znikąd” Dworeckiego (Teatr Dramatyczny z Warszawy), „Toast za Kolumba” Żuchowickiego (Teatr Zagłębia z Sosnowca), „Połowczanki sady” Leonowa (Teatr „Wybrzeże” z Gdańska), „Lubow Jarowaja” Treniewa (Teatr Dramatyczny z Szczecina), „Sytuację” Rozowa (Teatr Śląski z Katowic).

Poza konkursem Teatr Śląski z Katowic pokazał „Smoka” Eugeniusza Szwarca, w reżyserii Zbigniewa Bogdaniego i scenografii Mariana Kołodzieja.

(ehm)

Maria Skowrońska

W klubie Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki 15 grudnia ub. r. odbyło się otwarcie wystawy malarstwa Marii Skowrońskiej.

(ehm)

Krytyk u literatów

12 grudnia ub. r. w klubie Związków Literatów Polskich w Gdańsku odbyło się spotkanie z Tomaszem Burkiem.

(ehm)

Opera Mozarta

W Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Gdańsku odbyła się 12 grudnia ub. r. premiera opery Mozarta „Bastien i Bastienne”.

Wykonawcami byli studenci Wydziału Wokalnego i orkiestra szkoły.

(ehm)

Gdzie to Truso?

W grudniu 1973 r. w Ratuszu Głównego Miasta odbyło się pierwsze wspólne posiedzenie naukowo-dyskusyjne dwóch towarzystw — Historycznego i Nautologicznego. Tematem była osada Truso, wzmiankowana w relacji angielskiego żeglarza Wilfsta, który w końcu IX wieku dotarł w rejon delty Wisły, na pogranicze pomorsko-pruskie. Gdzie znajdowało się Truso? — to pytanie, na które naukowcy szukają odpowiedzi od dawna. Nie znaleziono jej również w wspomnianym posiedzeniu, na którym przedstawili referaty: hydrolog mgr

inż. Klemens Bieszk z Politechniki Gdańskiej, identyfikujący Truso z Tczewem; mgr Kazimierz Czarnocki z Elbląga, zdaniem którego Truso, to nie innego jak późniejszy Elbląg i mgr Leon Roppel, który w oparciu o nowe odczytanie zapisu Wilfsta na jest zdania, że Truso znajdowało się „...na terenie tzw. Małych Żuław, gdzieś na zachód od Tuszka, w pobliżu Szkarpa- wy”. Ta ostatnia hipoteza wydaje się najciekawsza. Ponieważ jednak żaden z referentów nie potrafił w pełni swego twierdzenia udokumentować, nadal nie wiemy, gdzie Truso było.

(tr)

Zjazd ludowych artystów

Weszło w zwyczaj, że co roku w grudniu Wojewódzki Dom Kultury organizuje zjazdy coraz liczniejszego środowiska twórców ludowych naszych regionów: Kaszub, Kociewia i Powiśla. Zjazd 1973 r. odbył się 15 grudnia w Powiatowym Domu Kultury w Wejherowie. Był on kolejną okazją do spotkania i wymiany zdań między przedstawicielami instytucji sprawujących mecenat nad twórczością — WDK, Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i „Artregionu” a artystami ludowymi.

Szczególnie wiele uwagi poświęcono sprawom haftu kaszubskiego, którego bolączką jest brak nici w odpowiednich kolorach (o czym co roku na zjazdach się mówi, niestety bez rezultatów). Jak co roku na zjeździe najwybitniejszym twórców ludowych przyznane zostały nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki, wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki i WDK — otrzymało je ok. 40 osób. Jednym z kryteriów decydujących o wyróżnieniu nagrodami była owocna praca niektórych twórców, jak np. Elżbiety Ebel i Anny Konkel — hafciarek z Wejherowa, czy Adama Zwołakiewicza — rzeźbiarza z Kościerzyny z młodzieżą, której przekazują ci artyści swoje umiejętności i zamiłowanie.

(tr)

Popiersie Sędzickiego w Kościerzynie

Podczas II Zjazdu Literatury Kaszubsko-Pomorskiej we Wdzydzach, władze kościerskie podjęły ciekawą i cenną inicjatywę. Postanowiono wówczas, iż uroczystym akcentem kończącym każde z następnych spotkań twórców regionalnej literatury, jakie każdego roku odbywają się w tym powiecie, będzie odsłonięcie popiersia jednego ze znanych i zasłużonych pisarzy kaszubskich. Ustalono również, że pierwszą postacią, której rzeźbiarską podobiznę otrzyma Kościerzyna, będzie wybitny poeta, znany niegdyś jako współpracownik „Gazety Gdańskiej” i „Gryfa”, a ponadto zastępowy syn ziem kościerskiej — Franciszek Sędzicki.

Uroczystość odsłonięcia popiersia (dzieła art. rzeźbiarza Wawrzynca Sampa) odbyła się 15 grudnia ub. roku. Przybyli przedstawiciele miejscowych władz z naczelnikiem powiatu Witoldem Cerowskim sekretarzem Komitetu Powiatowego

wego PZPR Lechem Obuchowiczem, naczelnikiem miasta Stefanem Edelem, kierownikiem Wydziału Oświaty i Wychowania oraz Kultury, Mieczysławem Charszłą.

Na skwerku w pobliżu dworca kolejowego, gdzie usytuowano rzeźbę, spotkała się ponadto młodzież z wszystkich szkół podstawowych i średnich. W imieniu Komitetu Powiatowego FJN przemawiał z-ca kierownika Wydziału Oświaty i Wychowania oraz Kultury Roman Szuta, który przedstawił sylwetkę znanego poety i społecznika. Aktu odsłonięcia dokonali najbliżsi krewni autora „Baśni kaszubskich” — Józefa i Józefa Sędzickich. Przedstawiciele młodzieży ze szkoły podstawowej nr 3, której patronuje wielki piewca ziemi kaszubskiej, uroczystość zobowiązała się podjąć opiekę nad popiersiem — pomnikiem oraz jego otoczeniem. Wieczorem, w sali kina „Rusalka” społeczeństwo Kościerzyny miało okazję wysłuchać koncertu w wykonaniu Chóru Towarzystwa Śpiewaczego im. Lubomira Szopińskiego, podczas którego wykonano utwory do słów Franciszka Sędzickiego.

JERZY SAMP

Spotkania teatralne

W dniach 12—21 XII 73 r. odbyły się w Warszawie, w sali Teatru Dramatycznego, IX Spotkania Teatralne. Teatr „Wybrzeże” pokazał dwa spektakle: „Połowczanki sady” Leonowa i „Helenę” Eurypidesa. Oprócz tego wystąpiły następujące teatry: Teatr Śląski z Katowic ze „Świętoszkiem” Moliera, Teatr Stary z Krakowa z „Procesem” według Kafki, Teatr Ziemi Pomorskiej z Grudziądza z „Antygona” Sofoklesa.

(ehm)

Uwaga twórcy ludowi!

Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa wspólnie z innymi instytucjami rozpięło z okazji 30-lecia Polski Ludowej pierwszy ogólnokrajowy konkurs na pamiętniki twórców ludowych. Objętość pamiętników — dowolna. Termin — do 31 maja br. Nagrody: I — 15.000 zł, dwie drugie po 8.000, cztery trzecie po 5.000, dziesięć czwartych po 3.000, dziesięć piątych po 2.000 i dwadzieścia wyróżnień po 1.000 zł. Prace zaopatrzone w godło należy nadsyłać pod adres: Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, 00-953 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20.

(b)

Jantarowe Szlaki

W 10 numerze z ub. roku opublikowano m. in. następujące artykuły: Maciej Drzewiecki — „Współczesne ujęcia treści przewodników turystycznych”, Janusz Umiński — „Z działalności pomorskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystycznego”, Czesław Skonka — „Kartuzy — turystyczne miasto rekreacyjnego regionu”. Zygmunta Kwiatkowski — „Turystyczny szlak Chopina”. Poza tym wiele innych ciekawych publikacji.

(b)

Gdańska humanistyka

12 grudnia ub. r. odbyło się spotkanie pracowników naukowych Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego z publicystami prasy i radia oraz przedstawicielami gdańskich placówek kulturalnych. Spotkaniu przewodniczył dziekan Wydziału Humanistycznego, doc. dr Bogusław Cygler, który zapoznał też zebranych ze strukturą organizacyjną, stanem i perspektywami wydziału. W jednym z następnych numerów „Liter” zamieścimy obszerniejszy artykuł poświęcony gdańskiej humanistyce. (b)

Nagrody GTN

20 grudnia ub. r. Zarząd Gdańskiego Towarzystwa Naukowego przyznał po raz pierwszy doroczne nagrody dla młodych pracowników nauki Wybrzeża. Otrzymali je: dr Jerzy Trzaska za pracę „Gdańskie młynarstwo i piekarnictwo w II połowie XVII i w XVIII wieku”, Sławomir Kadulski za pracę „Pasożyty zewnętrzne ssaków lownych Polski z rodziny Cervidae i Suidae”, Lech Górniewicz za pracę „A Lefschetz — type Fixed — Point Theorem” i Stanisław Massel za pracę „Falowanie wiatrowe na ograniczonych głębokościach; jego struktura i procesy współoddziaływania z budowlami hydrotechnicznymi”. (b)

Kultura basenu bałtyckiego

Staraniem Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Komisji Marynistyki i Kultury Morskiej PTN odbyła się 12 grudnia ub. r. w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku sesja n.t. „Kultura basenu Morza Bałtyckiego”. Referaty wygłosili: prof. dr Władysław Czapliński — „Bałtyk w świadomości i polityce szlachty polskiej w XVI i XVII wieku”, prof. dr Stanisław Gierszewski — „Nowożytna koncepcja handlu i władztwa bałtyckiego”, doc. dr Witold Nawrocki — „O tendencjach rozwojowych współczesnej prózy krajów skandynawskich”. (b)

Wyróżnieni fotograficy

Na zorganizowanej w Budapeszcie międzynarodowej wystawie fotograficznej, przygotowanej z okazji 75-lecia tamtejszego Foto-Klubu, jedno z sześciu wyróżnień otrzymał zestaw fotografii z Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego. W wyróżnionych zestawach znajdowały się zdjęcia, których autorami są: Zdzisław Błażejczyk, Erazm Felcyn, Marek Gracz, Juliusz Garztecki, Krzysztof Jakubowski, Krzysztof Kamiński, Michał Marian Kamiński, Mirosław Kubacki, Adam Nowicki i Andrzej Prokofjew. Pozostałe wyróżnienia otrzymały kluby z Wiednia, Gandawy, Helzine, Reims i Leverkusen. (b)

Dni Instytutu Architektury PG

W dniach 3—8 grudnia 1973 r. odbyły się Dni Instytutu Architektury i Urbanistyki PG, w czasie których odbyła się m. in. wystawa prac projektowych studentów. (res)

ZAPISKI WYDAWNICZE

KAZIMIERZ JASIŃSKI: Rodowód Piastów śląskich. Tom I Piastowie wrocławscy i legnicko-brzescy. Wrocławskie Towarzystwo Naukowe. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973, s. 304 + tabl. ilustr. + tabl. genealogiczne pod opaską, cena 80 zł.

Wielkie dzieło, zakrojone na trzy tomy, profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Tom pierwszy zawiera biogramy Piastów wrocławskich i legnicko-brzeskich, wykaz miejsc ich pochowania oraz m. in. wykaz związków genealogicznych z innymi dynastiami. Tom drugi obejmować będzie Piastów świdnickich, ziembickich, głogowskich, żagańskich i oleśnickich, natomiast tom trzeci — Piastów cieszyńskich i oświęcimskich. Omówimy osobno.

JOZEF SPORS: Dzieje polityczne ziem sławieńskich, słupskiej i białogardzkiej XII—XIV w. Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział i Stacja Naukowa Województwa Kozłubińskiego w Słupsku. Biblioteka Słupska, t. 25. Wydawnictwo Poznańskie 1973, s. 204, mapki w tekście, cena 30 zł.

Rozprawa naukowa dedykowana prof. dr. Kazimierzowi Jasińskiemu w dwudziestopięciolecie pracy naukowej i dydaktycznej. Autor kolejno omawia pochodzenie dynastii sławieńskiej i jej genealogię, powstanie księstwa sławieńskiego i ukształtowanie się jego terytorium, dzieje tego księstwa pod rządami Raciborzyców, dzieje ziem sławieńskiej i słupskiej oraz białogardzkiej pod rządami Świętopełka i Barnima I do r. 1266, następnie dzieje tych ziem w latach 1266—1283, a w końcu w latach 1283—1317. Tablice genealogiczne i mapki oraz bibliografia wypełniają tę bardzo interesującą pracę. Omówimy osobno.

JERZY OKULICZ: Pradzieje ziem pruskich od późnego paleolitu do VII w. n.e. Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie. Monografie Dzieł Społecznych i Politycznych Warmii i Mazur, t. I. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973, s. 588, ilustr., cena 125 zł.

Olbrymnia i niezwykle cenna praca poświęcona pradziejom ziem pruskich. Autor omawia najwcześniejsze ślady pobytu człowieka na ziemiach pruskich, osadnictwo i kultury w młodszej epoce kamienia, osadnictwo i kulturę w epoce brązu, następnie w epoce żelaza, wpływy rzymskich i wczesnej fazy wędrówek ludów, na końcu zaś — osadnictwo i stosunki kulturowe u progu wczesnego średniowiecza. Liczne, bardzo dobrze wykonane ilustracje.

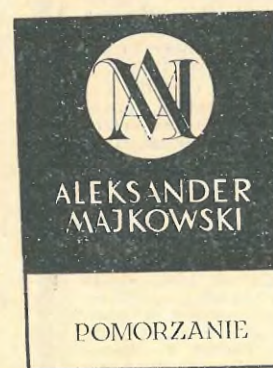
JANUSZ JANKOWSKI: Mosty w Polsce i mostowcy polscy (od czasów najdawniejszych do końca I wojny światowej). Polska Akademia Nauk, Zakład Historii Nauki i Techniki. Monografie z Dziedzin Nauki i Techniki, t. LXXXIII. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Gdańsk 1973, s. 348, ilustr., cena 70 zł.

W tej bogato ilustrowanej pracy autor skrupulatnie ujmując historię projektowania i budowy mostów w Polsce oraz przez Polaków na świecie. Pracę otwiera omówienie wczesnego mostownictwa zachodniosłowiańskiego do końca XII wieku, zamyka zaś opis dzieł budownictwa mostowego w latach 1850—1920. Szeroko uwzględniono Wielkie Pomorze (m. in. Gdańsk, Tczew, Malbork, Toruń). Praca ciekawa, napisana przystępnie, więc na pewno znajdzie wielu czytelników interesujących się mostownictwem.

WITOLD I ANDRZEJ TUBIELEWICZOWIE: Porty Wybrzeża gdańskiego, ich dzieje i perspektywy rozwojowe. Gdańskie Towarzystwo Naukowe, Wydział IV Nauk Technicz-

nych. Acta Technica Gedanensia nr 6. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Gdańsk 1973, s. 216, ilustr., cena 45 zł.

Monografia portów Wybrzeża gdańskiego. Autorzy omawiają najpierw genezę powstania i rozwoju portów morskich w ogóle, następnie dają zarys rozwoju portów Wybrzeża gdańskiego od średniowiecza do I wojny światowej. Osobno omówiono okres międzywojenny i szczególnie obszernie okres Polski Ludowej. Ostatni rozdział traktuje o perspek-



tywnych koncepcjach rozwoju portów Wybrzeża gdańskiego. Praca bardzo potrzebna, łatwa w lekturze.

HENRYK ŁOWMIŃSKI: Początki Polski. Z dzieł Słowian w I tysiącleciu n.e. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1973, s. 632, w tekście mapki, cena 100 zł.

Pięty tom wielkiego dzieła profesora Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, obejmujący dokończenie omówienia okresu lechickiego. Autor rozpatruje zagadnienie początków państwa ruskiego, organizację państwową u Słowian zachodniolęchickich, formowanie się wschodniolęchickiego państwa Polan, formowanie się państwa polskiego w latach 964—1000.

ANDRZEJ ZIELIŃSKI: Początek wieku. Przemiany kultury narodowej w latach 1807—1831. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973, s. 204 + tabl., ilustr., cena 33 zł.

Książka traktuje o przemianach kultury narodowej w okresie wczesnego stadium formowania się nowoczesnego narodu. Przedstawia opinie i poglądy twórców kultury, ich wysiłek intelektualny i osiągnięcia. Przyjemna lektura, bogato ilustrowana.

ALEKSANDER MAJKOWSKI: Pomorzanie. Z rękopisu do druku przygotowała i wstępem opatrzyła Dąmroka Majkowska. Oddział Miejski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku, Gdańsk 1973, s. 118, cena 25 zł.

Powieść napisana w języku literackim przez wybitnego działacza kaszubskiego, redaktora „Gryfa”, publicystę i poety, opublikowana po raz pierwszy. Jest to powieść autobiograficzna, oddająca myśli i tęsknoty Majkowskiego, w pewnym

stopniu wyznaczająca też program działania młodemu pokoleniu regionalistów. Bardzo cenny jest obszerny wstęp piera córki autora, Dąmroki Majkowskiej, stanowiący zważy-tą biografię pisarza.

ANTONI PEPLIŃSKI: Niech szerm-las. Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Gdańsk 1973, s. 24, cena 32 zł. Opracowanie graficzne Wawrzyńca Sampa.

Bibliofilskie wydanie zbioru poezji poety z Czarnowa k. Torunia, które ukazało się w nakładzie 300 egz. numerowanych, na papierze czerpanym, opatrzone posłowiem Edmunda Puźdrowskiego. Autorem tych prostych, ale jakże uroczych wierszy pisanych po kaszubsku, jest pochodzący z Wielkiego Kłincewa w powiecie kościerskim Antoni Pepliński, obecnie proboszcz pod Toruniem.

ANNA LAJMING: Symbol szczęścia. Opowiadki kaszubskie. Oddział Miejski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku, Gdańsk 1973, s. 92, cena 20 zł.

Na tom składa się 21 opowiadań autorki „Miodu i mleka”, stanowiących wręcz niezwykłą twórczość w literaturze współczesnej; autorka czerpie tworzywo ze swoich rodzinnych stron, ze swojej młodości, a obdarzona talentem podpatrywania i niewątpliwie dużym talentem literackim, potrafiła stworzyć „obrazki z życia” przepojone dozą autentycznego humoru i subtelnej ironii. Bardzo miła i wdzięczna lektura.

CZESŁAW SKONKA: Literatura krajoznawcza - turystyczna województwa gdańskiego (1945—1969). Komisja Krajoznawcza Zarządu Głównego PTTK, Warszawa 1973, s. 86, ilustr., cena 15 zł.

Pożyteczna książka znanego działacza turystycznego - krajoznawczego, w której prezentuje on „Tradycje i funkcje literatury krajoznawczej”, „Wydawnictwa turystyczne 25-lecia PRL” oraz — co jest najważniejsze — pełną bibliografię wydawnictw turystycznych, odnoszących się do Pomorza (Kaszuby, Kociewie, Powiśle, Żuławy, Gdańsk, Słowińcy). Skonka odnotował łącznie 238 pozycji.

DOROTA JABŁOŃSKA: Ziomkostwo Pomorskie 1945—1969. Prace Instytutu Zachodni - Pomorskiego w Szczecinie, t. 47. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1973, s. 144, cena 20 zł.

Autorka omawia dzieje, działalność i oblicze polityczne działającego w NRF Ziomkostwa Pomorskiego — organizacji rewizjonistycznej. Jabłońska rozpatruje działalność tej organizacji w latach 1945—1969, kadre kierownicze, rolę ideologii Ziomkostwa Pomorskiego w kształtowaniu opinii publicznej w NRF oraz miejsce ziomkostwa w systemie polityki bońskiej. Książka interesująca, ujawniająca mechanizmy m. in. antypolskiej działalności.

PRZEGLĄD ZACHODNI. Dwumiesięcznik. Instytut Zachodni w Poznaniu, Poznań 1973, nr 3, s. 200, cena 30 zł. Redaktor: Władysław Tomaszewski.

Zwracamy uwagę na nastp. publikacje: Józef Konieczny — „Problem świadomości historycznej społeczeństwa zachodniolenieckiego”, Anna Wolff — Poweńska — „Polityczne aspekty badań geograficznych w Niemczech (1919—1939)”, Marian Mroczko — „Związek Obrony Kresów Zachodnich wobec działalności mniejszości niemieckiej w Polsce (1921—1934)”.

KWARTALNIK HISTORYCZNY. Polska Akademia Nauk, Instytut Historii. R. LXXX, Warszawa 1973, nr 4, s. 787—1026, cena 30 zł. Redaktor: Bogusław Leśnodorski.

W numerze opublikowano ciekawy artykuł Romana Wapińskiego „Z dzieł tendencji nacjonalistycznych. O stanowisku Narodowej Demokracji wobec kwestii narodowej w latach 1893—1939” oraz referat Stefana Kleniewicza „O rangę nauk historycznych”. (T. B.)

Czym zamierzał pocieszyć się Mickiewicz po wyjściu Maryli za mąż za Puttkamera? Nie wiedziałem: wycieczką w Karkonosze. Jest to jedna z miłych rewelacji książki Ryszarda Kincła „Sarmaci na Śnieżce”, wydanej właśnie w lokalnej serii „Wiedza o ziemi naszej” wrocławskiego Ossolineum. Autor podjął się skromnego pozornie zadania przedstawienia poloników z zachowanych ksiąg pamiątkowych schronisk karkonoskich, a głównie schroniska i kaplicy na Śnieżce. Za sprawą talentu okazało się przy tej okazji, że pierwszymi górami, z którymi zetknęła się nasza nizinna nacja, były wcale nie Beskidy lub Tatry, lecz właśnie Sudety, czy nawet Karkonosze. Wynikać to ma z Kroniki Galla („Wojowniczy zatem Bolesław zebrawszy mnogie rycerstwo otworzył nową drogę do Czech, w czym może być porównany z Hannibalem i jego nadzwyczajnym wyczynem”). Jeśli nawet wypraw Krzywoustego do tradycji turystyki nie zaliczymy, a nie zaliczymy, to i tak pierwszy polski opis zdobycia Śnieżki (konno) mamy z roku 1677, a więc na 130 lat przed założeniem pierwszej książki pamiątkowej w rejonie Tatr, w Bukowinie Tatrzańskiej, w karczmie. Zostawiając na dole chorągiew rajtarii, husarie przyboczną, wielbłądy, wozy skarbane i kuchenne, z częścią tylko orszaku i kronikarzem podróży po Europie, stolnikiem żmudzkim Teodorem Billewiczem, szarżował na Śnieżkę podkanclerzy litewski Michał Kazimierz Radziwiłł, zaś co do zamiarów Mickiewicza, to wynikały one pod wpływem listów z pieszej wędrówki po Karkonoszach Franciszka Malewskiego, przyjaciela z kręgu filomatów. Mickiewicz i Zan mieli uczestniczyć w tej wędrówce, a potem Mickiewicz zapalił się do jej powtórzenia. Czeczot obiecywał to pocie „Choćby przyszło poruszyć niebieskie i piekielne mocy, dostać paszport i wyprawić cię na Risengebirge nad któremi tak się unosisz, dla naprawienia Twego zdrowia i szczęścia”.

Niebaudem jednak carski nakaz opuszczenia Litwy rzucił Mickiewicza w kierunku dość dokładnie przeciwnym i zamiast Śnieżce, Orlicy czy Śnieżnikowi, poeta złożył miał natchniony hołd skale Judahu (365 m nad poziomem Morza Czarnego).

Mieszkańcy Litwy, Podlasia, Mazowsza, Wielkopolski w zętknięciu z Karkonoszami, znanymi wówczas jako Góry Olbrzymie, doznawali wstrząsu. Michał Olszewski z Lidzbarka oddał ze szczytu Śnieżki dwa wystrzały z broni ręcznej, zapewne dla sprawdzenia trwałości niebios. Przeważała jednak postawa pokory. Pierwszy polski wpis w księdze pamiątkowej Śnieżki (z 24 sierpnia 1722 roku) jest zapewne jednym z pierwszych w polszczyźnie wierszy o górach i nazywa Śnieżkę górą Boga. Jest

to kierunek refleksji bardzo typowy i trwały. „Byłem na górze, gdzie kaplica stoje, powiem dzieciom, niech się Boga boją” — wpisał się 25 lipca 1789, a więc jedenaście dni po zburzeniu Bastylli, ojcie trzech synów z Warszawy. „Tutaj człowiek samego siebie musi zapomnieć i tylko będzie mógł dziękować i śpiewać Panu Bogu swojemu” — czytamy w tekście z 1825 roku, podpisanym przez studenta teologii z Berlina, Ludwika Schroedera i adresowanym „z serca swego... wszystkim Polakom”. Na tym tle niemal materialistycznie brzmi dwuwiersz z 8 lipca 1806 r. ks. J. Jankowskiego:

ZE SZCZYTU NAJWYŻSZEGO ŚNIEŻKI GORY
ODSZEDŁEM WSZECHMOCNOSCIA ZDZIWIWONY NATURY.

Najwięcej tych egzaltowanych wpisów zachowało się z pierw-

szych lat XIX w. i dlatego łatwo je przyjąć za plody pożyromantycznej. Tymczasem temperatura uniesień jest wyraźnie zależna od obycia w świecie. Wspomniany Teodor Billewicz oglądał Śnieżkę po zwiedzeniu połowy Europy i za godne uwagi uznał czerwony mech rozciągający po ograniczeniu zapach fiołków. Także później — w dobie najgorętszych zapałów nie zabrakło głosów sceptycznych. „Okrzyżowane Góry Olbrzymie — wpisał się w 1828 roku pewien zdobywca Wezuwiusza, związanym z Uniwersytetem Jagiellońskim — mają mało szczegółów i ciekawości innym górom właściwych, ani z Tatrami, ani z Alpami Austrii, Styrii porównane być nie mogą”.

W tym okresie księgom pamiątkowym w schroniskach sudeckich przypadła dość nieoczekiwana rola trybuny patriotycznej. Ten wątek stanowi bodaj najcenniejszą wartość książki Kincła. W książkach wypełnionych przecież przeważnie opisami przyrody, pogody i — czasem — romansów, zarejestrowana została (1834 r.) świadomość przynależności Dolnego Śląska do Polski („Garb ten ziemi do mej ojczyzny dawniej należący — Śnieżkę odwiedziłem”).

W dwa lata po trzecim rozbiórce na kartach książki Śnieżki znalazł się dwuwiersz:

DAŻĄC DO GORY, LECZ JESZCZE NA DOLE
KLNIEMY NIESZCZĘSNĄ
POLAKOM NIEDOLE.

Na karty ksiąg schroniskowych wdarły się echa walk po-

litycznych okresu porozbiorowego. Występowano przeciwko oddawaniu się rozpaczom, a za męstwem i jednością narodową. Niezwykle ciekawy jest wiersz z Roku Owego, wyraźnie antybonapartowski, nazywający cesarza Francji półzbawcą. Wiersz ten został przekreślony przez innego rodaka, który napisał, że w kraju takie poglądy „nie zdobią, a w zagranicy hańbią i na pośmiejch wystawiają Polaków”.

Na Dolny Śląsk nie puszczano bez paszportu, ale nie była to dla Polaków obcyzna. Ryszard Kincel zreczenie przypominał przy tej okazji zdanie Hoffmanna von Fallersleben, autora „Deutschland, Deutschland uber alles”, o Wrocławiu jako nie sprawiającym w roku 1823 wrażeń miasta niemieckiego. Zacytowanych pamiętników Wincentego Pola dowiadujemy się, że jeszcze w połowie XIX wieku poeta był świadkiem kurso-

wania na Dolnym Śląsku polskich pieniędzy i wyznaczania ich urzędowego kursu. Cieplice u stóp Śnieżki stały się (niezależnie od słynnego przyjazdu na kurację Marysieńki Sobieskiej) ulubionym uzdrowiskiem Polaków, a szczególnie miejscem rekonwalescencji oficerów napoleońskich i powstańców.

Polskie zapiski w księgach schronisk sudeckich nie przypominały zatem butelkowej pocztyni rozbitków. Znajdowały oddźwięk u swoich („Ziomku, czytałem imię twoje”), budziły panslawistyczne uczucia południowych pobratymców, podkopywały pychę teutońską.

Lista znakomitości polskich, które zdobyły Śnieżkę w pierwszej połowie zeszłego stulecia, obejmuje generała Józefa Wybickiego, Józefa Mianowskiego (tego od Kasy), margrabiego Wielopolskiego, Kornela Ujejskiego, Wincentego Pola, Kazimierza Brodzińskiego. Spośród najświetniejszych gości Cieplic wymienimy za Ryszardem Kinclem tylko Hugona Kottają, który dwukrotnie się kurował: najpierw z zagubienia po upadku Konstytucji 3 Maja, a potem z podagry.

Przecież nie perygrynacje elity i emisariuszy politycznych stwarzały początek rodzimej turystyki górskiej. Setki studentów z Berlina, Krakowa i Wrocławia, pomocników aptekarskich z Gostynia, księży z Płocka, kuratorów z Opola, szlachty z Królestwa Polskiego i służących z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, lekarzy z Poznania,

buchalterów z Kowna, organistów z Gniezna i magazynierów z fabryki Tabacznego w Powązkach zapoczątkowały to namaszczone przebijanie nogami przed którym dzisiaj miłośnicy przyrody chcą się bronić zasiekami koleczastymi. Wśród pionierów turystyki polskiej zwraca uwagę ogromna liczba osób o nazwiskach niemieckich, jak ów Müller z Poznania, który wykaligrafował w 1830 roku w księdze Śnieżki — bądźcie pozdrowione Polacy. Jednym z procesów społecznych, najdobitniej odnotowanym na kartach sudeckich ksiąg schroniskowych, jest właśnie polonizacja mieszczaństwa niemieckiego na ziemiach polskich, nawet po utracie przez nas niepodległości.

Sudety, a ściślej Karkonosze, mają udział w polskim życiu artystycznym i towarzyskim bardzo trudnego dla nas okresu. Nie chodzi oczywiście o żadną licytację z tradycjami i zasługami Tatr, Pienin, Beskidów, tym bardziej, że tradycje te często łączy się i podtrzymują. Jeden z pionierów taternictwa, Jakub Krotowski (w 1842 roku wszedł z Janem Parą na Zamarzłą Przełęcz), miłośnik gór i wspinaczki nauczył się w Karkonoszach.

Pokazanie jak stopniowo rozszerzały się formy naszego obcowania z górami — od hrabin zwiedzających ruiny zamku Chojnik i wodospad Szklarkę, nie wysiadając z lektyki po wędrowaniu „koleją przepisaną” — stanowi dodatkową zaletę pasjonującej książki Kincła. Może wypada żałować, że autor nie zajął się pochodzeniem nazwy przełęczy Polskie Wrota na drodze E-12, między Dusznikami a Kudową, a w paru miejscach dał się wciągnąć w skojarzenia typu „Tu pod tą gruszką”. Pisze na przykład o bytności na Śnieżce Dominika Burakowskiego, który miał we Wrocławiu hotel „Pod niebieskim jeleniem”, w którym zatrzymał się raz Leon Dembowski, którego syn Edward zastępował jako rewolucjonista. Zyczyłbym jednak sobie, by powstała podobna książka na temat osławiania się Polaków z morzem. Bardzo dobry i cenny „Bałtyk w literaturze polskiej” ciągle nie może się doczekać przedruku.

Skąd to nagłe przejście od żywiołu gór do morskiego? Nie jest ono skojarzeniem nowym. Właśnie ku wybrzeżom morskim w Pornie nad Atlantykiem skierowały się myśli Juliusza Słowackiego, który latem 1848 roku zobaczył Risengebirge — Karkonosze. Podyktował wówczas towarzysze podróży wcześniej wiersz o bretońskiej pastercie.

A Mickiewicz? Na Śnieżkę dotarł tylko wierszem. W dwa lata po ukazaniu się drukiem III części „Dziadów”, ktoś wpisał do książki pamiątkowej fragment dramatu, poczynając od słów:

„Nazywam się milion...”

Jerzy Szperkowicz

NA ŚNIEŻKI BAŁWANIE

JEDZIEMY DO PRACY

Trzeba się dobrze ustawić. Tak, żeby znaleźć się jak najbliżej drzwi, najlepiej na wprost drzwi, kiedy kolejka zatrzyma się na stacji. Ba, ale o tym samym marzy każda z tych postaci, nerwowo obserwujących zbliżanie się żółtych światła, kiedy zegar minie szóstą, a dzień jest zwykły, roboczy. Drzwi jest niewspółmiernie mało w porównaniu z ilością szarych postaci oczekujących na peronach, na przykład w Oliwie, na Przymorzu. Każdemu się spieszy, każdy chce zdążyć. Czas to pieniądz. Spóźniasz się — potracą z premii, albo nawet zabiorą premię, a może i trzynastkę. Jeżeli raz się spóźnisz, możliwe, że żadnych konsekwencji z tego nie będzie. Niech ci się jednak zdarzy drugi, trzeci raz. A zdarzyć się może. Więc skoro jest kolejka — pchajmy się, nuż uda się wejść. „Jeszcze trochę do przodu”, „Jeszcze pół metra”, „Wchodzić tam, między ławkami jest miejsce”...

Kto silniejszy — ten wejdzie, kto sprytniejszy — ten pojedzie, choćby na stopniach. Pchać się? To nieładnie, nie wypada, gdy obok słabsi, kobiety... Skakać do pociągu w biegu, albo jechać na stopniach? To szaleństwo, przecież ostrzegają co pewien czas przez megafony: „Wskakiwanie do pociągu będącego w ruchu oraz jazda na stopniach grozi kalectwem lub śmiercią”. Zresztą bardzo niehigienicznie jest podróżować tak „usta w usta” z kilku współpasażerami, nie wygodnie stać ściśniętym, byś wyginanym w różne konfiguracje... Potem, przez kilka godzin „wraca się do siebie”, regeneruje siły... Ale jest się na miejscu, na stanowisku pracy. Czekanie na następną kolejkę nie zmienia sytuacji na lepsze. Wąskim tunelem napływa stale ludzki potok. Następną kolejka może się spóźnić, albo miły głos z megafonu oznajmi: „Z przyczyn technicznych pociągi trakcji elektrycznej kursują nieregularnie”...

TW





**naturalny
szlachetny
słoneczny**



ZAKŁAD PRODUKCYJNY PTTK
SOPOT, UL. 20 PAŹDZIERNIKA 799 A